Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyslu.

D

1428

32

KAROLINA SŁOŃCZEWSKA.

300/1-2

STUDENTKI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Tow. Przyjaciół nauk w Przemyślu.
3822 D
VII-2-7

KRAKÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA.
1902.

BIBLIOTEKA
URZĘDN. TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE
SEKCYA IV.

A-19246

1000173263

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Literat. 13a

K 1160/56/6335

Wintów, miasto ani tak już wielkie, ani ludne, ani sławne, zasługuje wszakże na zaszczytną wzmiankę w geografji naszego kraju: czyste jest i ciche. Przedewszystkiem mało w niem żydów. Chałat nie panuje na placu, na rynku, nie napełnia całych dzielnic namiętnym, żywą giestykulacją illustrowanym szwargotem, w szabas nie zalewa głównej ulicy i bulwaru nad rzeką; żyd przemyka się pojedynczo, śpiesznie, z wylęknioną twarzą, milczkiem, chyłkiem, zjawia się i znika, jak cień. Dodajmy, że miasto posiada odwieczny kościół, który tumem nazywa, wieżę, co jeszcze Piastów widziała, groby wielkich zmarłych, i skarbiec pełen historycznych pamiątek i zabytków cennych wszelkiego rodzaju, — a zgodzi się każdy, że Wintów, wedle biblijnego wyrażenia, jest nie bardzo podłe, w każdym razie, nie najpodlejsze wśród miast polskich.

Dla tych, czy może innych jakich powodów obrał je sobie za stałe miejsce pobytu artysta-rzeźbiarz; najął mieszkanie w domu pięknym, narożnym. przy ulicy wychodzącej na główny plac przed tumem. własnym kosztem przybudował wielką oszkloną pracownię i w parę lat zaludnił

ją rozmaitej wielkości i kształtu postaciami. Tyle wiedział o nim Wintów; inne miasta nie wiedziały nic zgoła. Wintowianom jednak, a głównie wintowiankom wiadomości te nie wystarczały. Badano więc stróża Macieja, który mu usługiwał, dopytywano Maciejowej, która go opierała i restauratora, pana Plamkę, który go stołował — czy to kawaler, czy bogaty, czy ma kogo... bliskiego. Nie dowiedziano się niczego więcej, jak tó, że za wszystko płaci, nic nie mówi i glinę lepi. Zaczęto się puszczać na domysły, prawdy jednak nie wykryto: rzeźbiarz nie uciekł od żony, nigdy bowiem nie był żonaty, nie zdradziła go kochanka, bo się nigdy nie kochał, nie sprzedał arcydzieła, bo go nigdy nie stworzył. I plotki ustąpiły wreszcie miejsca obojętności, podszytej raczej niechęcią niż życzliwością: artysta z nikim się nie zapoznał, żadnych zaprosin, najmniejszej usługi od nikogo nie przyjął, od zwiedzań pracowni uchylał się grzecznie, ale stanowczo, zresztą nie był ani młody, ani przystojny. To też po upływie pewnego czasu zapomniano o nim całkowicie w Wintowie. Nawet właściciel kamienicy, w której mieszkał, zapomniał o nim tak dalece, że pewnego dnia wywiesił w oknie poddasza, należącego do mieszkania pana Dramowskiego, kartę z napisem: „Pokój do wynajęcia". Karta wisiała przez cały kwartał, znalazł się wreszcie lokator, wnosił kuferki, deski, koziołki, wbijał gwoździe, śpiewał, gwizdał... Artysta ani zauważył, ani protestował

przeciw zajęciu poddasza lub przeciw gwizdaniu. Płacił co kwartał gospodarzowi za mieszkanie, co miesiąc stróżowi za usługę, co tydzień stróżce za opranie. I tak mijały lata.

W tym samym domu od strony placu zajmował podobniuteńkie mieszkanie z poddaszem pan sędzia Potuliński z żoną i córką Kazią. Na poddaszu mieszkała służąca Józia, córka stróża Macieja. Cała różnica polegała na tem, że od frontu zamiast oszklonej pracowni był ogródek kwiatowy.

Nadeszła Wielkanoc. Ciepło było i pięknie. Cała ludność Wintowa w uroczystym nastroju i odświętnie ubrana poszła do tumu; podążył też i pan sędzia Potuliński z żoną i Józia służąca i Maciejowa, stróżka; w domu została tylko Kazia, wymówiwszy się bólem głowy. Po co do kościoła? Od kiedyż to już ona chodzi co niedziela, co święta, na majowe nabożeństwo, i modli się szczerze i na nic jej się to nie zdało! Otworzyła okno, usiadła i patrzyła obojętnie na hyacynty, narcyzy i deklitry, które sama pielęgnowała. Gorzkie myśli napływały jej dziś do głowy. Po co tyle święconego, kiedy nikt nie przyjdzie, i ten ogródek i kwiatki i ona sama po co, kiedy nikt ani spojrzy! I to już trzy lata takie! cztery prawie licząc od wakacyj! Niechby już choć ten z poddasza!... Nic nie ma, ale papa mógłby go zaprotegować. Cóż, kiedy on z Józią rozmawia, jak z damą, a mnie się nawet nie ukłoni. Szczęśliwe te służące! im znacznie łatwiej zapoznać się

z kim chcą... Tak bym chętnie najęła się gdzieś w służbę, w jakiem wielkiem mieście, do takiego domu, gdzie jest dużo kwaterentów lub stołowników... W ostateczności niechby już choć ten Dramowski: bogaty człowiek i artysta. Pannie z porządnego domu nawet pozować dla artysty nie uchodzi. A przecie mogłabym. Tu Kazia zbliżyła się do zwierciadła i przyjrzała się swej postaci, potem twarzy, i znów się jej serce ścisnęło: cerę miała żółtawą, bladą... zdała się sobie wprost brzydką. Polizała czerwone jajko, zdobiące wielkanocną zastawę, potarła niem policzek, potem drugi. Teraz dobrze. Uśmiechnęła się. Wyglądało to lepiej, niż się sama spodziewała. Jeszcze trochę! Wtem... brzęk szkła i łoskot spadającego ciężko przedmiotu wstrzymał podniesioną do twarzy rękę z czerwonem jajkiem. Znów brzęk i głuchy łoskot. Kazia zlękła się, po chwili jednak była już na ulicy. Naprzód ujrzała kawały gipsowych figur rozstrzaskanych na bruku, potem szklanną ścianę pracowni nawpół wywaloną, z rozbitemi szybami. Teraz potoczyła się ogromna głowa jakiegoś greckiego bohatera, jednocześnie dał się słyszeć krzyk przerażenia uciekającej co tchu dziewczyny; wślad za tem rozległ się w pracowni głośny, dziwny jakiś, nienaturalny śmiech. wreszcie runęła nowa bryła.

— Panie Macieju! Co to jest? -- wołała Kazia na stróża, kroczącego flegmatycznie przez sień.

— A cóż ma być? — Zwarjował, toć się widzi.

— Zwarjował? Ależ trzeba coś na to robić!

— A cóż ja zrobię, kiej ciska jak warjat, że i przystępu nie ma.

— To niech pan Maciej zajdzie od bramy i zagrodzi czem ulicę: teczką, drabiną, miotłą, a z tej strony proszę stanąć i nikogo nie puszczać, bo się jeszcze nieszczęście wydarzy.

Poleciała po doktora i policyę. Na placu zawołała stójkowego.

— Proszę sprowadzić powóz i ludzi: tam przy ulicy Jasnej nieszczęście się stało. Tylko prędko! prędko!

Pomknęła. Stójkowy biegł co tchu w kierunku cyrkułu.

— Tu.

Kazia zadzwoniła do mieszkania doktora. Otworzył lokaj i poprosił ją do poczekalni. Doktór nie wyszedł natychmiast; nie dlatego, żeby miał pilniejsze zajęcie, nie miał żadnego w tej chwili: skończył właśnie przyprawiać sos z żółtek, której to roboty nikomu nie powierzał, i przyglądając się zastawionemu święconemu, nabierał apetytu. Z zasady jednak i z przyzwyczajenia nie spieszył do pacyenta, choćby wypadek był nagły. „Ludziom się zdaje, że my siedzimy i wyczekujemy tylko, czy kogo brzuch nie zaboli, by zaraz biedz na usługi“, myślał doktór nauczony długoletnią praktyką.

— Cóż to, panno Kaziu? — pytał dziewczyny, wychodząc nareszcie. — Czyżby papa w tak piękny dzień i na samą Wielkanoc już się zaziębił? Mówiłem mu przecie, że emerytury dożyje. To brzydko na pierwszy dzień świąt chorować. Na drugi to uchodzi: dzieci się objadają.

— To nie papa chory, panie doktorze, to Dramowski zwarjował.

— Dramowski? ten rzeźbiarz?

— Tak.

No, nie wiele mu brakowało. I cóż robi?

— Wyrzuca statuy na ulicę.

— Eh! to może właśnie do przytomności przyszedł?

— Ależ gdzie tam: ledwie ludzi nie pozabijał.

— Hm! to policja powinna się nim zająć.

— Ja i policję zawiadomiłam, ale sądziłam, że z takim chorym pan się lepiej obejść potrafi, niż policja i doktór Paszkow.

— Prawda! to racja!

Doktór z pośpiechem włożył kapelusz, wziął laskę i drzwi przed Kazią otworzył.

— Paszkow: nie! temu zdechającego kota nie ustąpię! Niech sobie swoich leczy, a na Polakach tu doświadczeń nie urządza, niedouczek! Jakiś student z trzeciego kursu kazańskiego uniwersytetu, co się podał na ochotnika podczas wojny, żeby egzaminów nie składać, przyjeżdża tu ze mną rywalizować!

— Prędzej; — nalegała Kazia — żeby przed policją zdążyć na miejsce.

Doktór przyspieszył kroku i spojrzał z uwagą na swą towarzyszkę: „Cóż to jest? Tak się przytomnie znajduje... wcale nie po dziecinnemu. Czy się w nim kocha?“

— Szkoda, że pani nie chłopiec: byłby z pani wcale dobry doktór. Bo w naszym fachu tylko przytomności potrzeba. Na tem cała umiejętność lekarska polega.

— Nie na tem jednem chyba.

— Na tem, niech mi pani wierzy, — upewniał, rad z odpowiedzi, która mu pochlebiała. Znów spojrzał na Kazię: Uśmiecha się i taka swobodna... Co ona ma w tem, żeby mnie tak gwałtem ciągnąć do tego warjata? Bo jużci zależy jej na tem wyraźnie. Zobaczę, co dalej zrobi. Zostawię jej swobodę i dam sposobność wydania się ze swą myślą.

Twarz Kazi rzeczywiście wyrażała zadowolenie: zwróciła na siebie uwagę doktora. I to już przydać się jej może, będzie o niej mówił wszędzie, gdzie go na święcone zaproszą, będzie ją chwalił, zwróci na nią powszechną uwagę, przypomni ją ludziom; i to coś warto — ale ona więcej obiecuje sobie z tej awantury Dramowskiego; to nie może być, żeby on już zgoła nikogo nie miał, ktoby się jego losem zajął; pisują przecie do niego; widziała nieraz listy, które mu z poczty przynoszono. Ten

ktoś zapewne przyjedzie i może zechce ją poznać... Byle przed policją nadążyć!...

Weszli na plac i ujrzeli naprzeciw siebie pędzącą karetkę, w niej ktoś krzyczał i pięściami wygrażał, za karetką postępowali dwaj policjanci, pośrodku szedł Maciej ze spuszczoną głową.

— Zapóźno! — zawołała Kazia — już go powieźli! Spostrzegła, że się zdradza przed doktorem.

— Przepraszam pana, żem go napróżno fatygowała.

— Nic nie szkodzi — odparł z udaną dobrodusznością — zobaczę te jego arcydzieła, skoro je w tak gwałtowny sposób na widok publiczny wystawił.

Zwolnili kroku, Kazia rozpowiadała o całym wypadku i jak się rozporządziła kwoli bezpieczeństwa publicznego. Doszli nareszcie. Przez wybite oszklenie widać jednak było wyraźnie rzeźbiarza w bluzie, bez obówia, deklamującego z gwałtowną giestykulacją, i kogoś, kto deklamacji tej uważnie słuchał.

— Cóż to jest? — zawołali razem doktór i Kazia. — Kogóż to powieźli?

Policja oczywiście nie zabrała Dramowskiego. Stójkowy, którego Kazia o pomoc prosiła, biegnąc do cyrkułu spotkał idącego nawprost siebie bardzo chwiejnym krokiem oficera Kramotkina, który wracał z libacji wydanej kolegom z powodu świeżego awansu. Na widok „starszej rangi“ stójkowy wyprostował się jak struna, ręce wyciągnął wzdłuż

szwów i stanął jak wryty. Kramotkin zaraz przypomniał sobie rangę i chciał zaimponować nią stójkowemu:

— Dokąd?

— Do cyrkułu, wasza szlachetność — odrzekł, podnosząc rękę do czapki.

— Co? Szlachetność? — Ja cię nauczę!... — Wysoka szlachetność! Ty... I posypał się grad obelg takich dosadnych, jakiemi żaden inny język poszczycić się nie może.

Zrazu epitety tyczyły się osoby słuchacza, potem, dłuższe już frazesy odnosiły się do jego matki. Zebrało się kółko widzów, panny przemykały spiesznie, zażenowane, chłopcy chichotali uszczęśliwieni. Stójkowy słuchał i patrzał. Zapas ustnych obelg wyczerpał się wreszcie; nastąpiła pauza. Krapotkin zrobił ruch, jak gdyby miał odejść; takiż sam ruch, tylko w przeciwnym kierunku uczynił zelżony stróż porządku publicznego.

— Stój!

Stójkowy stanął z ręką przy daszku... i w tej chwili uczuł dłoń starszego na swym policzku.

— Ręce do szwów! — zakomenderował Krapotkin.

Żołnierz opuścił rękę i patrzał w oczy. I rozpoczęło się głośne, ciężkie policzkowanie. Twarz policjanta nabrzmiała, z nosa polała się struga krwi, zciekła po ustach, na brodę i kroplami spadała na mundur.

— A to ci go naprzód w mamę walił, a teraz

w papę trzaska! — krzyknął z tłumu ośmnastoletni wyrostek. — *Maładiec protiw owiec!*

Oficer obejrzał się.

— Brawo! to mi armja co się zowie! — *Znaj naszich!*

Umknął co tchu przez plac, za nim ze wzniesioną szablą popędził rycerz moskiewski. Stójkowy wolnym krokiem doszedł do cyrkułu i zdał raport o wezwaniu Kazi i o napaści Krapotkina. Walek tymczasem zmykał przed oficerem przez plac aż do ulicy Jasnej, naśladując po drodze głosem rozmaite zwierzęta. Tu, na widok ponarzucanych brył zwolnił nieco biegu, potem skoczył w bok; oficer, który miał go już prawie na długość szabli przed sobą, w całym pędzie wpadł na kawał gipsu, który wraz z nim na bok się zwalił.

— Biedactwo! — zawołał Walek uszczęśliwiony — nóżkę sobie stłukło!

Przypadł zręcznie z tyłu do oficera, zaczął go niby podnosić, wyrwał mu z pętli łańcuszek wraz z zegarkiem, podnoszącego się z trudnością powtórnie obalił i w mgnieniu oka znikł za potrzaskanem oszkleniem pracowni. Oficer nie widział, gdzie przepadł Walek, zrobił parę kroków przed siebie, gdy od pracowni powaliła mu się przed nogi niekształtna bryła gipsu, oczywiście rzucona przez Walka. Krapotkin chciał się cofnąć i straciwszy równowagę, padł na wznak. Maciej, stojący na straży, gdzie go postawiła Kazia, pospieszył mu na ratunek: podniósł wojaka i pociągnął

w tył, unosząc go niejako z placu bitwy. Rycerz, nie zdając sobie sprawy z sytuacji, wydzierał się, kopał nogami...

— Niewolno tędy — mówił flegmatycznie Maciej — dyć znów zaczyna ciskać!

— Co niewolno?... Ty... — i najgrubsze obelgi zwróciły się przeciw Maciejowi.

— Ta nie ma co człowieka z moskiewska plugawić, kiedy tam walą temi kamiennemi cielskami — mówił spokojnie Maciej, nie obeznany z subordynacyą.

— Ja plugawy?! — ryknął Moskal, źle zrozumiawszy stróża. — Ty śmiesz!...

Nie dokończył, wściekłość mu odjęła mowę. Chciał chwycić za szablę, lecz jej nie znalazł. Co u licha? Nie ma!.. Gdzież się podziała? Tu zaczęła mu wracać przytomność: całe zajście stanęło mu przed oczami. Następstwa, odpowiedzialność, możność utraty rangi, słowem, miał się za zgubionego. Przypomniał sobie nagle, że o jedenastej miał służbę na odwachu. „Która godzina? może czas jeszcze?“ Sięgnął po zegarek i nie znalazł go. Obejrzał się dokoła: stoją dwaj policjanci, salutują, jeden podaje mu szablę, drugi kartuz.

— Aresztować go, złodzieja! — zakomenderował, wskazując biednego stróża.

Szablę schował do pochwy i wskoczył do karetki.

— Do kazarmów, a żywo!... Ha! złodziej!... Polak przeklęty!... Ha! bydlę!... — wykrzykiwał

jadąc przez plac i oglądając się za Maciejem, którego uprowadzali policjanci.

Doktór i Kazia wszedłszy do pracowni, zastali tam Dramowskiego i Walka. Obłąkany deklamował z patosem:

Byłżeś ty wielki Rzymie władcą świata?
Teraz Got dziki twą dumą pomiata:
Twych wodzów karki stopami przygniata.
Ludów zabójco, doczekałeś kata!
Wieki mijają, jak mijają lata,
Dnie i godziny od początku świata.
W pierwszym dniu Kain zabił swego brata
W pierwszym dniu świata ziemia miała kata!

— Co ty tu robisz, Walek? — ozwał się doktór do chłopca, który słuchał deklamacji obłąkanego.

— Uczę się starożytnej historji i nowożytnej sztuki.

— Twych bohaterów rozdziobały kruki... — podchwycił chory i dalej mówił coraz prędzej, niewyraźniej, słychać było tylko: łuki, druki, nauki, wnuki, luki...

— Czy pan nie masz krewnego lub brata? — zwróciła się doń Kazia i cofnęła się dla bezpieczeństwa za ramię doktora.

— Pani chcesz wiedzieć adres mego brata?
Jeśli nie więzi go moskiewska krata,
W Chamowie siedzi i kurze obmiata
Z kart zapomnianych o czynach wszechkata.

— W Chamowie — pomyślała Kazia — tego mi tylko potrzeba.

— Musiała znać tego brata, w Warszawie zapewne — zauważył w duchu doktór.

— Ty, łobuzie — zwrócił się do Walka — pobiegłbyś po powóz!

— Największy łobuz z nas trzech, to pan Dramowski.

— Dramowski... ojcowski... rym częstochowski... — plótł biedak i wpadł w zamyślenie.

— Idźże, Walek! — ozwał się głos z przyległego pokoju.

Doktór i Kazia obejrzeli się; w progu stał lokator poddasza, w ręku trzymał paczkę owiniętą w bibułę. Szare jego oczy spoczęły badawczo z ostrym jakimś wyrazem na twarzy dziewczyny. Zmięszała się, poczerwieniała.

— Ja pójdę, jeżeli trzeba — ofiarowała się, by pokryć zmięszanie.

Walek ruszył się wreszcie. Przechodząc przeze drzwi, w których stał Rajski, wziął od niego nieznacznie ową paczkę.

— Biegnę już! — zawołał od progu. — Chory usiadł na pace z gliną. Był przygnębiony, patrzał w ziemię.

— A ubierz się pan — rzekł mu doktór, klepiąc go po ramieniu.

— Nie mogę! nie mogę! — mówił żałośnie artysta.

— Cóż znów? — przecież nie jesteś pan chory!

— Nie. — Ja nie jestem chory, ale to takie brzydkie!

— Co?

— Ach te spodnie takie szerokie szpecą całą postać. — W takiem odzieniu nie mogę pozostać.

— Właśnie pojedziemy obstalować sobie obcisłe u krawca.

Znalazł odzienie chorego. Kazia rada nie radą musiała się oddalić. Wychodząc spojrzała raz jeszcze na Rajskiego i spotkała jego wzrok pełen złośliwej niechęci.

Wróciła do domu i usiadła przy oknie. Przez plac wolnym krokiem wracał z kościoła pan sędzia, obok niego dreptała pani sędzina.

Kazia wybiegła naprzeciw rodziców.

— Ach mamo! — wołała od progu — sąsiad zwarjował! okropne rzeczy wyrabiał, rzucał na ludzi statuami, krzyczał, śmiał się tak dziko...

— Mój Boże! co za widok przerażający! takie spustoszenie! — ubolewała pani sędzina, zauważywszy zawalające ulicę gruzy. — Wszystko to brak religii, brak zasad... Bóg, gdy chce człeka ukarać... — perorowała, ciągnąc męża za sobą dla obejrzenia szczątków rzeźb Dramowskiego.

Kazia, korzystając z ich oddalenia wbiegła na pierwsze piętro do gabinetu ojca i nakreśliła jednym tchem na ćwiartce papieru: „Chamów Dramowski. Brat zwarjował. Potulińska“. Potem przeszła do swego pokoiku, wyjęła dwa ruble z szufladki i udała się do mieszkania stróża. Tu zastała scenę

całkiem dla niej niezrozumiałą, Maciejowa płakała, wyrzekając głośno:

— Choć o tyle człowiekowi lżej było, że za mieszkanie nie płacił i jaki taki grosz panowie w rękę wsunęli i tego tam rzeźbiarza się obsługiwało! Co się człowiek za tę marność namordował! i w nocy wstawać i wody nosić i ulicę zamiatać, a zawsze choć kąt był i chleba kawałek, a teraz chyba o kiju w świat iść, albo do żydów za praczkę się najmować! Jeszcze i ten zwarjował, jak na nieszczęście! Matko najświętsza! Jezu cudowny!

Kazia spojrzała na Józię.

— Może panienka wie, za co tatka do cyrkułu wzięli, bo myśmy przyszły już na ostatek, gdy go aresztowano.

Kazia osłupiała:

— Kogo aresztowano? — Za co?

— Toż Macieja, stróża. — Panienka może widziała?

— Nie widziałam. Pierwszy raz słyszę! To chyba przez pomyłkę? Niech się pani Maciejowa nie martwi: Maciej przecie pilnował, żeby nikt nie przechodził po tej ulicy, którą pan Dramowski kamieniami zawalił.

— Żeby panienka zechciała łaskawie poświadczyć, jak będą badali, że on swoją powinność pełnił, nic więcej.

— Ależ poświadczę, pani Maciejowo, toż ja mu sama kazała stać i nikogo nie puszczać. Proszę się nie lękać, to się wyjaśni. Proszę cię Józiu,

zanieść zaraz tę depeszę do telegrafu, oto pieniądze. Tylko zaraz, niezwlekając. — To bardzo pilne.

Józia pochwyciła papier i pieniądze, rada, że może wymknąć się z domu.

Kazia wróciła do rodziców.

Zamiast do biura telegraficznego, Józia udała się na poddasze i nie do swojego pokoiku, ale do Rajskiego. Zapukała.

— Proszę — ozwał się lokator.

Weszła i stanęła w progu.

— Proszę wejść, panno Józiu — rzekł, podając jej krzesło.

— Dziękuję panu, ja tylko na chwilkę. Chciałam zapytać pana, co to będzie z tatkiem?

— Z tatkiem? z Maciejem? cóż ma być? czy go która bryła skaleczyła?

— Gorzej, policja go wzięła.

— No, to nic. Pewnie ma zeznać, jak to było tam na dole z panem Dramowskim.

— Gdzietam! gdyby to tylko, tobym się nie lękała, ale to ten pijany oficer kazał go aresztować.

— Pijany oficer?... no, to się zdarza. Jakżeż to było?

— Nic nie wiem, wracam z kościoła, słyszę, krzyczy na całe gardło: „aresztować jego, woła!“ złodzieja niby.

— A, niby złodzieja!

— Cóż teraz będzie?

— Nic nie wiem, panno Józiu! Proszę zacze-

kać chwilkę; Walek nadejdzie, może on co wie? Cóż to za papier panna Józia ma w ręku?

— Ja tam nie żadna panna Józia dla pana — odrzekła, chowając poza siebie depeszę.

— Czemuż nie panna? — Taka sama panna, a może i lepsza od sędzianki.

Objął ją wpół, usiłując wyrwać jej z rąk papier.

— Proszę puścić! to może jaki sekret! Panienka dała depeszę; tylko nie wiem, jak to wysłać telegrafem.

— Depesza? No, to żaden sekret; to każdy może czytać. Nie mogą wysłać inaczej, tylko przeczytają i telegraficznymi znakami napiszą.

— Kiedy tak, to proszę już czytać, tylko żeby się nie dowiedziała.

— „Chamów, Dramowski. Brat zwarjował. Potulińska“. Patrzcie! Co jej do tego? Widzisz Józiu! ty masz więcej rozumu w jednym palcu, niż twoja panna sędzianka w całej głowie, choć nie wiesz, że depeszę każdy może czytać. Dajno, ja to napiszę, jak należy, i wyszlę sam, bo taka mądra depesza i za rok nie dojdzie.

Napisał: „Podole, Kłonów. Malińskiemu. Karol przyjeżdżaj natychmiast“.

Sprytna Kazia ani przypuszczała, że wyjawiając miejsce pobytu młodszego Dramowskiego, naraża go na wielkie przykrości, że brat za granicą nosił inne nazwisko, a korespondencje z rosyjskiego zaboru otrzymywał przez Kłonów na Podolu. Rajski wkrótce wrócił z pokwitowaniem.

— Masz! zanieś to twojej pannie i kłaniaj się jej odemnie.

— Ślicznie dziękuję panu! — rzuciła, odchodząc.

Na schodach zetknęła się z Walkiem.

— Panny Józi proszę buzi! — szepnął, nachylając się do jej ucha.

— Ot, niech pan Walenty nie żartuje! Proszę lepiej powiedzieć, za co tatka do cyrkułu wzięli?

— Przez pomyłkę: należało wziąć oficera, a wzięli stróża; nic więcej.

— Za cóż mu ten oficer od złodzieja wymyślał?

— A no! sądził po sobie.

— Z panem Walentym to i gadać nie warto.

— Kłaniam uniżenie — odrzekł, znikając we drzwiach poddasza.

Walek przyniósł kilka plasterków kiełbasy, parę jaj i dwa mazurki. Rozwinął papier i zaczął nastawiać samowar.

— Schowałeś papiery? — zagadnął go Rajski.

— I do sądnego dnia nie znajdą.

— Słuchaj, nicponiu! To ty skradłeś zegarek?

— Ależ nie; przechowałem go tylko, by się nie zgubił, gdy ten jegomość znów zechce dawać przedstawienia uliczne.

— No, ale Maciej może za to posiedzieć.

— A niech siedzi! Czego mię nie puszcza przez główne drzwi, gdy chcę pana odwiedzić?

— Lepiej, że cię nikt nie widzi.

— Przecież niosę zawsze buty z naprawy.

— Jak udajesz szewca, chodźże temi drzwiami, co szewc.

— Albo szewc to co?

— Ja myślę, żeś nie przyszedł o szewcach dysputować. Widzisz, tu z powodu tego zegarka może być rewizja. W takim razie będą i u mnie przetrząsali, bo stróż tu czasem zachodzi. Oddaj stróżce ten zegarek, by go zwróciła Krapotkinowi.

— Można. Ja o zegarek nie stoję. Sądziłem tylko, że takich wybryków nie należy płazem puszczać. Potłukł się wprawdzie, ale to mało: pijany i nie poczuł.

— Ale widzisz, ta historja może nas wszystkich kłopotu nabawić. Zresztą, to rzecz brzydka — kraść.

— Zgodzi się pan, że bywają brzydsze.

Zasiedli do skromnej uczty wielkanocnej. Jedli milczkiem wędlinę, popijając herbatą. Obaj byli głodni, każdy z nich jednak jadł powoli, małymi kąskami, oglądając się, by nie wziąć więcej, niż drugi. Rajski pierwszy jeść przestał i zapalił papierosa. Walek wstydził się kończyć bez towarzysza; tak więc ostatni plasterek kiełbasy pozostał na papierze, młodzi ludzie palili, popijając herbatą.

— Chciałem pana o coś prosić — ozwał się po pewnem wahaniu Walek.

— O cóż to?

— Ja chcę zostać porządnym człowiekiem.

— To nie kradnij!

— Nie o to chodzi.

— Więc czegóż chcesz?

— Ma tu przyjechać ten Dramowski, co jeszcze nie zwarjował. Niech mię pan zarekomenduje do jakiej roboty.

— Dobrze. Zacznij więc od tego, że wychodź codzień na stację o wpół do siódmej, by Dramowskiego wprost do mnie zaprowadzić.

— A jak go poznać?

— Taki sam kubek w kubek, jak ten, tylko młodszy.

— Dziękuję panu.

Walek odszedł, Rajski uprzątnął ze stołu resztki jedzenia i zasiadł do pisania. Opisał nieprzyzwoite i dzikie zachowanie się oficera Krapotkina i najniedorzeczniejsze aresztowanie stróża. Korespondencję włożył do koperty i zaadresował, jak poprzednio depeszę: Kłonów, Podole. Malińskiemu.

Depesza Kazi, przerobiona przez Rajskiego, tego samego dnia jeszcze doszła do Kłonowa. Naczelnik poczty, pan Jerzy Maliński, był sam jeden w biurze, mógł więc natychmiast zatelegrafować do Chamowa bez obawy zwrócenia uwagi pomocnika na stosunki swoje z zagranicą. To też na drugi dzień świąt pospieszny pociąg unosił pana Karola Dramowskiego ku rosyjskiej granicy.

Teraz dopiero, oderwawszy się od usilnej, wymagającej ciągłego natężenia władz umysłowych,

pracy, uczuł pan Karol, jak bardzo jest znużony i wyczerpany.

Zazwyczaj podróż koleją była dla niego pożądanym wypoczynkiem: spał, jak zabity, budząc się tylko na główniejszych stacjach. Dziś jednak nie mógł zasnąć. Wezwanie do Wintowa rozstroiło go ostatecznie; domyślał się prawdy: brat, jeżeli nie odebrał sobie życia, to zapewne zwarjował. Rajski w każdym prawie liście wspominał o dziwactwach Mieczysława; Karol uważał go od dawna za człowieka nienormalnego, zresztą miał już w Tworkach ukochaną siostrę. Wspomnienie to zabolało go bardziej, niż obecne, przewidywane oddawna nieszczęście. Utkwił wzrok w poręcz przeciwległej ławki i widział niemal siostrę, tak żywo stanęła mu w pamięci. Te oczy duże, ciemno-szafirowe, głębokie, patrzące gdzieś w dal własnej zadumy, twarzyczka drobna, zwężająca się ku dołowi i małe, blado-różowe usteczka, zaciśnięte wyrazem tajonego cierpienia, ten wyraz żalu, czy niemej skargi, zawsze wzruszał go głębokiem dla siostry współczuciem... Dalej przypomniał sobie dzień jej zaręczyn z Malińskim. Pogodna była, piękna, nie pozowała, nie zajmowała się swoją osobą, nie czepiała się bezustannie narzeczonego. Źrenice tylko, bardzo rozszerzone, świeciły niezwykłym, przykrym niemal blaskiem. „Zwarjowała!“ — myślał po raz niewiadomo który i zdawało mu się, że to być nie może: nie chciał wierzyć własnej pamięci. A pamięć nieubłagalna nasuwała mu dalej strasznej

przeszłości obrazy. Oto widzi ją smutną, bladą, zamyśloną... Westchnęła i podniosła ku niemu wielkie, zdziwione oczy. — „Powiedz mi Karolu — pyta, ni stąd, ni zowąd — czy w życiu jest poezja?“ — „Poezja w życiu?“ — odpowiada zakłopotany i zdziwiony. — „Nie myślałem nigdy o tem: poezja jest wszędzie dla tych, co są zdolni ją odczuć“. — „Ach nie: piękno, poezja, miłość, uniesienie — to fałsz, bajka dla dziatek, to śmieszne złudzenie: jaka ta łąka zielona, co nęci zdaleka, wejdź na nią, a w lepkiem błocie zatapia człowieka — tak i życie — pokryte kwieciem trzęsawisko, pająków, gadów, niedźwiadków siedlisko!“

Karol nie mógł sobie darować, że zaniedbał siostrę w tak niebezpiecznej chwili. Robił sobie gorzkie wyrzuty: mógł wezwać Malińskiego, mógł ślub przyspieszyć, powinien się był poradzić z lekarzem: takie rymowanie nie jest objawem normalnym. Miał wiele zajęcia z powodu nowego pisma, które zamierzał wydawać wespół z kilku towarzyszami, dlatego nie zwrócił dostatecznej uwagi na stan biednej dziewczyny. Zresztą uspokajała go wówczas ta myśl, że panny zaręczone wszystkie jakoś dziwaczą. Rymuje słowa, to dowód silnego podniecenia; wyjdzie za mąż i uspokoi się. Ze dwa tygodnie, a i dłużej nawet Janina była całkiem normalną: zajęła się kupowaniem wyprawy; Karol zapomniał był o chwilowym przystępie wierszomanii, gdy naraz, zapytana o wyprawę, znów odrzekła rymami po ciężkiem westchnieniu:

— Już jest gotowa: wszystko drogie, ładne,
A tylko jedno wstrętne i szkaradne.

Takie oświadczenie zaniepokoiło już nie pomału brata.

— Nie kochasz Malińskiego? — spytał z obawą i zdziwieniem.

— Ach miłość? Ja jej nie chcę, ja się sobą brzydzę,
Ja człowieczeństwa swego jak grzechu się wstydzę!
Mnie życia brudy, mnie powszedniość boli!

— Ja nie chcę... Nie chcę! nie chcę! — krzyczała. — To okropne! nie chcę!

Uciekła do swego pokoju, rwała na sobie odzież, krzyczała. Dramowski strasznie cierpiał, przeżywając pamięcią te bolesne chwile i nie mógł odegnać wspomnienia, musiał doń powracać przy każdej ciężkiej przykrości, która go spotykała, a zwłaszcza w chorobie; z każdem nowem cierpieniem musiał i to dawne przeżywać i przeboleć. Nareszcie zaczął się uspokajać! wspomniał Malińskiego: ten na widok obłąkania narzeczonej zachował całą zimną krew, nie okazał najmniejszego wzruszenia, piękna jego twarz nie poruszyła się, nie zmieniła wyrazu; w parę tygodni jednak po odwiedzeniu Janinki do Tworek, włosy miał już prawie białe. Brat jej, Mieczysław, przyjął wiadomość obojętnie: nie miał żadnych przywiązań, kobiet wprost nie lubił, nie wyłączając siostry. Gdy ujrzał ją z obłąkanemi oczyma z pianą na ustach, zląkł się o siebie. Wkrótce potem wyniósł się do Wintowa. — „A ot, ja się nie boję“ — zauważył Karol i zaraz

doznał uczucia nieznośnego strachu. — „Teraz moja kolej, to rzecz prosta!“ i fala gorącej krwi napłynęła mu do mózgu. — „Cóż znów!“ uspokajał sam siebie — „kobiety lubię, artystą nie jestem, poezji nie ciepię“. I w tejże chwili myśli zaczęły mu się w wiersze układać! wyraźnie miara, rym, średniówka. — „Nie trzeba myśleć!“ — opędzał się Karol od natrętnych rymów. „Ot, do ‚myśleć‘ nic nie znajduję: to dobrze!“ — wysilał się na prozę. „Trzeba się ożenić; to mię uchroni. Nie można tak żyć jedną tylko troską redaktora dziennika: to nie normalne; taka jednostajność pracy nuży mię: rodzina wniesie do mojego życia mnóstwo myśli i wrażeń bardzo odmiennej natury. Dawno należało mi się ożenić. Że też nikt mi się dotąd nie podobał do tego stopnia, żebym aż o małżeństwie pomyślał? Tyle ich znałem i każdej czegoś brakowało. Czego właściwie? — Rozsądku. U kobiet, a właściwie u panien, to rzecz bardzo rzadka. No i każda chce, żebym się koniecznie w niej kochał, a ja nie mogę. Jestem zbyt dobrze ucywilizowany, zbyt dobrze wiem, co jest kobieta. Wszystkie są jednakowe. *Das ewig Weibliche* — to mają wszystkie, no i nos, oczy, usta... By się nad tem unosić, trzeba mieć lat ośmnaście, a ja mam dwa razy tyle.

Ależ mnie głowa boli, zasnąć nie mogę — to zmęczenie. Fizycznej pracy, ruchu, powietrza — ruchu jak najwięcej! Co się tam dzieje w Wintowie? Czy Mieczysław także rymuje? Nie trzeba do tego powracać! Ot, z kim ja się ożenię? Ztem

zapytaniem zasnął. Śniło mu się, że pisze wstępny artykuł wierszami i rymu dobrać nie umie. „To bardzo szczęśliwie“, myśli, „widocznie nie zwarjuję“. I zaczyna pisać prozą, taką gładką, łatwą, potoczystą... skończył, podpisał. Teraz zaśnie na dobre. Zasnął. Gdy go zbudzono na granicy, nie wiedział, gdzie jest i co się stało, dopiero spojrzawszy na przeciwległą ławkę, przypomniał sobie, dokąd jedzie i po co. Po rewizji na komorze celnej spał do samego Wintowa. Przespał ośmnaście godzin. Świeże powietrze wiosennego poranku orzeźwiło go, rozpędziło ociężałość po zbyt długim śnie, rozwiało obawy o stan umysłu. Zapalił cygaro i skierował się ku wyjściu, gdy we drzwiach ukazał się Walek i wprost podszedł do Karola.

— Proszę pana, czy nie pan Dramowski?

— Tak. A ty kto jesteś, żeś mnie poznał?

— Pan Rajski mnie posłał, proszę pana, żeby walizkę zanieść i drogę pokazać, bo pan miasta nie zna.

— Jakżeś wiedział, że to ja?

— Widziałem tego pana Dramowskiego, co tu mieszkał. Ma taką samą twarz, jak pan, tylko że włosy ma długie.

— A teraz gdzie ten pan mieszka?

— W szpitalu: dostał pomięszania.

— I cóż robił?

— Statuy powyrzucał na ulicę, wiersze mówi bardzo piękne o Kainie, o Rzymie i katach.

— Prowadź mnie do pana Rajskiego.

Karol czuł się rzeźwym i lekkim. Dziwno mu teraz było, jak mógł się lękać obłąkania dla siebie. Rajskiego zastał jeszcze śpiącym; nie budził go. Walek zszedł do kuchni rzeźbiarza i wrócił z samowarem.

— Panie Rajski! proszę wstawać: pan Dramowski już jest.

— Nie budź! zawcześnie jeszcze.

— Kazał zaraz zbudzić, jak tylko pan przyjdzie. Panie Rajski!

Rajski mruczał przez sen: „Idź precz! dasz mi ty spokój?“ Wtem rozbudził się i ujrzał Dramowskiego.

Walek zaparzył herbatę i wyniósł się dyskretnie.

— Wiesz już? — spytał Rajski po krótkiem a serdecznem przywitaniu.

— Powiedział mi ten chłopiec. Zresztą domyślałem się czegoś podobnego. Mówiłeś z doktorem?

— Nie. Sam się rozmówisz. Wypijmy herbaty.

Zasiedli do stołu.

— O której ten doktór wstaje? — spytał Karol, kończąc z pośpiechem szklankę chińskiego napoju.

— Ach! zapomniałem. Toż u niego wczoraj obchodzono imieniny, czy przyjęcie jakieś. Musi grać jeszcze. Pośpiesz, bo jak się położy, to długo poczekasz, nim się wyśpi.

— Cóż to za człowiek, ten doktór?

— Ot, taki jak i inni: wszystko uprawia z za-

pałem, prócz swego fachu. Zresztą sam go poznasz. Masz tu pieniądze, co były przy Mieczysławie: schowałem je, by nie wpadły w ręce policji.

— Mieszkanie opieczętowano?

— Nie. Opowiem ci wszystko później, bo to cała awantura; zresztą opisałem to w mej korespondencji do „Siły narodu". Coś podobnego tylko z Moskalami przytrafić się może.

— Dobrze zrobiłeś. Jak najwięcej takich faktów!

Karol, nie czekając, aż się Rajski ubierze, kazał Walkowi, by go zaprowadził do doktora.

Okiennice były zamknięte, ale żółtawe światło lamp przezierało przez szpary. Oczywiście nie spano tam jeszcze. Karol pociągnął za dzwonek. Zbudził się lokaj, drzemiący na krześle w przedpokoju i ziewając, otworzył drzwi.

— „Już kogoś licho przyniosło!" — usłyszał Karol, wchodząc do poczekalni. — „Powiadam państwu, ci ludzie życie mi zatruwają, nie dadzą ani zjeść, ani się wyspać... ani..." — „Niech czeka!" — krzyknął niecierpliwie lokajowi, nie dając mu zameldować.

Dramowski usiadł przy oknie i zapalił cygaro.

— „Kier! Dwa piki! Trzy piki! Trzy bez atu! Cztery kiery! Cztery bez atu! Mały w trefy! Mały w karo! Mały w kiery!" — słyszał szybką licytację. Potem cisza, tylko karty padały z szelestem. — Dwanaście lew, koronka do dyski, trzy asy z koronką" — liczył głos doktora; i znów szelest kart,

licytacja i szelest. Tu karta przebiła niespodziewanie lewę — stuknęła mocno po stole wraz z ręką, która ją rzuciła, inne padały cicho, nieśmiało, wreszcie któraś zaznaczyła niezadowolenie z partnera. — „Któż atutuje, kiedy ja renans zaznaczam?“ — „Renans! przepraszam, ja rozumiałem króla z damą“. — „Jaki tam król z damą po dwóch pasach! Pan się nigdy grać nie nauczysz, panie sędzio! Teraz jesteśmy bez dwóch i taka koronka przepada!“

— Ale tam ktoś czeka — ozwał się nieśmiało młody głos syna doktora.

— A, to niech czeka! zawsze nie w porę chorują! Zresztą jak sam przyszedł, to nie bardzo chory.

— Może nie dla siebie papo — ozwał się młodzieniec — należałoby się spytać.

— To tembardziej zaczeka, kiedy nie dla siebie. No, grajmy, czasu szkoda!

— A mnie już pora spocząć! — ozwał się lękliwie jeden z gości.

— Co tam! Głupstwo! Powtarzam sędziemu, że emerytury dożyje i złotego wesela w dodatku. Żeby to wszystkim takie zdrowie! No! jeszcze robra.

Syn doktora wybiegł ukradkiem do poczekalni.

— Kto tam machorkę kurzy? Niewolno u mnie! — zawołał doktór, niemile podrażniony dymem austryackiego tytoniu.

— Przepraszam pana — starał się załagodzić

syn — ojciec przypuszczał, że to ktoś ze służby. Czy to pan dla siebie potrzebuje pomocy?

— Nie, panie. Przyjechałem w sprawie mego brata.

— Ach, to pan jest bratem pana Dramowskiego? Zaraz ojcu powiem...

— Felek! chodź! już rozdano! — wołał w tej chwili doktór.

— Papo! to brat tego pana Dramowskiego.

Doktór zerwał się od stołu.

— Przepraszam najmocniej — zagadnął uprzejmie, wchodząc spiesznie do poczekalni. — Tak mi ludziska nigdy spokoju nie dają... myślałem, że jaki robotnik, bo to oni w tygodniu jako tako się trzymają, a w święto idą do lekarza. To pan rannym pociągiem przyjechał? Ja gości przeproszę, wreszcie już biały dzień, to się rozejdą.

Wyszedł do salonu, za chwilę powrócił i usiadł naprzeciw Karola, czekając zwykłych zapytań.

— Mówiono mi, że doktór odwiózł mego brata do szpitala — Zaczął Karol. — Chciałbym wiedzieć, co doktór sądzi o jego stanie? Czy to jest rzecz przejściowa?

Hm... kto wie, na pewno twierdzić niepodobna. Nie sądzę jednak.

— Czy mogę prosić pana, by zechciał wraz zemną odwiedzić chorego?

— I owszem, bardzo chętnie, ale dopiero o jedenastej. Nie ja szpitalem zarządzam, a doktor Winogradow w święta najczęściej się spóźnia.

— Któż pana wezwał do brata?

— Panna Kazia Potulińska, córka sędziego. Bardzo przytomna i odważna dziewczyna. Mało zdarzało mi się spotykać w życiu takich roztropnych ludzi — kobietę widzę pierwszą: ulicę kazała zagrodzić, stróża postawiła na straży, policję sprowadziła, mnie przemocą od święconego oderwała, nie dała jajka przełknąć... Powiadam panu, kobiety zaczynają nas w kąt zapędzać.

— Podobno policja nie przyszła?

— Przyszła i wzięła stróża — śmiał się doktór, trzęsąc grubym brzuchem. — To się musiał zdziwić! Ta mała kazała mu stać, żeby chory kogo nie zabił, bo walił w przechodniów statuami; i cóż pan powiesz, weszła ze mną potem przez wywaloną ścianę, nie bojąc się spadających kamieni. Ja, mężczyzna, a wyznaję, że mi nie zupełnie było przyjemnie iść, jak do szturmu, pod gradem pocisków; a ta ani drgnęła!

— Skądże się tam wzięła?

— Sąsiadka, mieszka naprzeciwko.

— Więc o jedenastej mogę liczyć na pańską uprzejmość?

— Taak... o wpół do dwunastej.

Karol pożegnał doktora i poszedł błąkać się po mieście. Przeszedł bulwar, zaszedł nad rzekę, wrócił do tumu. Wszędzie cisza, jasno, świeżo. Powietrze chłodną strugą wlewa mu się do piersi, a z niem razem jakieś dawne, nieuchwytne wspomnienia. Przestał myśleć, a raczej myślał bez słów,

Wszystko, na co tylko spojrzał, mówiło mu coś z jego własnego życia: gra światła na wodzie, świergot ptaszka w krzaku, kolor listka, żuk szmaragdowy w trawie, kropla rosy, błyszcząca na słońcu — on gdzieś to już widział i było mu wówczas tak błogo, tak pogodnie w duszy... Jakieś zapomniane uczucie budziło się w nim na chwilę i gasło. „Gdzie to było?“ — szukał w pamięci i szedł dalej. Jakiś zapach tak żywo, tak dotykalnie odświeżył wrażenie czegoś, kogoś... już wie. On po raz pierwszy w życiu kochał się w taki dzień właśnie. Był jeszcze dzieckiem wówczas: miał może lat dziesięć, nie więcej, a ona była dorosłą. Jak on to jeszcze pamięta, po tylu latach? To ten zapach mu ją przypomniał; miała w ręku kwiaty: różowe były, wyglądały jak gałązki ponawieszane sercami, z każdego serca płynęła łza. Odtąd nie spotykał nigdzie tego kwiatu; wyszedł zapewne z mody. Jak to się ten kwiat nazywa? Jakoś na D. Stanął; zdawało mu się, że doszedł do mieszkania brata.

W ogródku Kazia polewała kwiaty. „Aha! deklitra!“ — przypomniał sobie raptem, ujrzawszy różowe, wdzięczne gałązki. „To owa roztropna Kazia uprawia płaczące serca?“ Ładna, zgrabna, nie mała i nie fryzowana. Ani trochę niepodobna do pokojowego pieska.

— Raczy mi pani powiedzieć — przemówił, uchylając kapelusza — czy tu mieszkanie pana Dramowskiego?

A Kazia dawno go dostrzegła. Czekała nawet czas jakiś w progu z polewaczką w ręku i dopiero, gdy się zbliżył do ogródka, wyszła polewać owe deklitry, kupione na jego intencję.

— Tak, tu mieszkał — odrzekła swobodnie, patrząc mu prosto w oczy — ale go pan w domu nie zastał: zachorował i przeniesiono go do szpitala.

— Czy może mnie pani objaśnić, u kogo mogę dostać klucz od mieszkania?

— I owszem: niech pan wejdzie aż na poddasze, tam mieszka pan, który się chorym opiekował.

— Dziękuję pani! skłonił się i wszedł do domu. „Zupełnie naturalna, swobodna i ładna... Potulińska“. Coś niemiłego przypominało mu to nazwisko. Znał ją skądeś. „Potuliński... sędzia... coś musiałem słyszeć o nim“.

„A panna właśnie taka, jakiej mi potrzeba: nie mała, nie drepcze, nie śmieje się, gdy na nią spojrzeć, doktór powiada, że roztropna... ożeniłbym się z nią“. Tu zapukał do drzwi Rajskiego.

— Chodź, chodź! i nie udawaj, żeś mieszkania nie poznał. Chciało ci się gadać z tą gęsią.

— Czegóż chcesz? Wcale ładna.

— I... i łabędź, to gęś.

— Podobno bardzo dzielnie się zachowywała. Doktór mówił o niej z podziwem.

— A, właśnie, właśnie! Sprowadziła policję i palnęła do ciebie depeszę do Chamowa. Szczę-

ściem sprzątnąłem twoje listy i dzienniki, a depeszę skierowałem na Kłonów.

— No, nie mogła przecież wiedzieć, że mnie naraża.

— Zapewne! Najgłupszy stróż wie już o tem, że policję zawsze należy odprowadzać, a nie sprowadzać, a taka sędzianka Potulińska nie wie. Pewno nie tatuś jej tego nauczy.

— Aha! co to za sędzia Potuliński? Coś znajomego...

— Nie pamiętasz? toż to ten sędzia, co skazał polaka za kradzież na trzy lata do kozy — a dwóch policjantów wspólników uwolnił. Taki kawał draba zasądziłby rodzoną matkę, byle spokojnie emerytury dosłużyć.

— Ah! Tak! szkoda!

— Czego szkoda? — pozwól siebie zapytać.

— Że ta dziewczyna wyrosła w podobnem otoczeniu, jeśli chcesz wiedzieć koniecznie.

— Czy nie zamyślasz ty wyrwać ją z tego otoczenia? No! to ci nie winszuję! W takim razie już lepiej wyrwij Józię, córkę stróża.

— Córkę stróża, to już ty wyrywaj.

— A mnie to po co? Swoją drogą, gdybym miał nieprzepartą chęć wyrywania, z pewnością wybrałbym Józię. Miałbym przynajmniej spokój w domu; wiedziałbym, że nie będzie ujadania ze sługami, wiecznych skarg na kucharkę, scen rozpaczy, gdy bąk zachoruje... Ah, te dzieci, ta histerja macierzyńska, te sługi, te spóźnione obiady,

przepalone pieczenie... Proszę cię, pomieszkaj ty czas jakiś w familijnym domu i przypatrz się, co ciebie czeka, bo widzę, że masz ochotę uwiązać sobie kamień u szyji: — I pójdziesz na dno i ty i twój tygodnik i twoja inteligencja i twoje ideały...

— Właśnie chciałbym mieć syna, by mu te ideały przekazać.

— I majątek po bracie i siostrze i zarodek szaleństwa we łbie!

— Właśnie chcę siebie od szaleństwa uchronić.

— To przedewszystkiem nie żeń się! — krzyknął już prawie Rajski — bo to samo już jest szaleństwem. Ale co ty mi gadasz o ideałach! To głupi instynkt dynastyczny. Królewiątko jesteś; ostatni z rodu; chcesz przekazać, nie ideały, ale nazwisko, żeby świetny ród Dramowskich nie wygasł. No! niechże ten potomek Dramowskich rodzi się sobie z Potulińskiej! Tam nie ma w rodzie warjatów, tylko tchórze.

— Ty tak gadasz, jakbym ja już szedł do ołtarza z tą Kazią Potulińską.

— Wtedy już nie będę gadał — odparł łagodniej — bo wówczas będzie za późno. Widzę, żeś się zainteresował, Bóg wie, kim, a wmówiłeś w siebie, że się żeniaczką od bzika wykręcisz, więc cię ostrzegam, bo gotóweś palnąć setne głupstwo.

— Wydała mi się całkiem różną od wszystkich panien, jakie dotąd znałem.

— To już najgorzej! toś przepadł! A na dowód, że niczem się nie różni od innych, powiem ci, że

ona uplanowała sobie, nimeś jeszcze przyjechał, wydać się za mąż, za ciebie.

— Skąd znów?

— A stąd, że wskutek tego artykułu w „Sile narodu“ o zacnym tatusiu, cała młodzież ją opuściła, a miała konkurentów i wielbicieli jak na Wintów — sporo. Z Warszawy nawet dwóch bywało. Teraz skorzystała ze sposobności ściągnięcia na siebie uwagi nowo przybyłego, co nie znał jej dawnego powodzenia i obecnego upadku, by go złapać i pociągnąć aż do ołtarza. Zaopiekowała się Mieczysławem, oczarowała doktora, nakupiła płaczących serc, ubrała się w białą bluzkę, wysłała do ciebie depeszę i podpisała: „Potulińska“. Znaczy: „Przyjdź mi podziękować“.

— I podziękuję.

— Będziesz ty sam sobie dziękował!

Rajski zrobił, co mógł najgorszego: Zainteresował przyjaciela osobą Kazi. Zaciekawiony był Karol, jak go też przyjmie panna, która zastawiła nań bardzo zgrabne sidełka. Nie miał jej za złe tego miłego polowania — przeciwnie: znalazł, że jest przedsiębiorcza, konsekwentna, prosto idzie do zamierzonego celu... a że tym celem jest małżeństwo, to przecie rzecz całkiem naturalna. Najgorętszem pragnieniem każdej panny jest i być musi — zamęście. Przyjęte jest ogólnie mieć im to za złe, gdy szukają sposobności wydania się za mąż. To bardzo niesłuszne. Dla nas, mężczyzn, małżeństwo nie jest kwestją bytu niemal, jest warunkiem drugo-

rzędnym naszej egzystencji, a jednak nikt nas nie potępia, gdy szukamy sposobności zbliżenia się do kobiet w celach matrymonjalnych. Wypytujemy się, prosimy o wprowadzenie do towarzystwa, przedstawienie pannie, mamie, tacie, dowiadujemy się o posagi, lata, zdrowie... a na pannę rzucamy kamieniem za najmniejsze staranie w tym kierunku. Co nie przeszkadza, że każemy siebie zdobywać, byle w sposób nieskończenie subtelny. „Ciekawa rzecz, czy mnie ta Kazia, taka przedsiębiorcza, rzeczywiście zdobyć potrafi?“ Przeszłości ojca nie uważał za przeszkodę do małżeństwa. Dzieci nieraz tak są od rodziców różne: i takie są zwykle najsamodzielniejsze, najbardziej obiecujące.

Przytem Karol poczuwał się do winy względem Kazi. Wydrukował nazwisko jej ojca z odpowiednim epitetem, na jaki czyn jego w istocie zasłużył i oto kara spadła nie na winnego, ale na biedną córkę, zamykając jej drzwi do zbawienia, czy zamążpójścia, co na jedno wychodzi.

Dla tych i wielu innych powodów, głównie jednak dla wysokiego wzrostu i owego rumieńca, podniesionego farbką z wielkanocnego jajka, postanowił złożyć Kazi wizytę, z zaznaczeniem, że ją tylko odwiedza nie zaś szanownych życiodawców. Wpierw jednak musiał myśleć o Mieczysławie. O godzinie wpół do dwunastej udał się z doktorem do miejskiego szpitala. Starszy „ordynator“ dr. Winogradow przyjął Karola bardzo ozięble, raczył jednak sam zaprowadzić obu do celi chorego.

— Aha! Ty Karolu! no, jakże tam? — witał go brat, zupełnie temi słowy i tym tonem, jak dawniej, gdy był przytomny jeszcze.

— A cóż, wszystko dobrze — odrzekł Karol.

— Widzisz! — mówił dalej Mieczysław, ukazując mu szerokim rozmachem ręki celę z zakratowanem oknem. — To nic, mnie to wszystko jedno, tylko wyrzuć mi stąd to śmiecie! Wskazał ręką obu doktorów.

— Cóż ty tu robisz? — spytał Karol, chcąc się przekonać, jak dalece brat jest nieprzytomny.

— Nic nie robię. Zamknięto mnie tu, bom swoje rzeźby powyrzucał; a nie mogłem inaczej — żadna nie miała wyrazu w oczach: wszystkie patrzały tak, jak to oto bydlę. — Ukazał Winogradowa.

— Moja obecność rozdraźnia go — rzekł ten, czerwony od gniewu i wyszedł.

— A! wreszcie! czas było! — miałem go trzasnąć po fizionomji. Warto? Prawda? Sam pysk naprasza się policzka. Ja mu jeszcze nie taką sztukę wyrządzę: uszy i nos mu poobcinam, złodziejowi! Wszystkim im! wszystkim. Obrzydzają mi życie.

— Chwila względnej przytomności — rzucił doktór półgłosem, nie patrząc na Karola.

Mieczysław dosłyszał:

— Ja jestem całkiem przytomny. Ja tworzę, ja jestem Buonarotti. Pamiętam, jak malowałem sykstyńską kaplicę. Potem rzeźbiłem, teraz piszę poezje: Kaina. Koniec już mam:

„I tak stać będziesz do skończenia świata,
„Wpatrzony w trupa, stróżem twego brata“.

Na księżycu. Rozumiesz? Ty widziałeś księżyc? Tam jest morze spokoju. Pomyśl: spokoju — spokój!

Twarz Mieczysława była w tej chwili niepospolitą, pełną natchnienia, wzrok miał głęboki, rozumny.

— Ja go nigdy nie miałem: czułem, pragnąłem, cierpiałem... Tam spokój, gdzie wszystko umarło, zgasło, zastygło... I ja umrę wkrótce. Ty mnie tu nie zostawiaj, lepiej już w Tworkach osadź. Patrz: — wskazał na napis nad łóżkiem: „Tyfus“. To nie prawda, ja jestem chory na Moskali. To jest pewien rodzaj trądu. Ja jestem cały pokryty ranami. To oni rozjadają mi duszę. Oddawna, od bardzo dawna.. Idź już: teraz wiesz wszystko!

— Ja jeszcze tu przyjdę — rzekł Karol i pożegnał nieszczęśliwego.

— Karolu!

— Czego chcesz?

— Ty nie rozpaczaj, to wszystko się skończy, Kościuszko mi to powiedział; był u mnie i mówił, że noga ich tu nie pozostanie. Wiesz? powstanie już jest zorganizowane, ale cicho! udawaj, że nic nie wiesz. No, bądź zdrów!

Nigdy Karol nie rozumiał brata tak jasno, jak dziś, kiedy ten zwarjował; on był chory na Moskali, on całe życie musiał cierpieć: przegryźli mu duszę. On to rozumiał. Ciągła niewola, hańba,

poniżenie, bezsilność... Zabolał ciężko nad tym bratem, który pierwszy raz oto odkrył mu swą duszę już chorą, złamaną cierpieniem całego życia...

Na kurytarzu spotkali młodszego „ordynatora“, dra Paszkowa. Doktór Polak demonstracyjnie odskoczył w bok, jak od gadziny. Paszkow zauważył to i uśmiechnął się pobłażliwie. Zbliżył się pierwszy do Karola.

— Domyślam się, że pan jesteś krewnym naszego chorego, chciałem z panem pomówić o stanie jego zdrowia; obserwuję go już od trzech dni...

Zaprowadził go do wielkiego pokoju, umeblowanego, jak gabinet lekarza, podał mu krzesło i sam usiadł naprzeciwko, jak do konsultacji.

— Pan jesteś może bratem tego pana? — zaczął.

— Tak.

— Czy u państwa w rodzinie był jeszcze kto chory w ten sposób.

— Tak. — Siostra nasza i brat stryjeczny.

— Siostra pańska, w jakim wieku zachorowała?

— W dwudziestym roku życia.

— W jakich okolicznościach? Ja pytam — dodał, widząc wahanie Karola — bo mi się zdaje, że brat pański może się poprawić na zdrowiu, jeżeli nie całkiem wyleczyć. Chodzi tylko o umiejętne leczenie, którego tu nie znajdzie.

— Mój brat stryjeczny zwarjował młodo: — miał lat ośmnaście. Szukał kwadratury koła. Ro-

dzice jego byli spokrewnieni z sobą bardzo blizko. A siostra... zwarjowała..!. zaręczywszy się.

— Jak się objawiała jej warjacja? — Erotomanja?· Nie sądzę.

— Nie — przeciwnie...

— Czy mówiła wierszami?

— Rzeczywiście.

— U was w rodzinie są niepospolite zdolności. Mózg wysubtelniony, poczucie estetyki posunięte do wielkiej wrażliwości, wspaniałe typy. Pan zapewne czujesz w sobie także niemałą siłę umysłową?

— Ja? Redaguję dziennik: to jest fach dla ludzi zdolnych.

— Pismo pańskie w Rosji wychodzi?

— Nie.

— To bardzo dla pana szczęśliwie. Módz się wypowiedzieć, to jest warunek niezbędny dla normalnego funkcjonowania władz duchowych. Jabym się nie dziwił, gdyby cały wasz naród oszalał odrazu. Zresztą i to już było. Ja pana przepraszam — pospieszył, widząc ruch oburzenia Dramowskiego. — Ja, gdy rozmawiam z Polakami, chciałbym zacząć od przeprosin, że jestem Rosjaninem. Myśmy tak zawinili przeciwko wam, że cokolwiek powiemy, wy musicie to przyjąć za ubliżenie.

— Wróćmy do mojego brata — odparł sucho Dramowski.

— Właśnie do tego zmierzałem: jestem przekonany, że przy innych warunkach, niż te, jakie

tworzy nasze tu panowanie, i bracia pańscy i siostra byliby ludźmi niepospolitymi. Pana to dziwi, że ja, Rosjanin, mówię w podobny sposób? Widzi pan, ja tu jestem od niedawna i nie miałem pierwej pojęcia o tutejszych stosunkach; ja jestem rodem z Wiatki. Widziałem i tam naszą gospodarkę, ale tam niema panowania niższego kulturalnie plemienia nad wyższem, ucywilizowanem, wyrobionem w odmiennych warunkach historycznych. Tu człowiek musi wstydzić się, że jest Rosjaninem.

— A jednak pan tu przyjechałeś, bo tu miejsca są lepiej płatne — zauważył nieubłagany Dramowski.

— Ot i masz! Choćbyśmy was nie wiem jak zapewniali, w uczciwość żadnego z nas nie uwierzycie. Ja tak o tem mówię, bo mi to wszystko wezbrało w ciągu trzech lat. Ja tu nie mogę nawet z nikim mówić o tej kwestji. Rad byłem, że znalazł się wreszcie ktoś, przed kim mogę się wypowiedzieć. Pan jesteś bardzo sympatyczny i inteligentny człowiek, literat w dodatku; moja ambicja tak była targana, odkąd jestem w tym kraju! Pragnę, żebyście wy, żeby choć jedna dusza wiedziała, że i u nas są ludzie. Pan zaraz pomyślałeś, że ja tu dla karjery przyjechałem: cóż innego można pomyśleć o „Moskalu“. A mnie tu przywiodły osobiste sprawy: miłość. Także potężne uczucie, a przeszkodami potęguje się jeszcze — rzecz wiadoma. Zresztą ja tu nie zabawię długo.

Dlatego, a i bez tego radzę panu przenieść brata do Warszawy. Widok Rosjan rozdrażnia go; przytem, gdyby nie ja, mój kolega Winogradow zamęczyłby go warjacką koszulą za to wszystko, co mu wygaduje przy każdej wizycie.

— Zabiorę go niezawodnie. Dziękuję panu.

— Ja mu napiszę historję choroby i wręczę, gdy będziemy sam na sam, bo tu on jest zapisany jako tyfusowy. Skandal taki!

— Czemuż to tak?

— A to taka metoda: Szpital jest bezpłatny, więc doktór bierze się na sposób: chory musi płacić za wstępną wizytę, bo nigdzie nie powiedziano, że doktór nie ma brać pieniędzy za opatrzenie chorego. Chorych trzyma się jak najkrócej, by coraz nowi napływali i płacili owe wstępne pięć rubli; kto nie zapłaci, tego nie przyjmują. Biedniejsi wracają umierać do domu. No, a długo trwających chorób nie przyjmuje się wcale. I pańskiego brata wydalą, jak tylko kto nowy przybędzie; przecie już nie ma tyfusu — wyleczył się! — zaśmiał się gorzko doktór. — Zresztą i bez nowych kandydatów wyrzucają chorych, dla ekonomji. Ekonomja! Wina i koniaku sprowadza się dziennie na pięćdziesięciu gorączkowych; rozumie się, wypija to doktór z nadzorcą. To samo nadużycie dzieje się z cukrem, herbatą, chlebem, kwasem... Tego n. p. nikt tu nie pije — nawet robić zaprzestano, a w rachunkach stoi ten kwas na widocznem miej-

2 3018
240

scu: gorączkowi mają silne pragnienie! Ale to już czas na obiad — zauważył, patrząc na zegarek.

— Co się należy za wizytę? — spytał, wstając Dramowski.

— I znowu policzek!

— Przepraszam pana, — pospieszył Karol, podając mu rękę. — Człowiek, jak się spotka z faktem tak wyjątkowym, nie wierzy własnym oczom i uszom.

— A ja właśnie miałem nadzieję, że pan zechce zjeść ze mną obiad.

— I owszem, chętnie przyjmuję. — Zdobył się Karol nareszcie, by złagodzić swe poprzednie postępowanie.

Wyszli razem. Dramowski, przyjąwszy zaprosiny Moskala, odrazu zaczął się złościć na siebie samego. Paszkow także był rozstrojony: pobladł, głębokie oczy straciły blask, krok jego był nierówny, nerwowy. Szli obok siebie w milczeniu.

— Przepraszam pana — ja tu mam słówko powiedzieć — ozwał się wreszcie Paszkow i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Za wysokiemi sztachetami na tle ciemnych gałązek bzu ujrzał nasz Karol wysoką postać kobiecą w szamowej lekkiej sukni. Twarz, zarówno jak i cała postawa była piękną. Był to czysty kaukazki typ, ciemnej szatynki o pięknej głowie, pokrytej bujnym falistym włosem, o cudownie regularnych rysach, doskonałym owalu i wielkich piwnych oczach pod gęstemi czarnemi brwiami;

usta o grubych nieco wargach wschodniego typu nie psuły harmonijnej całości — nadawały jej nawet więcej charakteru; nie była to piękność pospolita, szablonowa; miała odrębny swój wyraz — miała siłę. Głos jej, nizki a dźwięczny odpowiadał doktorowi.

— Przyjdę. — Ty się nie spóźniaj — pomówimy z sobą i to już dobrze.

Paszkow coś odpowiedział półgłosem i powrócił do Karola.

— To może pańska miłość?

— Widziałeś pan?

— Bardzo piękna. — Typ ma wschodni.

— Babka jej była gruzinką, porwaną podobno, czy nawet kupioną.

— Żenisz się pan z nią?

— Ożeniłbym się dziś jeszcze — ale jestem już żonaty. — Żona gdzieś mi się zapodziała. — Pewnie kończy karjerę gdzieś w odpowiedniej instytucji. — Od trzech lat szukam jej, by zmusić do rozwodu; — zresztą obejdziemy się bez niego, gdy inaczej nie można. — Ja mam znaczny majątek we wschodniej Rosji, ona weźmie paszport i zamiast za granicę przyjedzie do mnie. — Czekamy tylko zezwolenia jej ojca na ten paszport. — To człowiek uparty, ma dla niej inne widoki... — A ona odrzuciła już kilkanaście najświetniejszych partyj i pójdzie za mną bez wszelkich ślubów. — To jest człowiek. — Nasze kobiety są różne od waszych; i złe i dobre, są inaczej złe i inaczej dobre. — Ta-

kich Anielek Płoszowskich u nas się nie napotyka.— Nasze kobiety, to charaktery męzkie, odważne — o twardej woli i silnych namiętnościach...

— Były i u nas bohaterki: każde powstanie wydawało cały zastęp kobiet ogromnego hartu, odwagi i poświęcenia. I dziś, gdyby podobna chwila nadeszła, nie zabrakłoby między Polkami prawdziwych Spartanek.

— Ach prawda! Zawsze muszę przepraszać. Bo też nie znać tego po nich: takie małe, milutkie, koteczki... niktby się w nich Platerówien nie domyślił.

Paszkow popisywał się znajomością polskiej literatury.

— Nasze widocznie więcej mają indywidualizmu.

— Nasze więcej kobiecości: to tylko dowód dawniejszej kultury.

— Rzeczywiście.

Zbliżyli się do domu doktora. Na ławce w ogródku siedziało kilka osób: żydówka z dzieckiem, jakiś obszarpany człowiek z przewiązanem okiem, stary suchotnik z wytrzeszczonemi oczami, nie mogący tchu złapać jeszcze i jeszcze jakaś biedota, w końcu zgrzybiała staruszka.

— A to widzę, już moi chorzy przyszli. Pan pozwoli, że ich odprawię, będę mógł zjeść spokojnie. — Kto tam najdłużej czeka? — spytał, wkładając klucz do zamku.

Teraz dopiero Karol zrozumiał, że Paszkow

zamierza nie odprawić, ale udzielić rady całej tej gromadce. Ku drzwiom posunęła się pierwsza staruszka.

— Co tam? -- zapytał żywo, łamaną polszczyzną. — Zaszło co nowego może?

— A bóle ją zjęły: pewnieć zlegnie tej nocy.

— Ale krwotoku nie ma?

— A i krwawi już-ci od rana.

— Ja pana przepraszam, to ciężki wypadek; muszę iść zaraz, bo mi chora krwią spłynie. Pan mi wybaczy. Lekarz nigdy swoim czasem rozporządzać nie może, jak mu się podoba. Jutro sam przyjdę do pana i zabiorę go z sobą na objad, dziś muszę tej kobiety dopilnować. Już od kilku miesięcy z oka jej nie spuszczam. Do widzenia jutro!—Uścisnął dłoń Karola i zniknął we drzwiach domu.

Dramowski odszedł zły na świat cały, na doktora Polaka, na doktora Moskala, a najwięcej na siebie samego: Nie powinien był przyjmować zaproszenia Paszkowa. Bądź co bądź — jest Moskalem. Między nami powinien być mur nieprzeparty. Każde ustępstwo jest krokiem do pogodzenia z niewolą. Dobrym czy złym powinniśmy okazywać, że nie tu ich miejsce, że ich nie znamy i nie chcemy. Taki Paszkow ze swoją filantropją stokroć jest szkodliwszy, niż to bydlę Winogradow. Dobrze, że się stąd wyniesie, razem ze swoją Gruzinką. Nawet kobiety swoje chciał ponad Polki wynosić.

Panna Tamara Suchaczowa stała jeszcze długo, wsparta na sztachetach ogrodu. Z gabinetu ojca dochodziły ją od czasu do czasu gniewnym głosem rzucane zdania: „Pod sąd wojenny za takie figle!... Skandal taki! w biały dzień! I jeszcze w święto... Już samo obnażenie szabli... spić się i latać za ludźmi po ulicy... rozpięty od góry do dołu... na służbę się nie stawić... Nie myśl sobie gołąbku, że ja cię z biedy wyciągnę. Ja nie mogę takich rzeczy w raporcie przemilczać; Nie ja zajawię, to policmajster doniesie. Policji nie zaczepiać! I zdegradują! Wniosę do książki służbowej! I przepadłeś! Choć zaraz podawaj się do dymisji. Ja plecy mam w Petersburgu, ale za ciebie narażać się nie myślę. Tyś mi ni swat, ni brat“.

Tu głos pułkownika złagodniał całkowicie:

— Jakże się to stało, żebyś ni stąd, ni zowąd biesił się po ulicy? Wyznaj otwarcie, jak rodzonemu ojcu; zmartwienie jakie, czy ciężko ci na sercu? Ja przecie nie zwierz: kto wie, zdołam cię może od kary wykręcić... I sam przecie byłem młody... wiem, co to jest. Jakaś sprawa miłosna? No co? czy zgadłem?

— Jeżeli mam prawdę wyznać — odpowiadał, jąkając się Krapotkin...

Ale Tamara dawno już słuchać przestała. Ojciec zburczał Krapotkina, za nieodpowiedni sposób obchodzenia wielkanocnych świąt. Dobrze mu tak! Nie cierpiała tego człowieka. Rozmyślała wła-

śnie o jutrzejszem widzeniu się z ukochanym, gdy usłyszała wołanie ojca:

— Tamara! Tamara! chodź Tamara!

Pułkownik miał twarz czerwoną, usta mu posiniały, oczy wyłaziły z pod czoła — oddychał ciężko. Wytoczył się na ganek w jednej koszuli i spodniach.

— Ot, jak wyskoczył, *czort pałasatyj*? — ozwał się poza nim gderliwy głos niani staruszki: — wieje tu! Wychodzi na najgorszy przeciąg. Jeszcze raz apopleksji dostanie! Już leżał, dzięki Bogu, jak kłoda przez cały miesiąc!

Staruszka wciągnęła pana pułkownika do pokoju i sama poszła szukać Tamary w ogrodzie.

— Idź, idź, krasawico maja! — Słyszałam wyraźnie: oświadczył się o ciebie.

— Tembardziej nie pójdę!

— Idź, gołąbeczko! — perswadowała stara. — Jeśli ci nie po sercu, odmówisz. Idź! niech się ojciec nie irytuje! Gotów jeszcze zachorować.

— Czego znów? — spytała panna, wchodząc zadąsana do pokoju. — Ten dureń o mnie się oświadczył? To nie może być; on wie, jak nim pogardzam. Jak można było mówić z nim o tem? Nie takich, jak on widywałam.

— Ale wówczas nie chciałaś nikogo, a i teraz nie wiem, na kogo liczysz jeszcze? Tu wielkiego wyboru nie ma: trzeba brać to, co jest.

— Ani myślę. Niech się nie waży mówić ze mną. W twarz mu dam i basta!

— Ależ ty nie możesz wiecznie panną zostać! Jest przecie Lida, którą także trzeba za mąż wydać.

— Cóż stoi na przeszkodzie? Niech idzie za niego. Czy on wyraźnie o mnie mówił?

— A może to i nieporozumienie. Prosił mnie o rękę córki, ja sądziłem, że o ciebie się oświadcza... I tobież to nic, że młodsza przed tobą wyjdzie?

— Ależ niech wychodzi, niech wychodzi! Bylebyście mnie dali spokój!

— Warjatka!

— Czy się wam naprawdę zdaje, że gdy ja raz zechcę wyjść za mąż, nie znajdzie się już dla mnie partji?

— To, to prawda. Przyślijże mi Lidę.

Lida także była w ogrodzie. Siedziała na huśtawce, wsparłszy głowę o sznur i marzyła. Tyle tylko miała w życiu przyjemności biedna dziewczyna. Ani rodzice, ani starsze siostry, już zamężne, ani najbliższa jej wiekiem, Tamara, nie kochali jej nigdy. Była ostatniem rozczarowaniem rodziców, którzy koniecznie pragnęli mieć syna, a doczekali się czterech córek. Malutką Lidę umieszczono wraz z mamką w pokoju niani, po roku mamkę wydalono i dziecko zostało pod wyłączną opieką staruszki. Ta jej sprawiała sukienki, odzież, kupowała zabawki, pielęgnowała w chorobie, uczyła pacierza, prowadziła do guwernantki, gdy doszła do wieku, w którym dzieci zaczynają się uczyć, udzielała nagany lub pochwały za naukę. Dzie-

wczynka, po skończonych lekcjach wracała do pokoju niani, siadała na taburecie pod oknem i nie robiła nic, nawet nie myślała. Czuła tylko, że jej tu dobrze i miło i że niania ją kocha. Potem niania zadecydowała, że należy ją oddać do instytutu, gdzie uczyły się starsze jej siostry; sama sporządziła jej wyprawę, mundurek, i odwiozła do zakładu wylęknioną i zapłakaną. Gdy panienki wróciły na wakacje, Lida zajęła swe dawne miejsce w pokoju niani, usiadła na tym samym taburecie i opowiadała staruszce o instytucie, o nauczycielkach, koleżankach, zabawach, karach, nagrodach. — Dla rodziny pozostała obcą. Nikt się o nią nie troszczył. Uczyła się źle... Patrzyła przed siebie i marzyła, marzyła sobie bajki bardzo piękne. czarodziejskie, których bohaterką była ona, Lida tylko bardzo piękna, zupełnie taka, jak Tamara Inaczej nie umiała wyobrazić sobie piękności. Po skończeniu, z wielką biedą, a małym rezultatem zakładu, wróciło biedactwo do domu i marzyło sobie dalej, żeby to być taką piękną, jak Tamara. Czytając powieści rosyjskie, stawiała siebie na miejscu bohaterki każdego romansu, przeżywała ich koleje, kochała się, cierpiała, za mąż wychodziła, lub umierała, ale zawsze z powierzchownością siostry. Nie czytała jednak wiele — marzyła. Wyobrażała sobie, że jest pośród młodzieży, uwielbianą, kochaną, słuchała wyznania z majestatyczną postawą i przyjmowała w swoich marzeniach każdego z kolei, kto się o Tamarę oświadczał; każdego z nich

po kolei kochała. Czasem widziała siebie mężatką, przyjmującą gości, podtrzymującą poważne rozmowy, dającą trafne i zręczne odpowiedzi, wydającą rozkazy służbie... Głównie jednak marzyła o takich sukniach, jakie mają siostry. Oto siedzi w biegunowym fotelu, w sukni „vieil or“ i z czarnej koronki... Piękna jest, majestatyczna, słucha miłosnych oświadczyn, czyich, nie wie sama i uśmiecha się tak bosko, jak Tamara. I uśmiechnęła się rzeczywiście, starając się naśladować ten uśmiech siostry, pełen godności i wdzięku.

— Czego się śmiejesz? wiesz już? — spytała ją Tamara, zjawiając się jak cień przed rozmarzoną dziewczyną.

Lida zlękła się i zmięszała. Zawsze czuła nieprzezwyciężoną obawę przed tą dumną i piękną siostrą. Zdało jej się, że Tamara odgadła wszystkie jej myśli. Poczerwieniała i spojrzała w stronę, jak zwykle, gdy jej kto przerwał to wieczne marzenie o piękności i zamęściu.

— Idź do papy! Tam się o ciebie oświadczyli.

— Nie żartuj, proszę!

— Ani trochę nie żartuję: idź — Krapotkin czeka odpowiedzi.

Lida wstała, chciała iść, i nie mogła z miejsca się ruszyć. Pobladła, zachwiała się, tchu jej w piers zabrakło. Siostra ujęła ją wpół i przyprowadziła do ojca. Żal się jej zrobiło tej biedaczki, która mdlała z radości na myśl zostania żoną Krapotkina.

— Cóż ty na to didoczka? — pytał pułkownik— pójdziesz za Stefana Iwanowicza? Człowiek dobry, nie głupi, i z powierzchowności niczego. Może zajść daleko: protekcję mieć będzie, jak się z tobą ożeni. Lida ze strachu przed ojcem tłumiła łzy, które się gwałtem do oczu cisnęły.

— Mów, miła moja. Chcesz, czy nie? przymuszać cię nie będę, choć nie taję, byłbym rad bardzo.

— Tak — wyjąknęła wreszcie córka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Chodźże do mnie, miłoczka! Ty u mnie dobra córka, — rzekł ojciec, pociągając dziewczynę ku sobie i przyciskając jej główkę do piersi.

Dla niej to wszystko było tak niespodziane, a pieszczota ojca, rzecz tak zupełnie nieznana, że nie zdołała dłużej opanować wzruszenia, wybuchnęła głośnym płaczem.

-- Co znów? czego płaczesz? Ja cię nie przymuszam, jeżeli nie chcesz.,.

Ale Lida ostatecznie się rozszlochała i uciekła do pokoju niani.

— Nie płacz, gołąbeczko moja! Chrystus z tobą. Nie można sobie tak serca nadrywać. No dosyć już, dosyć! Tyś już narzeczona; narzeczony przyjdzie — oczy będą czerwone, nos spuchnie. Wypij kwasu! Oczy przemyj wodą...

Lida, posłuszna napiła się kwasu, przemyła oczy i spojrzała w lustro. Uśmiechnęła się sama do siebie: wydała się sobie nie brzydką.

— Smiejesz się? — Po sercu tobie młodzian? I chwała Bogu! Ta wyredyczka nie będzie już tobie drogi zagradzała.

— Nianiu! bardzo mój nos czerwony?

— To nic, to przejdzie. Tylko nie płacz już więcej, rodzona!

We drzwiach ukazała się Tamara. Staruszka umilkła.

— Jutro na wieczorku on się z nią rozmówi. Ona nie może iść w tej sukni w kwiateczki: nikt już tego nie nosi — wyrzekła piękna siostra.

— Ach Tamaro! siostrzyczko! Bądź dobra: pożycz mi twoją żółtą suknię. Nie odmów, proszę cię!

— Nie! To niemożliwe. Tyś blondynka — wyglądałabyś szkaradnie w żółtem. Zresztą za duża jest dla ciebie. Przerobić byłoby trudno; czasu mało. Nie. Trzeba wziąć bzową suknię mamy; tren się odrzuci, koronki podpasa, ja ci dam swoje kwiaty, ślicznie będziesz wyglądała.

Lida znów uczuła nadmiar szczęścia; chciała się rzucić siostrze na szyję i nie śmiała. Twarz jej zaczęła się krzywić, usta zadrgały i rozpłakała się na nowo. Tamara objęła ją ramieniem, usiadła z nią na łóżku i zaczęła uspokajać:

— Nie płacz! będzie jeszcze czas i na to. Teraz ja pójdę do mamy po suknię.

— Czyż mama da? — pytała, ocierając łzy.

— Będzie musiała dać. A którąbyś jeszcze chciała?

— Szafirową aksamitną.

— Nie. Dla panny to nie uchodzi.

— Ja przecież za mąż wychodzę!

— Ale jeszcze nie wyszłaś, jeszcze ci się nie oświadczył. Trzeba, żebyś wyglądała młodziutko, jak pączek. Ja cię pięknie uczeszę, dam perły różowe, co ojciec przywiózł z tureckiej wojny, weźmiemy u mamy trochę pudru i ołówek do brwi — spuść się na mnie: ja z ciebie piękność zrobię.

Niania była zdumiona. Spodziewała się nieukontentowania, dąsów, lekceważenia ze strony Tamary, a ta tymczasem dostała napadu wspaniałomyslności. Miewała czasami takie przystępy. Pierwszy raz jednak wielkoduszność jej spływała na młodszą siostrę.

— Niech ci Bóg nagrodzi! Toż ty także dobra i jaka! — mówiła stara ze wzruszeniem. — I ciebie Bóg nie opuści. Świeczkę przeświętej Bogarodzicy postawię, wiecznie modlić się będę o twoje szczęście. I ty się pomódl, słonko moje — zwróciła się staruszka do Lidy — żeby szczęśliwie się wiodło.

Tamara poszła do pokojów matki. Zapukała do drzwi, i nie doczekawszy się odpowiedzi, weszła do budoaru. Pani pułkownikowa leżała na pluszem obitym szezlągu. Gdy Tamarę ujrzała, sięgnęła leniwym ruchem po otwartą na stoliku książkę Robiła to zawsze, by się obronić od dłuższej wizyty. Dawniej czytywała dużo, dziś ją i lektura „męczyła“. Książka całemi tygodniami leżała otwarta na tej samej stronicy; a ona leżała i pa-

trzyła przed siebie — całe dnie, tygodnie, miesiące i lata: odkąd za mąż wyszła. Przynoszono jej do łóżka ciepłą wodę do mycia, potem kawę... Około jedenastej wstawała, zamykała się na klucz i wychodziła dopiero na obiad, bardzo starannie ubrana, bardzo biała, lekko różowa. Zjadłszy obiad, wracała do budoaru, który przez ten czas uprzątnięto i kładła się na szezląg. Dzieci wykarmiła mamka, wyniańczyła niania, wychował instytut, wydawał za mąż ojciec. Ona nigdy, ani na chwilę, ręki do niczego nie przyłożyła. — „Jam zmęczona“ — odpowiadała na pytania, czy to chodziło o zadysponowanie obiadu, czy o chorobę męża, czy o małżeństwo córki. Niania prowadziła dom, niania rozdawała noworoczne podarunki, cukier i herbatę służbie, złożonej z żołnierzy, niezdatnych do szeregu, kupowała prowianty, pielęgnowała chorych. Pułkownikowa kupowała tylko suknie, kapelusze i narzutki dla siebie i starszych córek. Lidę ubierała niania. Cztery razy do roku pani pułkownikowa zajmowała się odnawianiem swej toalety. Wyjeżdżała w tym celu do Warszawy, potem następowały narady ze szwaczką, potem przymierzanie. W ciągu tych dni ciężkiej pracy biedna kobieta czuła się tak zmęczoną, że kazała sobie obiad przynosić do budoaru i spożywała go nawpół leżąc.

Kosztowne suknie tuzinami zapełniały szafy i komody: nigdy prawie nie wkładane wychodziły z mody, nowe przybywały rok rocznie. Starsze córki dorósłszy, przypuszczały od czasu do czasu szturm

do tych składów i poparte groźbami i wymyślaniami papy, zdobywały parę toalet z szafy matki. Dziś po raz pierwszy miała na te stosy uderzyć Tamara. Niecierpiała matki, weszła więc chmurna i surowa do jej przybytku.

— Mamo! Lida za mąż wychodzi — rzekła sucho.

— Ach tak? Jestem bardzo rada...

— Ale ona nie ma nawet przyzwoitej sukni.

— Sukni? To dobrze. Właśnie miałam sobie sprawić letnią toaletę, to i jej wybiorę coś odpowiedniego.

— Jej zaraz trzeba sukni. Ona jutro musi być na wieczorku, a ma jakąś tam fularową w kwiatki, co jej niania kupiła.

— Niania? Niepotrzebnie; to nie jej rzecz. Ona się na tem nie zna.

-- Zapewne, ale Lidzie trzeba zaraz sukni.

— Cóż ja na to poradzę?

— Dać jej którą ze swoich.

— To daj ty swoją! Dlaczegoż to ja mam dawać?

— Ze mnie na nią trudno przerobić, a z mamy będzie odrazu dobra.

— Ani mi to w głowie.

— Ależ one leżą tu bezużytecznie.

— I niech leżą; to nie wasza rzecz.

— Pójdę do papy.

— Jak chcecie.

— I chce się Wam narażać na łajanie? Wszystko jedno — dać musicie.

— Dlaczegoż to ja muszę? Ani trochę nie muszę i nie dam. I to dla kogo jeszcze!...

— Dla Waszej córki! rozumiecie?

Pułkownikowa sięgnęła leniwie po książkę.

— Jak się Wam podoba — burknęła Tamara, trzasnąwszy drzwiami.

Za chwilę do budoaru pułkownikowej wkroczył, ciężko stąpając, pan pułkownik, za nim szła zła i surowa Tamara, za nią sunęła cichaczem niania. Mąż zbliżył się do szezląga. Żona nie podnosiła oczu od książki. Pułkownik długo mierzył zabójczym wzrokiem swego przeciwnika, nie mógł się jednak zdobyć na słowa. Oddawna przestał mówić z żoną. Milczeli. Złość pułkownika rosła, zaczął głośno dyszeć, nie odrywając oczu od niewzruszonego nieprzyjaciela.

— Proooszę wydać suknię dla Lidy — przemówił przez zęby.

Żona nie poruszyła się.

— Suknię dla Lidy! słyszycie?

Milczenie.

— Ja do Was mówię!

Milczenie.

Pułkownik poczerwieniał i tupnął nogą!

— No! nie żartować!

— Czego sobie życzycie? — spytała wreszcie, odkładając na bok otwartą książkę.

— Proszę wydać dla Lidy, którą ze swoich sukien.

— Ani mi w głowie.

Ja was proszę! — krzyczał już prawie pułkownik — natychmiast wybrać dla Lidy jednę sukię!

— To są moje suknie. Proszę nie zapominać.

— Wasze! wasze? — wrzasnął rozwścieczony mąż. — A kto za nie płacił? Wy może? Zapracowaliście zapewne?

Sapał, w piersiach słychać było przykry świst. Musiał odpocząć, nim znowu przemówił:

— Proszę mi zaraz wszystkie suknie rozłożyć na kanapie! Słyszycie?

Pani nie poruszyła się.

— Nie rozpoczynaj, bo źle się skończy — zasyczał, przyskakując do niej.

— Bierzcie! — rzuciła — sięgając po książkę.

Mąż zbliżył się do szafy. Była zamknięta.

— Klucze! — wrzasnął znowu.

— Weźcie sobie!

— Klucze gdzie? — spytał urywanie, jak na komendzie.

— Szukajcie!

— Dać natychmiast klucze! — mówił stanowczo i spokojnie. — Był to u niego znak najwyższego gniewu.

— I nie dam. Cóż mi zrobicie?

— Co zrobię? co zrobię? A zrobię to, że zawołam człowieka i każę zamki powyrywać. I wszystkie rozdam dzieciom: co do jednej. Żydom sprzedam po rublu za sztukę.

— I dobrze.

— Jednakże to jest straszne, wy jesteście potwór! Nic na świecie jej nie obchodzi: dom, rodzina. gospodarstwo, dzieci, wnuki, mąż, goście.... nic! Leży to ścierwo!... — Ona sięgnęła po książkę.

— Klucze! klucze! — szeptał, siny od gniewu i przyskoczył do niej z zaciśniętemi pięściami.

Niania już przybiegła na ratunek, pociągnęła go w tył.

— Nie złość się, apopleksji dostaniesz! Dla marnej sukni nie warto. Nie chce dać? i nie trzeba! a ty ogłoś, że jej rachunków więcej nie płacisz. Dawno pora była to zrobić, a teraz tembardziej. Zobaczymy, skąd weźmie nowych sukien?

— Prawda — rzekł pułkownik, uspokojony wzmianką o apopleksji. — Tak i zrobię. To słuszne. Dawno pora była. Ty, Nianiu, mądra głowa.

— Jakiej wam sukni potrzeba? — spytała dama, pokonana nareszcie. — Chciała wstać i wydać żądaną suknię, poleniła się jednak, położyła klucze na stole i sięgnęła po książkę. Niania wraz z Tamarą rzuciły się do szafy, nabierały wiele unieść mogły, a pułkownik bronił odwrotu.

— A wy nawet nie interesujecie się za kogo córka wychodzi — rzuciła jej Tamara odchodząc.

— Ja taka zmęczona! odrzekła matka, nie dosłyszawszy.

— I to matka! — burknęła córka za drzwiami!

Nazajutrz o wpół do dziewiątej wieczorem pan pułkownik Suchaczow z córkami wkraczał z godnością na salę tańców wojskowego klubu. Lidę

prowadził pod rękę, Tamara postępowała obok. Młodsza oczy utkwiła w ziemię, usta zacisnęła, szła nierówno, nieśmiało, serce jej się ściskało co chwila z radości i ze strachu, że się jej, zaraz może oświadczy Krapotkin. Ojciec szukał go oczyma po sali. Krapotkin ujrzawszy wchodzących, zręcznym ruchem żołnierza zbliżył się do Tamary i ramię jej ofiarował.

— Obejdzie się! — rzuciła impertynencko, usuwając się od natręta.

— Tamara Aleksandrówna, spodziewałem się...

— Napróżno: czego pan się mogłeś odemnie spodziewać?

— Jakto? Papa powiedział pani zapewne...

— Mówił: cóż stąd? Lidy pan pytaj, czy się zgadza. A mnie co do tego?

Krapotkin osłupiał; własnym uszom nie wierzył.

— Ależ ja panią...

— Mnie? Ja jej ni ojciec ni matka; niech sobie idzie, kiedy lepszego nie znalazła.

— Ależ przepraszam! to nieporozumienie; ja o panią się oświadczyłem!

— To teraz oświadcz się pan o siostrę i basta!

— Ależ ja już wszystkim rozpowiedziałem, że się z panią żenię.

— Nie należało!

— Niechże pani wejdzie w moją pozycję, błagał. Pani musi wyjść za mnie.

— A toż co znów? z jakiej racji?

— Tamara Aleksandrówna! Na miły Bóg! po-

myśl pani! Ja rzeczywiście zawiniłem względem pani tem, że się z nią sam wprzódy nie rozmówiłem, ależ za to stawiać człowieka w tak śmiesznej sytuacji,... Tamara Aleksandrówna! błagał, idąc obok niej przez salę.

Ale ona go już nie słyszała, nie pamiętała o nim; dostrzegła, jak doktór, śmiertelnie blady wybiegł ze sali bocznemi drzwiami. Uwierzył w małżeństwo jej z tym niegodziwcem. Zwróciła się szybko do ojca:

— Papo! zapomniałam wachlarz! Za chwilę powrócę. — Wyszła, kryjąc wachlarz w fałdach sukni.

Wybiegła na ulicę i podkasawszy balową suknię, popędziła za czarną postacią, rysującą się na tle oświeconych latarniami murów. Wołać nie śmiała, postać oddalała się szybko. Przyspieszyła kroku, już go doganiała.

— Eugeniuszu Piotrowiczu! — zawołała nareszcie.

Obejrzał się i stanął.

— Czego pani jeszcze chce odemnie? Po co ja pani? — pytał ponurym głosem.

— I ty mogłeś uwierzyć, że ja wyjdę za tego idjotę?

— Jakto? więc to nieprawda? A przecież?...

— Spodziewam się, że nieprawda! Mój Boże! ten dureń.

— Sam rozpowiadał, ale mu nie wierzyłem, pókim was razem nie zobaczył.

— Farsa! on się o mnie oświadczył, a papa przyjął dla Lidy. Za wiele honoru byłoby!...

— Boże mój! Tamaro! co ja przeżyłem przez ten jeden kwadrans! Ty nie masz pojęcia. co się we mnie działo. To okropność! myślałem, że mi piersi rozsadzi, że mi czaszka pęknie, że padnę bez ducha! Tamaro! Ja nie wiedziałem dotąd, jak ja cię strasznie kocham!

— Ja się tak zlękłam o ciebie... byłeś blady, myślałam, że sobie coś złego zrobisz, tak strasznie wyglądałeś!...

— Dobra ty moja! przybiegłaś za mną aż tutaj! Objął ją wpół i przycisnął namiętnie do piersi.

— Idźmy stąd, mogą nas zobaczyć — opamiętywała go. — Ty wracaj zaraz do klubu, a ja zajdę niby po wachlarz do domu.

— Nie, Tamaro! Tak być nie może, my nie możemy się tak rozstać!

Tamara zrozumiała. Fala gorącej krwi przebiegła ją całą, uczuła dziwne omdlenie, jakąś rozkoszną obawę... długo tłumiona namiętność wybuchła w niej, wywołana słowami kochanka.

— Chodź do mnie, Tamaro! Chodź zaraz! Tyś moja! całkiem moja! My nie będziemy mieli drugiej takiej chwili w życiu — prosząc, błagając, ściskając namiętnie, uprowadzał ją w stronę swojego mieszkania.

.Tamara wróciła do klubu w chwili, gdy zasiadano do kolacji. Upewniwszy doktora o swojem przywiązaniu, poszła do domu po nuty do śpiewu.

ostentacyjnie zaniosła je na fortepian, wachlarz położyła obok swojego nakrycia i bardzo spokojna, zasiadła do stołu. Powiodła oczami po biesiadnikach.

— Gdzież to doktór? — spytała od niechcenia sąsiada, majora Białobriuchina.

— A czyż był na wieczorku? nie, zdaje mi się.

— Może i nie był, w istocie — rzuciła obojętnie.

— Był, Tamaro Aleksandrówno! był z pewnością. Zapewne poszedł po wachlarz pani. Dziwno, że nie wrócił z nią razem — ozwał się drugi jej sąsiad Krapotkin. — Wściekły był na nią i jak zwykle w takich razach stał się przenikliwym jak szatan.

— Toż wróciłby ze mną razem — odrzekła nie rozumiejąc niby przymówki.

— Cóż wy? jużeście po słowie? Mogęż winszować? — spytała głośno siostry, pochylając się poprzed Krapotkina ku siedzącej za nim Lidzie.

— Tak — odrzekła nieprzytomna ze zmięszania. Krapotkin, który dotąd nie zdobył się na oświadczyny, nie śmiał zaprzeczyć. Surowy wzrok pułkownika spoczywał na nim w tej chwili.

— Więc pani się zgadza? — spytał Lidji z przymusem.

— Tak — odrzekła cichutko, blednąc, jak płótno. Teraz dopiero stanęła jej przed oczyma cała doniosłość podobnego związku. Czuła, że jej słabo, w oczach pociemniało, chciała zapłakać.

— Pij wino, prędko! — szepnęła Tamara, potem zwróciła się do majora i coś mu rzekła półgłosem.

— Panowie! — ozwał się, wstając Białobriuchin: tu wśród nas, dwoje serc młodych wyznało sobie miłość i wiarę przyrzekło: wypijmy zdrowie narzeczonych!

— Niech żyją! — odpowiedziano z mniejszym lub większym zapałem. Najmniej entuzjazmu okazywał naczelnik policyi, bogaty ojciec dorosłej jedynaczki, o którą starał się Krapotkin. Naczelnik policyi nie mógł się pohamować, gdy pito zdrowie młodej pary.

— Świetna para, w rzeczy samej — mówił głośno do sąsiada: on skończony dureń, a ona idjotka! Dalej słowa jego gubiły się w gwarze ogólnej rozmowy.

Lida tymczasem ochłonęła ze wzruszenia, nie słyszała jednak, ani widziała, jak jej winszują, piją jej zdrowie... Wtem uczuła, że wszystkich oczy zwróciły się naraz na nią: drgnęła, obejrzała się z przestrachem i zarazem przypomniała sobie, ale to tak, jak gdyby w tej chwili słyszała wypowiedziane przez kogoś przedtem jeszcze zdanie... „skandalów narobi na ulicy, złapią go na przewinieniu, a potem zmuszają żenić się z pierwszą lepszą gęsią“.

— Ja pana proszę, Konstanty Konstantynowiczu, nie zapominać się w mojej obecności! — zawołał groźnie pułkownik.

— Niepotrzebnie pan to do siebie bierze — odrzekł z jadowitym uśmiechem naczelnik policji. Ja osób nie wymieniałem, ja wcale nie miałem na myśli waszej córki! Broń Boże. Skąd pan to wziąłeś? Ha, ha, ha... śmiał się, spozierając zukosa na sąsiada.

A Lida płakała głośno, ku wielkiej desperacyi Tamary.

— Nie płaczże głupia! Wszyscy patrzą na ciebie. Wstyd taki!... Słuchaj, ja tobie te perły daruję; będziesz miała taki naszyjnik, jakiego nikt z naszych znajomych nie posiada.

— Jaka ty dobra! — mówiła Lida przez łzy i uspokajała się stopniowo: perły, aksamity i koronki nagradzały jej obecne poniżenie.

Białobriuchin tymczasem potężnym swym głosem zagłuszał pozostałe w towarzystwie nieporozumienie:

— Już to my — huczał, zwracając się do naczelnika policji — wszędzie musimy napaskudzić: i w Bessarabii, i na Kaukazie, i w Dorpacie napaskudziliśmy... a tu już najgorzej. Tu paskudzimy na placu, a zdarza się, że i na rynku, Konstanty Konstantynowiczu! I w szkole, Trochimie Gawryłowiczu, i w kościele, i w Sądzie, i w administracji, i na kolei... Cóż my, wojskowi? Wiadomo: zwierzęta, nas tak i wychowują dla obrony ojczyzny. Rzecz naturalna. W tem nasza siła. Ale to nie my jedni. Czy to tylko nad wojskowymi trzeba ubolewać? Boże ty mój! Toż gdyby nam kazali za

każde nadużycie się żenić, wyglądałby z nas niejeden, jak sułtan turecki!

— Pozwól pan! zapiszczał dyrektor gimnazjum. — My tu przedewszystkiem popieramy państwowy interes: to, co pan nazywasz przestępstwem...

— Zmiłuj się pan! zagłuszył major. — Jaki tam państwowy interes! — Komu pan to mówisz? — Nie daleko szukając: W sobotę, (wiecie panowie, że sam sobie gotuję jedzenie: taki już u mnie żołnierski zwyczaj) otóż idę na targ, kupić sobie prosiaka na Wielkanoc. W wielką sobotę, toż powinno ich być moc u przekupek! a tu ani jednego! — Patrzę, jakaś pani targuje prosię u baby i w końcu nie wzięła. — Idę ja do przekupki — prosiaka niema. „Gdzie? — pytam; widziałem go przecie na własne oczy!“ — zaklina się baba, że niema, że sprzedała. — Powiadam jej: „trzy ruble za prosię, na niewidziane wezmę“ i wyjmuję papierek. — Wyciąga baba z pod stołka worek z prosięciem i jak zacznie dziękować, a przepraszać, że to ona niewiedziała, kto jestem, że bywa tak, że jak który pan naczelnik, to każe dać i nie zapłaci, że co jest droższego, to muszą się z tem wszystkie chować! — Gdzież tu państwowy interes? — Powiedzcie?

— Panowie! — czasu szkoda! — mówił do sąsiadów naczelnik policji, do którego odnosiło się opowiadanie majora, zarówno, jak i do jego podwładnych.

— Prawda. — Chodźmy! — Ozwali się panowie jeden za drugim, wstając od stołu.

W sali gry słychać już było szelest kart i urywane słowa licytacji. Chmura niebieskiego dymu z papierosów unosiła się nad graczami płci obojga. Przy każdym stała szklanka herbaty i leżała kupka papierosów.

— O Boże! — krzyknął któryś: — wam nie w karty grać, a łapcie pleść należy. Zepsuł koronkę do waleta!

— Nie moja wina... próbował usprawiedliwiać się partner.

— Nie wasza wina? — Przebija mi atutem; — Jak sam tyle umiesz grać, co pierwsza lepsza wrona — to dajże mnie przyjść do ręki! — No! nie daj Boże związać się z d.

— Dosyć już! — Dosyć! — uspokajał go partner łagodnie.

— Piąty gracz pod słół! — słychać było przy innym stoliku.

— I szósty i siódmy za nim!

— Co za psie szczęście! jej Bogu, ani jednego robra! Tfu! zapadnij się!

— Ktoś się w panu kocha — ozwał się głos kobiecy.

— A niech ją czort weźmie z jej miłością! Nie mam czem grać; pas!

— Ależ Anna Marjewna! — wrzeszczał pułkownik. — Czego pani leziesz z głupia po raz trzeci

z temi swojemi durackiemi trefami, kiedy ja znoszę je od początku gry.

— Co panu! co to jest? Opamiętaj się pan! Zwarjowałeś pan! — krzyczała partnerka. — Jaka ja dla was Marjewna?...

— Ależ panią za taką grę nie po ojcu należy nazywać, a po...

— Zwarjował! Panu się zdaje, że ja pańska żona, że gadasz takie grubijaństwa! Nigdy więcej z panem do gry nie zasiądę.

— I nie trzeba! I nie siadajcie! Lepiej dla mnie!

— A ot moje trefy teraz wszystkie biorą.

— A u mnie król i dama, franki przepadają.

— Wszystko jedno; co mieliśmy oddać i tak byśmy oddali.

— Dobrze już, dobrze! niepotrzebniem się gniewał.

— Otóż to. Ja pana znam! Daj pan papierosa!

Pod ścianą powstała nieopisana wrzawa:

— Jak pan śmiesz? — Nieprawda! łżesz! — To wy łżecie! — Ja cię nauczę! To już nie gra, to łajdactwo! — Jak, łajdactwo? dowiedź pan!... — — Ot, czem dowiodę! — Ozwał się głośny policzek. Przeciwnicy rzucili się na siebie. Stolik upadł z łoskotem, jeden z lichtarzów potoczył się wraz z gorejącą świecą po podłodze, drugi padł na kolana damy partnerki, która teraz dopiero zdecydowała się plac boju opuścić; szklanki zabrzęczały, rozbite o podłogę, papierosy i kreda wpadły w rozlaną

herbatę. Służba nadbiegła dla usunięcia powstałego stąd nieporządku, przeciwników, krzyczących i charczących z wściekłości, rozbrajano, ciągnąc każdego w inną stronę.

— Podlec... Sukinsyn!... — krzyczeli zapaśnicy, rozdzieleni przemocą. — Ja ci pokażę... Ty...

— Panowie! Panowie! Damy są — upominał poważnie pułkownik.

— Skończcie już, bo was z klubu wyrzucę!— krzyczał ktoś starszy.

Wtem z wielkiej sali przyleciał do nich anioł pokoju; był to śpiew. Śpiew cudowny: głos silny, czysty, dźwięczny, pełny, zalewał salę falami namiętnych dźwięków życia i siły i bólu. Wlewał się w te ciasne serca, przenikał do tych dusz pierwotnych, omszałych grubym, ciężkim egoizmem i wydobywał z nich gdzieś na dnie samem zagrzebane, nieświadome siebie, uczucia piękna i dobra. Wszystko umilkło; walczący odwrócili się od siebie i rozeszli się, milcząc, w przeciwne strony, rozjemcy pospieszyli na wielką salę, skąd płynął ów głos anielski. Karty drżały w ręku mężczyzn, kobiety grały z roztargnieniem, lewy składano cicho, a prędko, wreszcie stoliki jeden za drugim opróżniały się, niektórzy wysuwali się cicho do wielkiej sali, inni stali we drzwiach... jedna z dam grających rzuciła się na fotel i cicho płakała. Niedawno straciła jedyną córeczkę; śpiew Tamary rozbudził uśpioną w sercu boleść.

Tamara, uniesiona melodją własnego śpiewu, nie wiedziała już, gdzie się znajduje, co się wkoło niej dzieje, nie wiedziała nawet, że śpiewa... Czuła tylko taki ból, taką rozpacz bezdenną, taki żal straszny, za jakimś światem marzeń, krainą piękna i rozkoszy, za tem czemś, czego znaleźć nie sposób, a czego pragnie rozkołysana dźwiękami wyobraźnia... Zdawało jej się chwilami, że umrze, że serce jej pęknie, że nie wytrzyma tej boleści, że sobie życie odbierze. I śpiewała tę swoją rozpacz tak cudnie, tak wzruszająco, że każdy czuł z nią razem owo pragnienie niebytu, ów żal i tęsknotę za tem, czego życie nie daje... za szczęściem, za pięknem, za rajem...

„Jak zdrój ten pędzi — łez potok spływa,
„A serce, serce męka rozrywa!“

Skończyła elegię Szumana. I rwało się jej serce i dusza bolała w męce pragnienia i żalu. Umilkła. Wszystko milczało, nikt nie poruszył się nawet. Zaczęła przychodzić do siebie. Wzrok jej padł na siostrę i Krapotkina. Ten widok uprzytomnił jej wszystko: ona tak wiele przeżyła. Oświadczyny tego obrzydliwca, zapał do siostry, starcie z matką, rozmowa z Krapotkinem, scena z doktorem na ulicy, oddanie się jemu, powrót na bal, wysiłek ciągły, by spokój i równowagę zachować, po tem, co zaszło, by niczyjej uwagi nie zwrócić na siebie, by nie wpaść w podejrzenie, nie zdradzić się... złamały nareszcie jej siły. Czuła, że blednie, że jej słabo, zachwiała się na nogach, walczyła

jeszcze, chciała się oprzeć o coś, by nie upaść... Białobriuchin, który jej z oczu nie spuszczał, zauważył jak twarz jej się mieni, podbiegł ku niej, w samą porę otoczył chwiejącą się postać ramieniem i wspartą na swej piersi uprowadził do „damskiego budoaru". Tam usadowił ją w fotelu, przyniósł wody, otrzeźwił... Tamara chciała samotności, więc ją opuścił. A ona jeszcze cierpiała, chociaż z innego niż przedtem powodu. Nie chciała sobie wierzyć, że ona, taka dumna, ambitna, oddała się... tak... tak łatwo, na pierwsze żądanie... poszła do niego sama, dobrowolnie, wiedząc po co tam idzie... Co on myśli teraz o niej? On musi nią pogardzać, jak pierwszą lepszą... którą się bierze z ulicy. Z ulicy! Ona jest upadłą kobietą: on ją odtrąci, on tylko wstręt do niej czuć może. Piękność nie uchroni jej od tego. Ona jest zhańbioną!

Tamara wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Na sali pod ścianą siedzieli narzeczeni. Krapotkin pożerał wzrokiem śpiewaczkę. Nie kochał się w niej przedtem. Aż teraz, gdy go odrzuciła, gdy okazała mu niechęć i wzgardę, ogarnęła go wściekła, straszliwa żądza. Nienawidził ją, chciałby ją rozszarpać, katować, kąsać; szczęki zaciskały mu się kurczowo. Śpiew doprowadził go do szału niemal:

— Zmusić ją! — przemknęło mu raptem przez głowę i pociemniało mu w oczach.

W tej chwili Tamara śpiewać przestała.

— Prawda, jakie to piękne? — ozwała się doń lękliwie narzeczona.

— Odczep się pani odemnie! — ofuknął. — Nie do ciebie mi teraz!

Widział jak uprowadzono Tamarę. Ochłonął nieco: Będzie ją błagał, do nóg upadnie, powie, że się zastrzeli i zastrzeli się naprawdę, ale pierwej musi ją posiąść.

Białobriuchin powrócił, jest teraz samą. Pójdzie, wstał, szedł w kierunku budoaru, idąc zataczał się, jak pijany. Wszedł — i zastał Tamarę płaczącą. Jakieś lepsze uczucie poruszyło się w jego duszy: Padł na kolana przed piękną, pochwycił jej ręce w swe dłonie i szeptał z namiętną rozpaczą:

— Tamaro! Ja wszystko zrobię dla ciebie. Ja w ogień i w piekło pójdę! Na Sybir pójdę, cara zabiję, miljony ukradnę! Duszę djabłu zaprzedam, rodzoną matkę... — tu się opamiętał. — Tamaro! ja żyć bez ciebie nie mogę! Ja się zastrzelę, zwarjuję, ja, ja... muszę cię dostać! Ja cię tak strasznie, tak okrutnie kocham! Tamaro!

— Won! — krzyknęła Tamara, ochłonąwszy ze zdumienia, a mając ręce ubezwładnione kopnęła go w brzuch nogą.

Oficer zachwiał się, wypuścił jej ręce, ona natychmiast wymierzyła mu potężny policzek i wyszła bardzo blada, ale spokojna na salę.

— Proszę mi ojca zawołać — rozkazała krótko majorowi.

Białobriuchin widząc, że coś zaszło niezwyczajnego, sprowadził jej natychmiast pułkownika.

— Cóż ci to? blada jesteś, jak płótno — pytał ten ostatni.

— Papo! Ten niegodziwiec oświadcza mi się w taki sposób, że ja wolę tu nie pozostawać.

— Kto taki!

— Ależ Krapotkin. Przestraszyłam się go poprostu.

— On? Ja mu dam! Zobaczy on...

— Nie, papo! Cóż będzie z Lidą? Zresztą on doprawdy jest niepoczytalny; najgorsze głupstwa gada: mówi, że cara dla mnie zabije. Narzeczony Lidy! pamiętaj! To może ściągnąć na nas biedę... Ja myślę, że najlepiej będzie, gdy ja wyjadę na czas jakiś. Mam głos, pojadę do Wiednia do konserwatorjum. Tu bezemnie wszystko się jakoś ułoży. Za granicę za mną nie popędzi, bo mu urlopu nie dacie, no, a jak się z sobą młodzi zżyją, to mogę powrócić i rzecz skończona.

— Cóż? Niech i tak będzie. Jedź do Wiednia. Ty rzeczywiście nie źle śpiewasz: wszyscy się zachwycali dzisiaj. Ciebie naprawdę szkodaby było za Krapotkina oddawać. Ty możesz zajść bardzo daleko...

— To ty pomów z naczelnikiem o paszporcie. Nie należy zwlekać, bo ten nicpoń jeszcze głupstw narobi... Bądź zdrów: ja z Lidą wracam już do domu.

Tej samej nocy Dramowski, po uciążliwem dreptaniu po rozmaitych biurach w celu objęcia prawnej

nad bratem opieki, zasiadł do pisania. Miał dostarczyć na przyszły tydzień wstępny artykuł do swego tygodnika. Poszło mu to gładko, jednym tchem, jak to mówią. Naraz wydało mu się, że już to kiedyś pisał: Te same argumenta, wywody, te same słowa, całe zdania poznaje... „Ależ to już było z pewnością, tylko gdzie?“ „Etyka narodowa“. Pisałem, a nie pamiętam, żeby wyszło. Ach, tak: w wagonie, teraz, jadąc. Nie pisałem, ale wyśniłem. To bardzo miło! No, i jako żywo — prozą, a nie wierszami. — Tu rozmyślanie jego przerwał bardzo piękny śpiew. Położył pióro i słuchał ciekawy. Głos płynął z daleka, silny a czysty. Karol rozmarzył się na chwilę. „Taka cudna noc i taki śpiew... możnaby śnić i kochać, gdyby się nie było takim Karolem Dramowskim, wrażliwym i zblazowanym. Ciekawym, kto to tak śpiewa? Czy twarz ma tak piękną, jak głos? Z tem zapytaniem zamknął okno, rozebrał się i położył.

Śnił. Zdawało mu się, że jest cały pokryty ranami, że się ruszyć nie może, brat stoi nad nim i mówi: „nie rozpaczaj: jednej nogi tu po nich nie zostanie, a wtedy wyzdrowiejesz, to nie tyfus: to moskale!“ Widzi wdzięczną panoramę Wintowa, rzeka błyska na słońcu miljonem łusek złocistych, bulwar zieleni się jasnym liściem majowym, w trawie kołyszą się serca płaczące... W tem... cóż to jest? Chmury ciemne, gęsto skłębione pokryły wszystko, ni rzeki, ni drzew... już zalewają odwieczną wieżę, ciemno, wszędzie te granatowe, ciężkie chmu-

rzyska... Karol rozumie, że to są moskale, że to jest tylko przenośnia. Patrzy, aż brzegi sinych wałów zaczęły blednąć, już są liljowe, czerwienią się, już cała chmura różowa wałami się toczy, rozpływa... złocą się murów krawędzie, złocą się brzegi obłoków. „Wasze panowanie skończone! jedna z was noga nie pozostanie w tym kraju!“ Woła radośnie: i lekko mu, pełną piersią oddycha i... jest w Szwajcarji! Siedzi w wagonie, oknem wygląda, widzi góry. Te góry, to cielska ogromne, leżące na wznak, całunem okryte. To są umarli, to zgasłe wielkie uczucia. To jakaś przeszłość potężna... oto ozwały się wszystkie i pieśń mu jakąś śpiewają, pieśń pełną siły i grozy... Powietrze drży od tych głosów, drży wagon, chwieje się cały.

Serce Karola zadrżało. Zląkł się tej jakiejś potęgi uśpionej w kształtach ogromów, zląkł się tej pieśni, co ziemią kołysze. „Jest coś, czego ja nie znam; to coś ukryte w przyrodzie, to coś i nademną panuje. Los całej ludzkości od tych sił przyrody zawisły. Człowiek ją pragnie ujarzmić, a ona zniszczyć go może... Tak, oto słońce gaśnie!“ I serce biło mu młotem, dziwny szum uszy zalewał; słońce krwią się oblało... a góry jeszcze śpiewają siłę i grozę przyrody. Stało się; słońce już siną nieba zagarnia połowę, już poczerniało, lecz pali: brak mu powietrza — umiera, serce co chwila ustaje... Nie, jeszcze bije!... kona, ciemno mu, straszno, chce krzyknąć, chce się poruszyć... nie może! A! w końcu ręką poruszył, odetchnął, oczy otwo-

rzył... Słońce mu pokój zalewa. „Ach! toż to brata sypialnia... jestem w Wintowie, on chory... zwarjował biedny Mieczysław! I ja zwarjuję z pewnością. Sny takie... ja muszę być chory". Usiadł na łóżku zgnębiony. „Paszkowa warto przywołać, zdaje się, że to człowiek zdolny, coś mi poradzi... jakąś kurację wzmacniającą system nerwowy". Nie zwlekając, przywołał Walka i posłał go po doktora. Walek samowar nastawił i pobiegł. Zanim się Karol ubrać zdołał, poczciwy Paszkow już przybył.

— Dzień dobry panu! — witał go Moskal serdecznie. — Cóż? uzyskałeś pan prawo opieki?

— Nie. Jakżeż pan chcesz, kiedy on ma tyfus a nie obłąkanie.

— Prawda! Będziesz pan musiał przywieźć aż z Tworek świadectwo.

Walek zaparzył herbatę.

— Czy pan pozwoli szklaneczkę? — spytał go Karol uprzejmie.

— No, ja właściwie już piłem, ale herbata nie szkodzi.

— Chciałem pana zapytać... — zaczął Dramowski z pewnem wahaniem. — Ty Walek idź sobie, mój chłopcze!... Wezwałem pana właściwie dlatego — mówił dalej, gdy drzwi się za Walkiem zamknęły — że stan mego zdrowia... niepokoi mię trochę.

Doktór postawił szklankę i spojrzał na niego uważnie.

— Zdaje mi się — ciągnął Karol — że ja także muszę zwarjować.

— To samo, że się panu tak zdaje, jest rękojmią, że pan nie zwarjuje.

— Nie wiem, czy pan się nie mylisz... Mój brat lękał się także o siebie.

— Cóż pan zauważyłeś w sobie nienormalnego?

— Sny miewam bardzo dziwaczne...

— No, i co więcej?

— To tylko jedno właściwie.

— To tylko!... Cóż naprzykład śniło się panu tej nocy? Bo pan posłałeś po mnie pod wrażeniem snu. — Nieprawdaż?

— W istocie. Zląkłem się wprost o swój rozum.

— Dobrze. Cóż panu się śniło?

— Naprzykład — góry śpiewały!

— Bo też śpiewano wczoraj tu blizko. Mogłeś pan przez sen usłyszeć.

— To co innego: ja wtedy jeszcze nie spałem; słyszałem silne kantralto. Ale góry inaczej śpiewały: śpiewały basem...

Paszkow uśmiechnął się. I Karol musiał się zaśmiać.

— Dobierałeś pan we śnie basowy wtór do kontraltu — oto i cała warjacja! — zakończył Paszkow wesoło.

— Nie, panie. Góry miały postacie olbrzymów i śpiewały potęgę przyrody, a raczej ja tak ich śpiew rozumiałem...

— To szczególne!... — zauważył doktór, na-
wpół do siebie.

— Co szczególne? — podchwycił Karol z obawą.

— A pan już się zląkłeś! Nie poddawajże się pan imaginacyi! To gorsze, niż choroba, bo chorobę można uleczyć, a imaginację — nie.

— Ale cóż pan widzisz w moim śnie szczególnego?

— Widzę, że pan jesteś artystą.

— Ja? publicystą tylko.

— Tak, pan jesteś redaktorem ślicznie prowadzonego pisma...

— Skąd pan wiesz o tem?

— Ach! nie podejrzewaj mię pan zaraz o fiskalstwo. Że redagujesz pan dziennik, powiedziałeś mi sam; a jaki, łatwo odgadnąć, chociażby z obejścia pańskiego ze mną... Takie nieprzejednanie zdradza pana pomimo jego woli. Nie obawiaj się pan: niedyskrecji żadnej nie popełniłem. Przeciwnie: jeszcze pana ostrzegam, że wintowiecka policja poszukuje usilnie waszego korespondenta i nie lekko mu będzie, gdy go odkryją...

— Widzisz pan, jak trudno nam się porozumieć: oto ja wyrzucałem sobie, że zanadto się z panem przyjaźnię.

— To się pan pociesz: odczułem i to w jego obejściu.

— Pan jednak czytasz prawie w moich myślach.

— Nie tylko w pańskich; widocznie jestem dobrym psychologiem. A pan, jako artysta, więc człowiek wrażliwy, poddajesz się memu wpływowi.

— Ja, panie, nie jestem artystą!

— Mylisz się pan: właśnie do tego zmierzałem. Zawód publicysty tłumi w panu artystyczne zdolności, ale we śnie jesteś pan artystą. Pewnego dnia zabłyśniesz pan jakiemś arcydziełem.

— W to, to już absolutnie nie wierzę.

— Wolno panu.

— I to pan widzisz z moich snów?

— Nie inaczej. To jest sen bardzo piękny: myśl ubrana w tony i kolory na tle dzikiej natury... uosobianie martwej przyrody... ogromna fantazja, poczucie piękna... To jest artyzm. Czy pan tego nie widzi?

— Może, ale jest i coś więcej: zdawało mi się, że słońce gasło, paliło mi płuca, umierałem w wielkiej trwodze: serce mi ustawało...

— To jest zmora: musiałeś pan leżeć na lewym boku lub na wznak. Dość zwykłe zjawisko.

— Więc pan mi zaręcza, że mi warjacja nie grozi? Wszak prawda?

— Nie, panie: o tyle tylko, o ile każdemu z nas, bez wyjątku.

— I sądzisz pan, że mógłbym się ożenić, nie ściągając na moją przyszłą żonę takiego wielkiego nieszczęścia, jak pożycie z mężem warjatem.

— Możesz się pan żenić, na moją odpowiedzialność.

— Teraz dopiero wierzę, że mi nic nie grozi. Dziękuję Panu.

Karolowi kamień spadł z serca: rozumiał, że Paszkow odradzałby mu małżeństwo, gdyby mu co na prawdę groziło. Zaraz uczuł się zdrowym zupełnie. Obawy poprzednie wydały mu się bardzo śmieszne, wstydził się teraz, że mógł wzywać doktora, gdy mu się góry przyśniły. Nakoniec uczuł wielką chęć do czynu, ruchu i do żeniaczki. Wstał od stołu, nie zważając na gościa, który pił jeszcze herbatę. Zaczął chodzić po pokoju, pośpiewując, i rzucał od czasu do czasu przelotne spojrzenie na lustro. Myślał dziś jeszcze złożyć wizytę tej roztropnej Kazi.

— Otóż to! — rzekł mu doktór z uśmiechem zadowolenia. — Tylko...

— Co tylko? — spytał Dramowski, wpadając w dawną obawę.

— Tylko nie radzę panu żenić się inaczej, jak z miłości.

— A to czemu?

— Bo, według mnie, to jest jedyny warunek normalnego rozwoju umysłu. Nie kochając kobiety, którą się posiada, lub naodwrót, nie posiadając tej, którą się kocha, nie żyje się całą pełnią sił duchowych: nie zna się wszystkich uczuć i wrażeń, jakie daje życie człowiekowi. Kto nie kocha, nie jest zupełnym człowiekiem. Pozostaje mu pe-

wne nierozwinięcie umysłowe. Miłość uszlachetnia, daje popęd do poświęcenia, daje zamiłowanie idei... Miłość... miłość to wszystko: to życie, cel i treść istnienia, to poezja, to piękno... Żeń się pan z miłości, a obaczysz, że wszelkie obawy o stan jego umysłu opuszczą go raz na zawsze. Pan nie kochałeś się nigdy?

— Nie. W dzieciństwie może.

— Otóż to jest pańska nienormalność; pańska choroba, jeżeli pan chce. Spodziewam się, że czas pana uleczy.

— Gdybym nie wiedział, żeś pan zakochany, — odrzekł Karol z uśmiechem — musiałbym się tego domyśleć po tem, coś mi pan powiedział.

Zapukano.

— Proszę! — rzekł Karol — zdziwiony nieco.

Do pokoju weszła Maciejowa, od święta ubrana, i skłoniła się nizko.

— Proszę łaski pana — zaczęła od progu — czy nie mogę — ośmieliwszy się — prosić o jedną wielką łaskę pana doktora.

— To do mnie? — czy kto chory może? — zapytał Paszkow — zawsze gotowy na usługi.

— Ej! gdybyż chory — a to jeszcze gorzej: Wzięli mego do cyrkułu najniewinniej, dali Bóg: ot pilnował, jak tu obrazy pan wyrzucał, że to, przepraszając łaski pana, zwyczajnie, jak warjat. Aż tu oficer przybiegł, z szablą i z krzykiem, jak, przepraszając pana doktora, że to prawosławny, czysty pies wściekły, co na ludzi się rzuca i mego,

powiada: aresztował! I wzięli i nie puszczają, choć winy żadnej nie było, tak mi Boże dopomóż.

Dramowski musiał wytłómaczyć doktorowi o co chodzi.

-- Wiem, wiem. — Odparł Paszkow. — A, w samej rzeczy? za co tego człowieka więżą.

— A bo i nie ma za co, unosiła się Maciejowa. To, aby człowieka jedynie zgubić, bo inszej jest wiary! aby złość wyrządzić i gniew Pański ściągnąć na siebie, za to wszystko. Inszej racji nie mają! Bo niesprawiedliwość jest i krzywda ciężka, a skarania Bożego na nich nie ma i tyla! To też ja właśnie chciałam prosić jaśnie wielmożnego pana doktora, żeby raczył się wstawić, tam do tych, co go wzięli; bo to roboty moc i miejsca nie chciałby człowiek stracić przez takie głupstwo, panie Boże odpuść! — Pan doktór, jako swoim to potrafi to wyperswadować, żeby już puścili!

— Dziwna rzecz! zauważył doktór. Toż w tym domu, zdaje się mieszka sędzia, wasz człowiek, i dobrze jest z sędzią śledczym, człowiekiem porządnym i postępowym. Do sędziego udajcie się przedewszystkiem.

— A gdzieby też pan sędzia zechciał się pofatygować. Prosiłam, panie, na klęczkach błagałam. — Nic, pada, póki przed sądem nie stanie, uczynić nie mogę. — A za co ma przed sądem stawać, kiedy przewinienia żadnego nie było? I do śledowatela chodziłam, i do naczelnika chodziłam... — Nic ponimają — rzekli, że to ja po

rusku nie gadam. I tak wróciłam z niczem. To jak pan doktór w łasce swojej nie poratuje, to... i... niewiem... co z nami będzie? — zapiszczała kończąc udanym płaczem.

— Dobrze, dobrze! Pójdę do naczelnika. Nie martwcie się, — uspakajał Paszkow. — To się przecie wyjaśni. — Maciejowa chciała go w rękę całować. Obronił się od tego wylewu wdzięczności. Opuściła więc pokój, błogosławiąc go przesadnie. Paszkow zaraz Karola pożegnał.

Kazia nie zaniedbała niczego, co mogło zapewnić jej powodzenie w śmiałem przedsięwzięciu zdobycia Karola.

Wyprawiwszy depeszę, nakupiła kwiatów do ogródka, potem poszła do spowiedzi. Wyznała przed konfesjonałem całą intrygę, osnutą w celu złapania męża. Ksiądz nie znalazł w tem nic nagannego, radził dać na mszę i resztę pozostawić na wolę Opatrzności; jeśli to ma być z jej dobrem, to się uda, gdyż się do niej zwróciła, jeśliby na złe jej wyjść miało, Bóg sam do tego związku nie dopuści. Niech się zatem o los swój nie troszczy. Kazał jej odmówić koronkę do Opatrzności Boskiej, litanją do Przemienienia Pańskiego przez dziewięć dni i co rana zmówić: „Kto się w opiekę“. Modlitwy podziałały na Kazię uspakajająco, co się odbiło na wyrazie jej twarzy. To też Dramowski, ujrzawszy ją owego poranku, gdy od doktora powracał, wyczytał na obliczu dziewczyny spokój i pogodę, to, czego mu brakło oddawna samemu.

Nie dziw, że mu się od pierwszego wejrzenia podobała.

Ona natomiast doznała ogromnego rozczarowania.

Wyobrażała go sobie zupełnie innym. Nie wiadomo dla czego uroiła sobie słusznego szatyna o szczupłej, zręcznej postaci, ciemnych oczach i ściągłych rysach. A jednak najprościej byłoby przypuszczać, że jest podobny do brata: wysoki, barczysty, o grubym karku, krągłej twarzy i szarych, głęboko osadzonych oczach.

— Podobniuteńki do brata! — ubolewała, wstydząc się sama przed sobą, że się na niewidziane ubiegała o jakiegokolwiek mężczyznę. — Nazajutrz nie wyszła rano do ogródka, poco miała mu się na oczy nasuwać? Jeżeli to rzeczywiście ma być jej losem, to i bez wysiadywania w ogródku nie minie ją to szczęście. Zasiadła przy oknie z książką w ręku i zamiast czytać, rozmyślała: jeżeli przyjdzie, to znaczy, że to moje przeznaczenie i będę się starała go pozyskać; jeżeli nie — żadnego kroku więcej nie uczynię w celu zwrócenia na siebie jego uwagi — i tak zrobiłam za wiele. Na tę myśl zaczęła się obawiać, że może nie przyjdzie, że ona utraci ostatnią szansę wydania się za mąż.

Karol przyszedł. Wygolony, ostrzyżony, elegancko ubrany, wyglądał bez porównania młodziej i korzystniej, niż za pierwszego z nią widzenia. Kazia odetchnęła.

— Zupełnie możliwy — myślała w duchu, pro-

sząc go uprzejmie siadać i wskazując miejsce, z którego widać było deklitry.

— Mama w tej chwili nadejdzie — przemówiła.

— Ja właściwie do pani przyszedłem — wyznał Karol — by jej podziękować za opiekę nad chorym bratem.

— Miło mi, że mogłam być w nieszczęściu pomocną.

— Tak. To prawdziwe nieszczęście! Brat mój bardzo wiele cierpiał — dodał, przypominając sobie rozmowę z obłąkanym. — Jakżeż pani dowiedziała się o moim adresie?

— Brat pański wypowiedział mi go wierszem.

— Pani nie lęka się warjatów?

— Nie byłam samą. Inaczej bałabym się prawdopodobnie. Jakżeż pan znalazł chorego?

— Lepiej, niż się spodziewałem. Prawdopodobnie po dłuższym wypoczynku powróci do zdrowia.

— Chwała Bogu, że panu choć ta nadzieja pozostała.

Tu weszła pani sędzina i żywo podbiegła do gościa. Karol wstał i z ukłonem wymienił swoje nazwisko.

— Pan Dramowski! — wołała z uniesieniem, witając go jak dawno niewidzianego, serdecznego przyjaciela. — Zaraz poznałam! Ależ to kompletne podobieństwo! To jest — poprawiła się niezręcznie — pan przypomina brata, gdy był jeszcze zdrów na umyśle! Był człowiek wcale urodziwy, przytem miał coś w wyrazie... Ach! mój Boże! co

za nieszczęście! Co za przerażający widok. (Pani sędzina akcentowała przesadnie nosowe dźwięki). Pomyśleć, że ten człowiek, któregośmy wszyscy znali, cenili, mogę rzec — kochali, dziś zgubiony, pogrzebany na wieki!...

— Dziękuję pani za współczucie — przerwał Karol — zdaje się jednak...

— Człowiek majętny, nie stary jeszcze, pełen talentu, przed którym leżała jeszcze piękna przyszłość sławy i potęgi geniuszu...

Kazia poczerwieniała. Pierwszy raz w życiu matka wydała jej się tak bardzo przesadną i śmieszną. Karol zauważył to jej zażenowanie.

— Właśnie przychodzę podziękować córce pani — przerwał patetyczną deklamację sędziny — za interesowanie się moim bratem.

— Ach! ona biedaczka tak się zlękła! — Podchwyciła matka, wznosząc oczy w niebo. — Ledwieśmy ją uspokoić zdołali. Ona taka nerwowa! Nie masz pan pojęcia: to istna mimoza!

— Ależ mamo, ja się wcale nie bałam: najlepszy dowód, że byłam z doktorem w pracowni, gdy pan Dramowski wyrzucał swoje utwory na ulicę.

— Byłaś tam?! Dziecię ty moje jedyne! Byłaś w jednym pokoju z warjatem, i to takim niebezpiecznym. Ach! ona jest nieulękniona. Nie wiem skąd jej się wzięła taka męska odwaga. Mój Boże, a ja ani wiedziałam, ani mi się śniło, że ona wystawia się na śmierć tak okrutną. Ukamienowana!

— Ależ nie! wyszłam cało, jak Daniel z jaskini lwów — próbowała żartować zrozpaczona Kazia.

— Jakie to straszne chwile przeżywa się z dziećmi! — zwróciła się sędzina do Karola. — Wyszła nietknięta: ale to oczekiwanie, ta chwila...

Tu spostrzegła się czuła matka, że teraz dopiero dowiedziała się o bytności Kazi w pracowni. Zmieniła temat rozmowy: — Może pan pozwoli herbatki szklaneczkę i trochę święconego? — zaczęła słodziutko. — Wprost z Moskwy herbata. Mąż mój jest w przyjaźni z sędzią śledczym, który niedawno był w Moskwie...

Tu pan Karol spojrzał na Kazię, ale zażenowania w jej twarzy nie wyczytał; nie zrozumiała go nawet.

— Rzeczywiście moskiewska herbata jest najlepsza — ozwała się uprzejmie. — Jeżeli pan jest amatorem i zechce z nami wypić...

— Nie — przerwał jej sucho Dramowski — za moskiewską herbatę od przyjaciela Moskala dziękuję pani stanowczo. — Dopiero Kazia poczerwieniała po uszy.

— Ach! to taki wyjatkowy, taki szlachetny człowiek. Bardziej dla nas przychylny niż tysiące swoich! — dobijała sędzina. — Mąż z żalem nieraz mówił, że to Rosjanin; nie wahałby się przyjąć go za zięcia: tylko Kazia jest takim wrogiem tych najeźdzców, że choćby był aniołem, patrzeć na niego nie raczy!

— Ależ mamo! co mama mówi? On u nas

właściwie nie bywa, tylko z papą podtrzymuje stosunki — protestowała Kazia zawstydzona.

Dramowski miał tego dosyć: wstał się pożegnać. Widząc Kazię przybitą zachowaniem matki pożałował serdecznie dziewczynę. Podniósł jej rękę do ust, jeszcze raz jej dziękując i skłoniwszy się matce ozięble, opuścił mieszkanie sędziego.

Bardzo niegłupia i przyzwoita dziewczyna; taka naturalna — zauważył, porównując ją mimowoli z matką. Wcale jest dla mnie odpowiednia. Za mało posiada tej właśnie etyki narodowej, której nam tak bardzo potrzeba; ale w innem otoczeniu napewnoby jej nabrała. Wyrwałbym ją chętnie z tego środowiska, gdyby nie to, że musiałbym bywać w tym domu i słuchać takiej sędziny! Ależ wstrętna baba z swojem *e* i *ą*.

Wyrzekłszy się myśli o Kazi zajął się wywiezieniem brata. Mieczysław nie robił żadnych trudności, był napozór całkiem przytomny, wesół i dowcipny. Osadzony w Tworkach zaczął na nowo się rzucać i gadać od rzeczy. Karol postanowił zabawić czas jakiś w Warszawie i odwiedzać brata codziennie.

Miła jest Warszawa! Miły jej wieczny ruch uliczny, miły humor i ożywienie przechodniów, miły śmiech dziewcząt i oczu strzeliste spojrzenia, miłe śniadania u Stępka, kawiarnia na Krakowskim Przedmieściu, wystawa Towarzystwa sztuk pięknych, salon Krywulta i Szwajcarska dolina, Mały teatr, miejski i letni, Botanika, Łazienki, Bagatela,

Eldorado i wszystko, co lekkie i co poważne, co się tam śmieje lub smuci, wszystko jest miłe, jest swoje, takie rodzone i blizkie! Cóż dopiero, gdy kto się chował w Warszawie! Powraca do niej, jak do swego domu, do swej rodziny, przyjaciół. Dramowski miał tam wielu kolegów po piórze, druhów po piórze, domów przyjaznych, dusz pokrewnych myślą i sercem. Po spełnieniu smutnego obowiązku odwiedzenia codziennie brata i siostry, Karol oddawał się całkowicie znajomym. Wszędzie mile witany, kokietowany przez panny, rozrywany przez przyjaciół, wodzony w dzień po kawiarniach, wieczorem po teatrach i ogródkach, spędził tydzień, jak studencik, bezmyślnie i wesoło. Wypoczął, ubawił się, odmłodniał, nic mu się nie śniło, niczego się nie obawiał, rad był z życia i z siebie.

Takim oto powrócił do Wintowa i stanął przy sztachecie ogródka, gdzie Kazia obcinała właśnie odkwitłe gałązki deklitry. Zrozumiawszy, że Karolowi dom jej rodziców się nie podobał, postanowiła przedsiębiorcza dziewczyna zdobyć go poza domem. Umyśliła sobie wyczekiwać jego powrotu w ogródku. Nie wychodziła zeń prawie: sadziła, polewała, obcinała, grodziła, ubijała, wiązała i przy tej pracy obmyśliwała sobie rozmowę z Karolem. Miała go jeszcze o brata pytać, o Warszawie napomknąć, do tumu poprowadzić, skarbiec pokazać, zwabić do ogródka, i — oczywiście podbić czułe jego serce.

Widząc go nadchodzącego, przygotowała sobie

w myśl ruch, z jakim zwróci się w jego stronę, spojrzenie i pierwsze słowa rozmowy, gdy Karol, nie czekając na to wszystko przywitał ją wesoło:

— Dzień dobry, pani, panno Kazimiero? — Cóż to pani robi? — Ogródek, jak widzę uprawia.

— Dzień dobry panu — odrzekła z uśmiechem, wpadając odrazu w nastrój, który w nim odgadła. Oto obcinam odkwitłe gałązki, by mi świeżości ogródka nie psuły. Sama wyglądała świeżo i różowo jak kwiatek.

— A ładny ogródek. — Zauważył, patrząc to na kwiaty, to na nią.

— Lubię kwiaty. — Gust niewinny. — Odparła znacząco.

— Zapewno! — Ale czy nie lepiej byłoby coś użyteczniejszego uprawiać? — Przekomarzał się Karol z dziewczyną.

Cóż naprzykład? — Buraki? — Nie chcę psuć interesów plantatorom.

— To jarzyny.

— Marchwie są po pięć za grosz, cebuli nie jadamy, a kapusta...

— Cóż — kapusta?

— Kapusta ma głowy zawinięte, a ja tego nie lubię.

— Pani — jak widzę i od roślin wymaga pewnego cenzusa umysłowego.

— A pan jest suchym utylitarystą.

— Bynajmniej. — Przedewszystkiem lubię kwiaty i wogóle łubię to, co ładne... — dodał patrząc jej w oczy.

— Weźże to pan. na dowód, że nie napróżno kwiatki pielęgnuję. — Podała mu z wdzięcznym ruchem pełny biały narcyz.

— Dziękuję pani! To ma znaczyć — że dla swojej i innych przyjemności?

— Przyjemność jest także do życia potrzebną.— Ja mam tę jedną tylko — dodała trochę ciszej i tą się z panem dzielę — zakończyła żartobliwie.

— Bardzo pani dobra — odrzekł, wkładając narcyz do butonierki. — Ja mam prośbę do pani — dodał po pauzie poważnie.

— Słucham pana.

— Pani nikomu dotąd nie mówiła o miejscu mego pobytu?

— W Chamowie? Nikomu.

— Niechże pani tę wiadomość zachowa dla siebie.

— Wie pan, gdybym nawet chciała, nie miałabym komu o tem mówić.

— Jakto? Przecież panny mają zwykle przyjaciółki. powiernice...

— Ja nie. W ogólności nie należę do tych, co się łatwo zwierzają.

— To jest dosyć rzadkie wśród panien.

— Ma pan przed sobą niezwykły egzemplarz.

— Widzę i cieszę się.

— Aż tak dalece rzadkim okazem nie jestem, by się pan miał radować, jak amator osobliwości.

— Cieszę się, bo mam pewność, że mi pani obietnicy dotrzyma.

— I ja do pana mam z kolei prośbę.

— Służę pani najchętniej.

— Zdaje mi się, że nie wszystkie rzeźby zostały poniszczone przez brata pana. Chciałabym choć pozostałe obejrzeć.

— Najchętniej! Służę pani.

— Nie teraz: po obiedzie, jeśli to panu różnicy nie sprawi?

— Najmniejszej. Będę na jej rozkazy — rzekł z ukłonem i oddalił się, bardzo kontent ze spotkania.

Kazia miała w tem swoje wyrachowanie, że nie zaraz poszła owe ciekawe rzeźby oglądać. Już zrobiła na nim pewne wrażenie obecną rozmową. Lepiej, żeby się wrażenie owo powtórzyło po pewnym czasie, niż żeby się przeciągnęło o jaki kwadrans dłużej. Była zwolenniczką częstych i małych dawek. Po obiedzie, ujrzawszy Karola wyczekującego przy sztachetach nie pośpieszyła do niego. „Niech trochę poczeka: Przez ten czas będzie o niej myślał, nie należy mu okazywać, że mi tak pilno z nim się zobaczyć“. Wyszła nareszcie, swobodna, naturalna, przywitała go bez zażenowania i weszli razem do jego mieszkania. Gdyby jej kto trzy tygodnie temu powiedział, że będzie się sama zapraszała do człowieka prawie nieznanego, w dodatku nieżonatego, oburzyłaby się na tę myśl niezawodnie. Tu jednak uważała krok podobny za konieczność i „lansowała się“, jak mówiono na pensji.

— Drzwi niech pan nie zamyka, bo to nie uchodzi — rzekła figlarnie.

— Zdaje się — odparł poważnie — że należymy oboje do rzędu ludzi, co na konwenanse nie baczą.

— To Kain — zagadywała Kazia drażliwą kwestję. — Jaka twarz wyrazista! Z jaką trwogą patrzy w oblicze zabitego, maczugę trzyma w pogotowiu. Tu jest przenośnia.

— Pani sądzi? nie dopatrzyłem żadnej.

— Jest: Kain to Moskal. Czuwa nad zabitym z obawy, by się nie zbudził. Typ nawet jest rosyjski.

— Prawda! że też ja tego dotąd nie zauważyłem! A mogłem łatwo! Brat wyjeżdżając zawołał do doktora i służby szpitalnej: „Plemię Kaina, sam Bóg cię przeklina!“

— Nie jednoby się im powiedziało...

— Nawet sędziemu śledczemu?

— Jemu bardziej, niż komukolwiek! sam się ojcu narzuca pod pretekstem spraw sądowych i przez to cały dom kompromituje! Obrzydził mi życie ten człowiek. A pan jesteś okrutny, że mi to przypominasz, gościowi we własnym domu nie robi się przykrości!

— Więc pani nie bardzo miło w rodzicielskim domu?

— Ja sobie żyję całkiem odrębnem życiem — mówiła już spokojnie — do którego ani ojciec, ani

matka nie wchodzą. To mówiąc przeglądała swobodnie statuy i szkice pozawieszane po ścianach.

— Cóż stanowi treść tego życia? — spytał Karol — Ogródek?

— I książki, moje własne myśli i uczucia i nic, i nikt poza tem.

— Pominąwszy owe myśli i uczucia, o których sądzę, że muszą być głębokie — zauważył żartobliwie — świat ten jest bardzo ciasny, zważywszy, że książki są prawdopodobnie treści wyłącznie belletrystycznej.

— W istocie. Czytam bez wyboru od Kraszewskiego, aż do Mme Gyp wszystko, co mi w ręce wpadnie.

— To szkoda! Wolałbym...

— Nie wiem, cobym ja wolała — przerwała mu Kazia, cedząc słowa z wahaniem — bo wyboru nie mam.

— Jabym na pani miejscu nie pozostawał w Wintowie — wyrzekł powolnie Karol.

Kazia spojrzała zdziwiona.

— Pani jest... wcale nieźle obdarzona przez naturę w roztropność, przytomność umysłu, energię, nie brak pani zdolności i zmysłu spostrzegawczego... pani mogłaby z korzyścią studjować... na którym z zagranicznych uniwersytetów... medycynę chociażby. Doktór mówił mi, że z pani byłby świetny lekarz.

— Gminie to mówił — odrzekła — poważnie.

— Kto wie, w takim razie, czy nie spotkam

pani kiedy we Francji, lub Szwajcarji w czapce, z laseczką w ręku, z papierosikiem w zębach... żartował Karol.

— Może się i spotkamy, choć bez lasek i papierosów. Niepodobna tak wiecznie żyć ogródkiem i Bourgetem.

Dalej zaczęto mówić o Warszawie, o Sienkiewiczu, jego ostatniem dziele, w końcu pożegnała go, podała mu rękę na podziękowanie i wróciła do domu. Tak była wzruszona, że bojąc się zdradzić wyrazem twarzy zamknęła się w swoim pokoiku. Rozpamiętywała dzisiejsze widzenie się z Karolem i zwiedzanie galerji, jak nazwała żartobliwie prace warjata — przyklaskiwała sobie w duchu. Jak łatwo, gładko wypadła cała rozmowa, jak umiała na wszystko trafnie, a nie banalnie odpowiedzieć; te buraki! ta kapusta! uśmiechała się do siebie. Ten Kain! skąd jej się wzięło tyle zręczności! Zaznaczyła swój patryotyzm, oczyściła z podejrzeń co do sędziego śledczego i wszystko to najniespodzianiej dla niej samej. „Udało się: naznaczył jej rodzaj rendez-vous za granicą!“ Tu wesołość Kazi znikła całkowicie. „To będzie bardzo trudno i nieprędko: Rodzice jej nie puszczą! Gdyby to tak można jeszcze tu na miejscu pomówić jaki raz z Dramowskim. Możeby się obeszło i bez studjów za granicą. Jest to pretekst: będę go wypytywała o studja! zawsze to sprawę posunie.

Dramowski mniej był z siebie zadowolony. Ro-

zumiał, że zobowiązał się do pewnego stopnia względem Kazi. Naznaczył jej rzeczywiście rodzaj schadzki za granicą; jeżeli się stawi, będzie musiał ją poślubić. „Związałem się, może nie dość rozważnie, wobec tak powierzchownej znajomości. Kto ją wie, jaka ona jest w gruncie? W każdym razie z charakterem dziewczyna, pocieszał się pan Karol. „Właśnie dla tego, że z charakterem, przyjedzie niezawodnie“. Kończył z żalem. „Cóż w tem złego?“ upominał samego siebie. „Bardzo miła, niegłupia i niebrzydka dziewczyna. Chcę się żenić, dlaczegóżbym nie miał jej wziąć, skoro mi się podobała. Dobrze zrobiłem. Tylko czy przyjedzie. Rozmyślał jeszcze długo na ten temat pan Karol, martwiąc się na myśl, że się związał i że się Kazia stawi niechybnie, to znów obawiając się, że nie przyjedzie. Gdy Kazia nazajutrz pierwsza go przywitała i rozpoczęła rozmowę, gniewało go to prawie.

„Masz tobie! pomyślał, „zrozumiała mnie lepiej, niż sam tego chciałem! Zaraz mnie będzie pytała o studja“. Kazia jednak nie odstępowała od swego planu: zaproponowała mu zwiedzenie Tumu i skarbca. Wróciła po kapelusz i rękawiczki i dawszy mu znowu czekać na siebie, poszła obok niego, jakby z dawnym znajomym, nie troszcząc się o gadania, które stąd niezawodnie wyniknąć musiały. W drodze rozmawiała o mieście, w Tumie pokazywała mu dawne pamiątki, w skarbcu

znała, jak się okazało, każdy przedmiot i jego pochodzenie.

Z powrotem milczała. Żegnając się, dopiero zapowiedziała mu, że go jeszcze poprosi, by zechciał przed odjazdem podać jej jakie zna szczegóły o studjach kobiecych na zagranicznych uniwersytetach.

— Nigdy mi dotąd podobny projekt w głowie nie postał, tłómaczyła się bardzo poważnie. Ale oto po raz drugi słyszę, że mogłabym zostać doktorem. Prawdopodobnie napotkam wiele trudności w dopięciu tego zadania, może ich nawet nie pokonam, jeżeli mi się jednak uda, będę panu wdzięczną za podaną myśl. — Miała mówiąc to taki niezamącony wyraz spokoju w twarzy, jakby żadne plany na usidlenie go nigdy jej przez myśl nie przeszły.

„Może ona wcale nie dla mnie wybiera się do uniwersytetu? Szkoda, miła dziewczyna. Taka różna od wszystkich, jakie dotąd spotykałem“. I znowu mu się jej zachciało, dlatego tylko, że nie wiedział z pewnością, czy ona dla niego wybiera się za granicę, czy nie dla niego. W końcu zniecierpliwił się na samego siebie. „Gdy mi się zdaje, że chce tam jechać dla mnie, krzywię się, jak od lekarstwa, gdy zacznę wątpić, czy mnie ma na celu, żal mi, że jej nie zdobyłem! Cóż u licha? Chcę jej, albo jej nie chcę. Jeżeli podsunąłem jej myśl opuszczenia rodziców, to dlatego, że jej chcę“. Była chwila, że miał się jej zaraz oświadczyć, ale

się opamiętał: sędziego Potulińskiego prosić o Kazię nie myśli. „Pojedzie — wezmę ją; nie pojedzie, znajdę inną“.

Z tem postanowieniem zaczął się zbierać do odjazdu. Uregulował interesa brata, mając nareszcie świadectwo o stanie jego umysłu, wydobył papiery Walka, którego miał zabrać ze sobą, Maciejowej wynagrodził hojnym datkiem przykrość, jakiej doznawała z powodu zaaresztowania męża. Kazi doradził uniwersytet genewski, gdzie najwięcej polek studjuje, pożegnał serdecznie Rajskiego, opuścił Wintów. Walka wraz z pozostałemi po bracie ruchomościami skierował na Kłonów, sam podążył wprost do Chamowa i tam zakopał się w stosie druków, prób, rękopisów i papierów wszelkiego rodzaju, odkładając na wolniejszą chwilę szukanie Kazi po Szwajcarji. Praca dziennikarska pochłonęła go całkowicie; o sobie, o warjacji, snach i żeniaczce zapomniał zupełnie. Polemika, wstępne artykuły, recenzje, odpowiedzi i nic poza tem. Toż samo, zawsze to samo: surowa nagana przeciwnikom jego kierunku, pełna godności odpowiedź na zarzuty, wyraźne zaznaczenie swego stanowiska, pogląd ogólny na sprawy współczesne i tak zawsze, do znużenia, do omdlenia, nie mając czasu ani myśli na nic innego. Zawsze jedno, jedno i jedno!

Kazia także jedno tylko miała na myśli: Do Szwajcarji! za jakąbądź cenę koniecznie do Szwaj-

carji! Ale jak? Rodzicom mówić nawet o tem nie mogła. Rady u nikogo zasięgnąć nie śmiała. Wreszcie postanowiła pojechać do Warszawy, chodziło tylko o pretekst. Kto nie znalazł pretekstu do Warszawy? Cóż dopiero Kazia! ona koniecznie musiała tam jechać przed wakacjami, bo i ona i wszystkie koleżanki z tej samej klasy miały w pięć lat po opuszczeniu pensji zjechać się w ten sam dzień do stolicy i złożyć razem wizytę dawnej przełożonej.

Że to miało nastąpić w rocznicę opuszczenia zakładu, t. j. w pierwszych dniach lipca, o tem Kazia przemilczała roztropnie przed rodzicami; wybrała się więc przy końcu kwietnia. Dano jej na podróż, na pobyt, na letnią sukienkę, na płaszczyk, matka coś dołożyła na bagatelki, swoich miała parę rubli, popłynęła więc w dobrej myśli, żegnana deklamacją matki w piękny dzień, szybkim parowcem, i w kilka godzin znalazła się na warszawskim bruku. Miła Warszawa! Tylko nie dla tych, co w niej nic i nikogo nie mają, prócz wspomnień pensji i dawnej przełożonej. Kazia uczuła się strasznie samotną wśród tego ruchu i wrzawy, obcych twarzy i wysokich murów. Ona to tylko znała, to tylko widzieć mogła w Warszawie. Nie oswojona z gwarem wielkiego miasta, nie wiedziała, dokąd się zwrócić, co z sobą począć, szła przed siebie z kuferkiem w ręku, byle się wyrwać ze zgiełku, panującego na przystani. Wyratował ją z zakłopotania dorożkarz, proponując jej swoje usługi.

Wsiadła do powoziku, vulgo dryndy, wskazała ulicę, przy której była jej dawna pensja i już śmielsza, przytomniejsza, zaczęła rozmyślać, co powie pannie Janickiej, gdy ją spyta o cel przyjazdu. Na razie nie wymyśliła nic, prócz chęci zabawienia paru dni w stolicy i odwiedzenia panny Anny, „dla której miała zawsze serdeczne przywiązanie, wdzięczność etc.“ Jednocześnie zrobiła sobie Kazia uwagę, że owego przywiązania nigdy nie czuła, że raczej nie lubiła przełożonej. Panna Anna była dobra, bardzo dobra, miała jednak coś w spojrzeniu, co Kazię mięszało. Pomimo wielkiej dobroci, łagodności głosu, czuła zawsze coś nieszczerego, nieżyczliwego w oczach i uśmiechu tej pani. Nie patrzała wprost w twarz, ale trochę w bok, lustrując niby pensjonarkę; i uśmiech miała jakiś dziwny... było to raczej zaciśnięcie ust, podobne do przemilczanej nagany. Bała się jej Kazia, nie czuła do niej zaufania. Zatrzymała dorożkę przed dobrze znanem wejściem, zsiadła z pewnem wahaniem, pociągnęła za dzwonek; i na odgłos tego dzwonka opanował ją dobrze znany, nieokreślony jakiś strach przed czemś, niby wymówką, czy niezadowoleniem z jej osoby. Doznawała tego uczucia za każdym powrotem na pensję ze świąt lub wakacyj. To ten dzwonek tak ją nastroił obecnie, bo przecie teraz już nie mogła mieć żadnej obawy. Nie wątpiła, że panna Anna przyjmie ją dobrze, prawdopodobnie nawet serdecznie. Po długiem oczekiwaniu drzwi się otworzyły i po-

witała ją bardzo radośnie dawna koleżanka z tej samej klasy — Walunia.

— Kazia! Jak się masz moja droga? Jakże ci się powodzi? — Zarzucała ją pytaniami. — Za mąż nie wyszłaś?... No, ale ślicznie wyglądasz!... Urosłaś, wyszczuplałaś, nie postarzałaś się wcale. Taka jesteś różowa!

— To z drogi — odrzekła — na statku wiatr nieustanny. Ach, gdzieżtam! postarzałam — odpowiadała, wnosząc kuferek na schody. — Toż to pięć lat! kawał życia. A ty co tu robisz?

— Ja zostałam nauczycielką. Chodź do mego pokoju! Masz jakiś tłómoczek? — Walunia wzięła jej z rąk walizkę i poprowadziła ją na górę. Na pierwszem piętrze znany zapach obiadu, przypomniał jej szkolne czasy: „dziś środa, myślała, wątróbka cielęca, jutro flaki, pojutrze kluski z olejem“ zanudziło ją na wspomnienie tych potraw; spojrzała na Walunię z politowaniem: „Ta jeszcze jada kluski z olejem! jaka ona mizerna, zmalała, postarzała, twarz żółta, zęby czarne. A taka była ładna! Za mąż! za mąż co prędzej, póki czas! Ja się martwiłam, że Dramowski ma gruby kark i małe oczy, że się w nim zakochać nie mogę! Ależ to wszystko nic, w porównaniu z losem Waluni! Całe życie na pensji! Jabym nie wytrzymała! Do Szwajcarji! Ratować resztę życia! Pięć lat zmarnowałam bezpowrotnie!“

— Więc i ty za mąż nie wyszłaś!... Sądziłam,

że tam na prowincji łatwiej o męża — zauważyła Walunia.

— Jakaś ty zabawna, Waluniu!

— Cóż chcesz? To najlepszy zawód dla kobiety. Ze wszystkich uczenic, co tu były, odwiedzają nas te tylko, które za mąż nie wyszły. Tamte ani się obejrzą za nami.

— To naturalne, mniej mają czasu.

Weszły do małego pokoju, zwanego sypialnią panny Walenty. Do Waluni jednak należało w tym pokoju tylko łóżko, komoda zastawiona fatałaszkami wszelkiego rodzaju i parawan, który ten jej kącik odgradzał od łóżek pensjonarek.

— Nie to! — zaprzeczyła nauczycielka, chowając walizkę Józi pod swoje łóżko. — Nie mają żadnego do nas interesu. Przecież i ty dla miłych wspomnień tu nie przyjechałaś chyba? — Usadowiła ją na krześle, sama usiadła na taboreciku przy drzwiach, prowadzących do wielkiej sypialni. — Powiedz, co cię tu sprowadza? — nalegała. — Ja ci może co ułatwię. Widzisz, ja teraz wszystko i wszystkich znam i panna Anna zawsze mię bardzo lubi. Jest mi tu bardzo dobrze. Gdyby nie ta jednostajność i nie Przerębla..

— A! jest i Przerębla? Jakże się trzyma dardanelska oślica? — spytała ciszej.

— Kupiła nową perukę, zęby wstawiła...

— To odmłodniała nawet...

— Niechno ja zostanę wspólniczką... — Walu-

nia urwała, wydała się z głęboko tajonem marzeniem objęcia władzy nad zakładem.

— Nie obawiaj się, ja cię nie wydam. Wypędzisz ją?

— Jak psa! Ale powiedz, po co przyjechałaś? Ja cię nie zdradzę, bądź pewna. Może chcesz u nas nauczycielką zostać? Jest wakans.

— Ach! broń Boże! wykrzyknęła Kazia.

— Jabym tak chciała choć jednej z mojej klasy. Przerębla nie dopuszcza. Była tu pół roku Wandzia.

Dardanelka takich historyj narobiła, sfałszowała jej pismo; napisała najobrzydliwsze w świecie prima aprilis... Biedna Wandzia zaklinała się, płakała... nic nie pomogło. I ja się wstawiałam i inne nauczycielki...

— Że też panna Anna tak jej ślepo ufa?

— Myślisz, że ona wierzy temu wszystkiemu? Dardanelka jej potrzebna. — Tu Wandzia wskazała palcem na ucho z miną znaczącą.

— Zawsze uszy przy drzwiach?

Walunia zrobiła jej znak. W przyległej sypialni usłyszały leciutki szmer. Walunia przyczaiła się pode drzwiami, trzymając rękę na klamce.

— Kto tam jest? — spytała po francusku i jednocześnie popchnęła drzwi z całą siłą. Poczuła, jak drzwi uderzyły o coś miękkiego, zamknęła je więc powoli, dodając głośno:

— Przesłyszało mi się: niema nikogo.

Kazia przygryzła usta, by śmiech powstrzymać.

Dardanelka musiała dostać po uchu lub po nosie. Nie żałowała bynajmniej niecierpianej ogólnie nauczycielki.

Walunia z kolei nachyliła ucha do drzwi, trzymając jednak klamkę, by ją na gorącym uczynku nie złapano.

— Poszła z doniesieniem — szepnęła. — Nie powiadaj, że ja cię o cokolwiek pytałam.

— Któż u was jeszcze pozostał?

— Felicja.

— A „*Was ist das?*“

— Wypędzona nareszcie!

— Pamiętasz kolczyki Maryni?

— Trzeba było aż bransoletki panny Anny! Zostawiłam ją umyślnie w poczekalni i śledziłam w lustrze, kto ją weźmie. No i nie długo czekałam: Niemka, idąc do klasy, zauważyła bransoletkę na konsoli i zarazże, nie zatrzymując się nawet, sięgnęła po nią i za gors schowała.

— Że też ją tak długo tolerowano?

— Z dobrym akcentem, za siedm rubli. Ale ani jednej wstążeczki mi nie zostawiła. Ametystowe kolczyki Felicji zabrała... pamiętasz te, cośmy jej całą klasą kupiły? Łańcuszek Konwertowskiej... najgorzej, że dzieciom wszystko przepadało. Zaczęły się podejrzenia jednych na drugie, skargi do rodziców; jedną chcieli odebrać z tego powodu...

— I nie pozwano jej, ani oddano do policji?

— Nie! Taki skandal na pensji! Zresztą do-

niosłaby policji o naszych utajonych klasach! Zamknięłoby niezawodnie pensję!

W przyległej sypialni słychać było wrzawę wchodzących uczennic. Była to jedna z owych klas utajonych, pobierająca lekcje w dortoarze; hałas powstał ogromny: padały książki, pióra, ołówki, szeleściały kartki, nogi tupały, krzesła szurały, ciągnione po podłodze... ponad tem wszystkiem unosił się gwar kilkunastu głosów, mówiących jednocześnie.

— Cicho, oślice dardanelskie! — zaskrzeczał głos nauczycielki. — To przecie sypialnia! doskonale o tem wiedzą! Gdyby tak nadeszli w tej chwili, domyśliliby się niezawodnie.

— Panno Lucyno! — ozwała się pokornie jedna z uczennic. — Czy ja się mylę, czy gatunek dardanelskich osłów jest bardzo maleńki? (Nauczycielka była małego wzrostu).

— Głupia jesteś, moja Zeniu! Są nawet tak wielkie, jak ty.

— O tem pierwszy raz słyszę, a może i ostatni — odparła Zenia nakazująco.

— Cóż to znowu? Patrzcie, jak mi zhardziała! I pożartować z nią niewolno!

— Ja też to jako żart tylko przyjęłam.

— A wygadane to, jak przekupka! Będziesz ty mi cicho, smarkulo!

— Poczekaj Kaziu! — szepnęła Walunia przyjaciółce, zacierając ręce z radości. — Muszę prze-

cież zawiadomić pannę Annę o twoim przyjeździe.

Wymknęła się bocznemi drzwiami z pokoju.

Budoar panny Anny dawał wysokie wyobrażenie o guście i znawstwie swej właścicielki. Wszystko tu było piękne, poważne i nieposlednie. Zasłony u okien z prawdziwej kaukazkiej tkaniny o bladych barwach, dywan smyrneński wzorzysty, lecz nie jaskrawy, meble z czarnego drzewa, pokryte adamaszkiem delikatnego cieniu abricot, gipiury ręcznej roboty, abat-jour koronkowy na lampie, paprocie w doniczkach z koreckiej porcelany, wszystko stanowiło piękną, harmonijną i ani trochę niebanalną całość. Panna Anna także nie była bynajmniej banalną. Wysoka, w miarę szczupła, głowę miała małą, rysy drobne, a nie dziecinne — przypominała kotkę. — Miała szczególny sposób przymykania oczu; patrzyła niby z pod przymkniętej nawpół powieki, trochę w bok, trzymajac twarz en trois quarts do osoby, z którą mówiła. Stanowiło to wielką oryginalność jej twarzy. Wyraz oczu zmieniał się wedle doznawanych wrażeń. Gdy się uśmiechała, małemi, wąziutkiemi, jak czerwony sznureczek, ustami, była wprost śliczną. Ale panna Anna rzadko się śmiała; gdy była samą, wyglądała smutnie i znękano. O czem myślała przełożona, siedząc w swym budoarze za-

głębiona w fotelu, popijając z tureckiej filiżanki czarną kawę? Są myśli, które nas nigdy nie opuszczają, cokolwiek czynimy, mówimy, lub myślimy nawet jednocześnie. Doznawała tego od lat wielu panna Anna. Nie przestawała myśleć ani na chwilę. O czem? O zawiedzionej miłości. Czy to przyjmowała nowe uczennice, umawiając się z rodzicami, czy poprawiała wypracowania, czy strofowała nauczycielkę, czy rozmawiała, czy milczała, czy pieściła ukochaną Walunię — w głowie i w sercu miała jedno tylko: miłość i zawód serdeczny.

Ona tak bardzo kochała! Tak wierzyła we wzajemność tego człowieka, tak długo, lata całe nie poddawała się zwątpieniu, oczekiwała, ufała przeciw wszelkim rozumowaniom, przeciw oczywistości nieubłaganej, niezbitej. Rozpamiętywała słowa jego, pełne gorących wyznań, a tak na pozór szczerych! „Jedną taką znał w życiu i taką tylko mógł kochać!“ Jak patrzył wówczas, jaki głęboki, piękny miał głos, jaki wyraz w całej twarzy... jaki był piękny ten Ukrainiec o czarnych wielkich oczach, o rysach szlachetnych, o cerze południowca. „Ja cię nigdy kochać nie przestaję i nie przestanę nigdy, choćbyś ty mię zdradziła. Będę cierpiał, ale cię będę kochał zawsze, koto ty moja jedyna, szczęście ty moje złote, zorzo ty moja jasna! Rybko ty moja!“ Jest cały słownik miłosny, którego nie znają w Królestwie, używany przez synów dalekiej Ukrainy, zarówno wśród ludu, jak

i panów. Bo tam kochają inaczej; w ich miłość wątpić nie sposób.

Ciemne gorejące oczy patrzyły gdzieś w dal, jakby lękały się urazić ją swojem spojrzeniem... A po tem wszystkiem — porzucił! Bez wyjaśnienia, bez zajścia nawet żadnego, bez zerwania! Napisał, że umarł mu ojciec, jedzie na pogrzeb — i zniknął. Ona, ona czekała go dotąd; nie mogłaby, zdaje się, żyć bez tej wiary. Panna Anna głowę oparła o wałek fotela, oczy przymknęła i dalej snuła swą dumę: musiało go złego coś spotkać. Przecież pisała dwa razy. Pierwszy list może zaginął, wszak to się często przytrafia! Drugi, rekomendowany, wrócił bez żadnych wyjaśnień. Może zesłany dokąd w drodze administracyjnej, może uwięziony potajemnie za jaką polityczną sprawę? Jeżeli żyje, to kiedyś powróci; ona zostanie mu wierną. A jeżeli? jeżeli zginął gdzieś w kijowskiem więzieniu, lub w drodze do Sybiru? Znała Kenana na pamięć, nie było tam drogiego jej imienia, wśród ofiar moskiewskiego okrucieństwa...

Tak rozmyślała ciągle, niewyrzekając się nadziei, a tylko cierpiąc, cierpiąc wiecznie, wmawiając w siebie, że nie została opuszczoną, jak pierwsza lepsza Maryśka, do której się panicz umizgał, bawiąc w mieście czasowo. Prowadzenie pensji, lekcje, wypracowania, wizyty, męczyły ją jak pańszczyzna. Spełniała obowiązki swe machinalnie, bez zamiłowania, bez jakiejś idei przewodniej, bez powołania. Byle szło, byle z dnia na

dzień, wszystko było jako tako zrobione, potrzeby codzienne opędzone, zapłacone mieszkanie i personal. Jakoś wszystko się sobie odbywało bez wielkich z jej strony wysiłków; nauczycielki uczyły i pilnowały dzieci, gospodyni zarządzała kuchnią i wydatkami codziennemi, pokojówka pilnowała sługi i oprania; panna Anna występowała z interwencją tylko w razach niezadowolenia, nieporozumienia lub niezwykłego jakiego wypadku. Wiedziała jednak wszystko, co się działo w zakładzie, co kto robił, mówił, myślał nawet. Któraś z nauczycielek dziennik pisała, inna utrzymywała korespondencję z przyjaciółką, inna robiła uwagi na marginesie książek, wypożyczanych w czytelni... Panna Anna wiedziała o wszystkiem.

Nie poniżyłaby się z pewnością do czytania cudzych listów lub pamiętników, ale miała do tego osobę z powołaniem na szpiega, pannę Lucynę Przeręblę. Ta otwierała szufladki, podsłuchiwała pode drzwiami, nawet na ulicy śledziła. Rozumie się, nie przychodziła chwalić się z tem, że cudzy list przeczytała, lub zaglądała przez dziurkę od klucza, umiała każdą wiadomość ubrać w jakiś przypadek, mniej lub więcej zwyczajny. List walał się na schodach, dziennik był między nutami panienek, rozmowa toczyła się głośno, przy niej etc. Na nieszczęście wiadomości, dostarczane przez Przeręblę były zawsze ujemnej natury: Jedna z nauczycielek miała mówić o niedbałem prowadzeniu zakładu, inna o brakach w nauczaniu, trzecia o za-

niedbaniu strony patrjotycznej, czwarta o kłótniach wśród personalu, o plotkarstwie, o złem jedzeniu etc. Jeżeli co się mówiło lub pisało dobrego, nie doszło na pewno do uszu przełożonej.

Ztąd każda z nauczycielek była ciągle w podejrzeniu, żadnej nie wierzono, nie ufano, okazywano od czasu do czasu niełaskę, robiono przymówki, nawet wydalano. Trafiła jednak i Przerębla na twardy orzeszek w osobie Waluni. Tej podminować nie zdołała. Również Walunia przeciw Przerębli okazała się bezsilną.

Walka między byłą uczenicą, a starą damą klasową trwała nieprzerwanie; żadna jednak nie mogła odnieść stanowczego zwycięstwa. Przerębla była przełożonej potrzebną, Walunia była dzieckiem jej serca; kochała ją i psuła panna Anna od dzieciństwa, widziała w niej swoją spadkobierczynię, zamierzała nawet kiedyś, po czasie, zdać na nią prowadzenie zakładu.

Zapukano do drzwi.

— Proszę, — rzekła przełożona, spodziewając się Waluni z nowiną, kto to zadzwonił. Widząc wchodzącą Przeręblę, wyprostowała się w swoim fotelu, spojrzała na nią z ukosa i wąziutkie usta zacisnęła. Wiedziała, że przychodzi z „językiem".

— Piękne rzeczy dzieją się na pensji! nie ma co mówić — zaczęła Przerębla z oburzeniem, wytrzeszczając krągłe zielone oczy; w kątach ust rozciętych od ucha do ucha ukazała się piana. —

Panna Walentyna stanowczo wchodzi w rolę przełożonej! — Zatrzymała się, czekając zapytania.

Panna Anna patrzyła z pod powieki, z twarzą nieco zwróconą i milczała. Robiła sobie tylko w duchu uwagę, że Przerębla bardzo podobna do mopsa, że ma głowę za wielką, nos za krótki i oczy zbyt okrągłe.

— Bardzo pięknie! — wykrzykiwała dalej stara panna, nie spuszczając z wysokiego dyszkantu, w którym rozpoczęła przemowę! — Teraz wszyscy mamy się zwracać do panny Walentyny po rozkazy; ona jest przełożoną.

— Życzę Waluni lepszego losu — odrzekła Anna, spuszczając powieki na leżące na stole zeszyty, jakby dalej słuchać nie chciała.

Lucyna znała ten moment, trajkotała więc dalej niezrażona.

— Ale ona widocznie niczego więcej nie pragnie: przyjmuje interesantów, umawia nauczycielki, obiecuje protekcją... jest przełożoną, poza plecami swej dobrodziejki!

— Walunia zastępuje mię, w czem może, i jestem jej za to wdzięczną.

— Więc ona to przez wdzięczność zapewne rozpowiada, co się tu dzieje, że kosztowności kradziono, że podejrzywano dzieci, że ja musiałam zamki Niemce odrywać. To tak za wszystkie łaski i macierzyńskie serce. Bardzo przepraszam! Nie wiedziałam; jeżeli to pani dogadza, to nie mam

o czem mówić. Sądziłam, że jedna głowa wystarcza do rządzenia zakładem.

— I ja tak sądzę, że moja głowa wystarcza najzupełniej — odrzekła powoli i z przyciskiem, patrząc przeciągle w biegające oczy zajadłego stworzenia.

— To znaczy, że moja rada niepotrzebna. Rozumiem. Ślicznie dziękuję! To za tyle lat wiernej służby! Ja na tom sobie nie zasłużyła!

— Owszem, panno Lucyno, ja rady od wszystkich z wdzięcznością przyjmuję. Zdaje mi się jednak, że obawa pani w tym wypadku jest co najmniej przedwczesną.

— To róbcie sobie, jak chcecie, ja się do niczego więcej nie mięszam!

— W każdym razie dziękuję pani, panno Lucyno — zakończyła sucho przełożona i pogrążyła się w fotel, na znak, że audjencja skończona.

Przerębla zawróciła się na pięcie i wyszła ze złością, mrucząc pod nosem koniec przygotowanej przeciw Waluni filipiki.

— Kogo to Walunia przyjęła? Czemu go do mnie nie zaprowadziła? — Zastanawiała się Anna — ona rzeczywiście zaczyna zanadto się rządzić w zakładzie.

Zadzwoniła. Służąca weszła cicho i stanęła w progu.

— Proszę mi poprosić panny Walentyny.

Ale Walunia już biegła po schodach. Wpadła zdyszana, rozpromieniona, padła na stołeczek u nóg

swej dobrodziejki i główkę wsparła o jej kolana.

— Kazia Potulińska przyjechała. Wyrzekła odetchnąwszy.

Panna Anna gładziła czule faliste włosy dziewczyny.

— Czemużeś jej do mnie nie przyprowadziła?

— Pani właśnie usiadła do obiadu. Sądziłam, że byłoby niezręcznie, jej nie zaprosić, a kurczęcia było tylko na jednę osobę. Kompot także dla pani tylko zrobiono.

— Należało mi jednak powiedzieć.

— Pani i tak nigdy nie ma spokoju, wolałam ją przyjąć tymczasem w mojej sypialni. Przecież nic złego w tem niema?

— Nie, moje dziecko! Ty jedna dbasz tutaj o mnie, Waluniu. Czegóż to Kazia przyjechała?

— Nic nie wiem. Nie pytałam jej.

— Czy może chce zostać u nas nauczycielką?

— Nie wiem, nie mówiła mi o tem.

— To dobrze. Jeśli ma jaki interes, niech się udaje wprost do mnie.

— Pójdę po nią, jeżeli pani pozwoli. Ale... chciałam pani powiedzieć... — urwała.

— Możesz mówić, Waluniu.

— Kiedy to pani przykrość sprawi, a jabym tak rada wszystkiego pani oszczędzić! — dodała całując rękę swej dobrodziejki.

— Tam, gdzie trzeba, żebym o czemś wiedziała, nie możesz się na to oglądać.

— To powiem, bo mi się zdaje, że tak być

nie powinno. Panna Przerębla znowu wymyśla panienkom od oślic dardanelskich; już była raz z tego powodu wielka nieprzyjemność, teraz któraś jej odpowiedziała, że dardanelskie osły to gatunek bardzo mały. Takie grubiańskie traktowanie rozzuchwala je poprostu.

— Genia, rozumie się, — odpowiedziała.

— Genia. Ale to dowodzi, że takie duże dziewczęta należy przyzwoiciej traktować. One za pół roku już w świat wejdą. Piękna opinja dla zakładu, gdy zaczną rozpowiadać, że je oślicami nazywano.

— Masz słuszność, Waluniu, podobne obejście rozzuchwala takie kozy. Przyszlij mi naprzód Genię; nie można pozwalać na podobne zuchwalstwa. Panna Lucyna nie powinna była w ten sposób przemawiać, ale Geni należy się bura. — Walunia nie pokazała po sobie, że innego obrotu sprawy pragnęła. Wybiegła po Genię.

Zaledwo znikła Walunia, do pokoju wpadła osoba wysoka, bardzo chuda, z twarzą zwiędłą o obwisłej na policzkach, drobno pomarszczonej skórze, garbatym, zgrabnym nosku i głęboko wpadłych ciemno-niebieskich oczach, z rozszerzonemi chorobliwie źrenicami.

— Prosiłam panią, panno Fredo — ozwała się po niemiecku przełożona na widok tego szkieletu, nie wchodzić bez zapukania do drzwi, tego się nigdy, nigdzie i nikomu nie robi.

— Przepraszam panią — odrzekła Niemka po

polsku schrypniętym głosem, ale ja tak nie mogę: twarz jej zadrgała i skrzywiła się, jak do płaczu. — Człowiek ma ciężką pracę na cały dzień, i w domu i poza domem.

— Panno Frydo, ja i po niemiecku rozumię — przerwała jej panna Anna.

— Przepraszam panią — poprawiła się Niemka szwajcarskim akcentem, zbliżonym do żydowskiego żargonu. — Wracam z lekcji, przychodzę na objad, a tu mi zostawili, jak dla kota! I jeszcze do tego barszcz, czego ja nie lubię, wątroba bez sosu, kartofel ledwie łyżkę i pół biszkopta! Jak taki mały, to możnaby choć biszkopt cały podać, dla zakończenia świetnej uczty.

Panna Anna zadzwoniła.

— Proszę poprosić pani Radzińskiej — rozkazała pokojówce.

Pani Radzińska weszła powoli, z wzniesioną hardo głową, przewalając z boku na bok ogromne swe cielsko. Kończyła obcierać ręce o fartuch. Czarne, błyszczące jej oczka, zapłynięte tłuszczem, biegały szybko z przełożonej na Niemkę z wyrazem nietajonej złości. — Czekała.

— Panna Fryda uskarża się, że głodna jest po naszym obiedzie — rzekła sucho przełożona; może pani ma jeszcze co do podania?

— A cóżbym miała do podania? — odparła ta impertynencko. Gdybym co miała, tobym podała. Dla siebie tych specjałów nie chowam.

— Nie chodzi wcale o specjały — odrzekła

Anna, siląc się na spokój, tylko o to, by każdy mógł zjeść do sytości.

— Ja, to wcale nie jadłam, a mam, dali Bóg. do sytości...

— Bo pani jest tłusta, to nie potrzeba, a mnie choć kartofel daj, aby nie głodna.

— Panna Fryda później przychodzi, to ma większy apetyt.

— Proszę pani, ja zostawiam większe porcje, niż dla panienek, co przecie rosną. I gdzie się to wszystko podziewa?... — dodała, ruszając ramionami i patrząc na Niemkę z politowaniem.

— Ładne większe porcje! Pół biszkopta!

— To od nauczycielek zostało! — któraś na połówkę się złakomiła. Ja i moja Marynia tośmy i tego nie dostały i nie skarżymy się o lada bagatelę.

— Tu nie o to chodzi — rzekła przełożona stanowczo. — Proszę dla panny Fredy zrobić zaraz beafstek, dobyła portmonetkę z kieszeni.

— A na czem mam smażyć, proszę pani, kiedy już ognia niema. Rozpalać pod płytę dla tego głupiego bifsztyka przecie nie będę.

— Proszę posłać po gotowy do restauracji.

— Ale ja tego wcale nie chcę zupełnie — broniła się Fryda, marszcząc twarz, jak po occie. Ja tak nie potrzebuję. Tylkokartofel trzeba zostawiać eine Portion, a nie malo, jak zakąska.

— Proszę posłać po beafstek!

— Ale ja nie będę jadła, to nie trzeba. Tylko drugi raz, żeby tak nie było!

— A jak się czasem i trafi — kończyła sentencjonalnie gospodyni — to lepiej awantur nie wyprawiać i pannie Annie dać trochę spokoju.

— Ja rzeczywiście bardzo potrzebuję spokoju — rzekła ta złamanym głosem do Niemki.

— Idę już, idę — odparła zakłopotana Fryda. Ja bardzo przepraszam, tylko żeby tak już nie było!

Gdy pokój opuściła, panna Anna zwróciła się do gospodyni:

— Bardzo mi przykro, że u mnie ktoś się skarży na niedostateczne pożywienie.

— Ależ bo, proszę pani, ta niemka tak pakuje, dalibóg, jakby z głodnego kraju przyjechała. Jeszcze i skarżyć się przychodzi! Ja to się nie skarżę, jak mi zacznie prać swoje pończochy w kuchni, przed samym obiadem, że niema miejsca z robotą się rozłożyć i dalibóg, ochota odpada od tego jedzenia.

— Czemuż ich nie oddaje do prania?

— A, bo powiada, że jej źle piorą: że farba złazi.

— W to ja wchodzić nie mogę. — Ona jest bardzo użyteczna dla zakładu, i nie chciałabym, żeby się na nas uskarżała.

— Użyteczna? Tylko nie do niemieckiego języka. Wczoraj jeszcze słyszałam, jak opowiadała dzieciom długą historję o jakimś holendrze, co la-

tał w kuferku! Takie niedorzeczności i to całutki czas po polsku. Moja Marynia to już na jej szprechstundy wcale nie chodzi. Robi gipiury i pierze koronki, ale to i polka potrafi. Mojej Maryni to nie raczyła nawet pokazać, jak się ten ścieg robi, którym szal dla Pani zaczęła.

Panna Anna uśmiechnęła się litośnie.

— Poproszę ją, by Maryni tego ściegu nauczyła i niech jej pani daje tyle kartofel, wiele chce.

— Ja będę dawała, co pani każe, ale skąd ja mogę nastarczyć na wszystkich, z tych ośmiu rubli? Kupuję, co jest najtańszego: tej wątroby tobym u siebie za żadne skarby nie jadła.

To barania, tylko, że ja dzięki Bogu umiem to dobrze przyrządzić, że i nikt nie pozna. — Niech pani na próbę weźmie inną gospodynią, przekona się pani, czy która potrafi nakarmić całą tę rzeszę za ośm rubli dziennie.

— Pawda, że pani mi bardzo wydatków oszczędza. Jestem pani niezmiernie wdzięczną.

— O też to! Ja się o dobro pani staram, a jak się czasem tak przytrafi, że komu przypadkiem nie starczyło, to wolałby już przemilczeć i pani spokoju nie zakłócać.

— Ja rzeczywiście bardzo potrzebuję spokoju, — zakończyła przełożona, zagłębiając się w fotelu.

Genia od paru minut już stała pode drzwiami budoaru. Przygotowana na „burę“ układała sobie

naprędce energiczną obronę, gdy wpadła na nią Radzińska, mrucząc ze złością:

— Niech tylko Marynia nauki skończy, dnia jednego tu nie zostanę.

Genia, zapukawszy, weszła śmiałym krokiem i z podniesioną głową do pokoju przełożonej. Czuła się znieważoną i do tego niesłusznie oskarżoną, nie wiedziała nawet przez kogo. Panna Anna obrzuciła ją bystrem spojrzeniem z ukosa i zrozumiała zaraz, że Genia zamierza hardo się stawić.

Genia była buntowniczym duchem na pensji. — Co roku musiał być choć jeden podobny typ w zakładzie. Krytykująca wszystko i wszystkich, zręczna w odpowiedziach, nielękliwa, mało się ucząca, a umiejąca wszystko lepiej, niż inne, Genia wprawiała nieraz w kłopot nauczycielki i przełożoną, która pragnęła nałamać uczennicę do regulaminu szkolnego.

Panna Anna nazywała takie wychowanki „okropnemi charakterami“ i szczerze ich nie lubiła. Geni nie cierpiała prawie za brak uległości i niezależność umysłu, ale znała ją wybornie i wiedziała, jak do niej przemawiać.

— Usiądź, moja Geniu — zaczęła poważnie — mam z tobą do pomówienia, jak z osobą, która wkrótce w świat wejdzie i będzie za swoje czyny i słowa odpowiedzialną.

— Wiem o tem — odparła pensjonarka.

— Nie przerywaj mi, moje dziecko! Ludzie będą cię sądzili nie według tego, co tobie powiedziano,

ale według tego, co ty mówisz innym, moja droga. Ty jesteś złośliwa. Życie nauczy cię, że to między ludźmi nie popłaca. Złośliwość nie jest najlepszym gatunkiem dowcipu: zasadza się na czyjejś przykrości, nawet upokorzeniu, dowodzi braku serca. Dziś naprzykład obraziłaś pannę Lucynę, oddając jej, w zgrabnej formie, temu nie przeczę, niestósowną nazwę, której użyła mówiąc do was wszystkich. Zapominasz Geniu, że to osoba starsza, że jeżeli ma taką wadę, jak trochę rubaszności, to ma i wielkie zasługi. Zmienić jej w tym wieku nie możesz, spodziewam się, że naśladować nie będziesz, masz dosyć sprytu, by złe od dobrego odróżnić; a podnosząc nierozważne słowa nauczycielki, która, wiesz dobrze, że nie powiedziała tego z gniewu, ani przez lekceważenie, szkodzisz memu zakładowi, dając przykład nieuszanowania klasowej damy, która z mojej ręki jest nad wami postawiona. Wreszcie mnię osobiście robisz ogromną przykrość; mnie każde takie zajście bardzo wiele kosztuje. Ja tak potrzebuję spokoju!

Genia czuła się bardzo winną wobec przełożonej, schyliła się do jej ręki i zaczęła serdecznie przepraszać. Panna Anna ciągnęła dalej:

— Żebyście wy mogły pamiętać, wiele waszych przywar i to nie małych, my zmuszone jesteśmy znosić i wykorzeniać, nie stawiałybyście się żadnej z nas tak hardo. Nasza praca jest ciężka i nadzwyczaj mało przynosi nam zadowolenia. Tylko poczucie spełnionego obowiązku, ale nie wdzię-

czność i uznanie tych właśnie, dla których czas i pracę poświęcamy. Wy, choć przestaniecie być dziećmi, pamiętacie tylko walkę, jaką my z wami staczać musimy dla własnego waszego dobra, ale nie oceniacie dostatecznie rezultatów tej walki: wam się zdaje, żeście zawsze były takiemi, jakiemi myśmy was uczyniły przez długie lata umiejętnego prowadzenia. Ty, Geniu, miałaś okropny charakter i jeżeli dziś jesteś inną, choć do doskonałości daleko ci bardzo, moje dziecko, zawdzięczasz to nam wszystkim, cośmy cię wychowały.

Genia zaczęła ją znów całować i przepraszać. Pomimo okropnego charakteru, jaki jej przypisywano, łzy zakręciły się jej w oczach... wybiegła, by się z niemi przed panną Anną nie zdradzić.

Znów zapukano. Przełożona, pomimo zmęczenia prosiła wejść, spodziewając się Kazi, ale ujrzała znowu Lucynę, bardzo czerwoną i gniewną.

— Proszę! — rzekła z oburzeniem. — Te smarkule śmią obrażać się na mnie!

— Panno Lucyno — przerwała Anna niecierpliwie. — Nie mówmy o tem lepiej. Powiedziałam Geni, co należało, a znalezienie się jej z panią wyręcza mnie w zupełności od mówienia z nią o tej sprawie.

— To znaczy? — spytała dama, wytrzeszczając zielone oczy.

— To znaczy, pani, że ja bardzo potrzebuję spokoju i nie chcę mówić więcej o rzeczach, które mi przyjemności nie sprawiają. Proszę pani, przy-

słać mi zaraz Kazię Potulińską — zakończyła, sięgając po leżące na stole zeszyty.

Lucyna wyskoczyła z pokoju, mrucząc coś o niełasce i pokazaniu im wszystkim.

Nareszcie weszła i Kazia. Przywitanie było serdeczne: wycałowano ją, posadzono na kanapie, znaleziono, że urosła, zmieniła się, wyładniała, wypytywano o rodziców, o Wintów, jak czas spędzała od chwili opuszczenia pensji, co nadal zamyśla robić, co ją do Warszawy sprowadza?

Kazia odrzekła, że chce poznać stolicę Polski, ma trochę sprawunków, że za dwa tygodnie najdalej powróci do domu. Panna Anna nie uwierzyła jej słowom. Chęć dowiedzenia się wszystkiego, stała się do pewnego stopnia nałogiem przełożonej; zachciała więc koniecznie zbadać, czego to Kazia przyjechała do Warszawy? Licząc, że się wychowanka łatwo zdradzi, mówiła z nią o wszystkiem: o przygotowanej manifestacji w stuletnią rocznicę konstytucji 3 maja, o narodowej żałobie na pamiątkę rozbioru, o latającym uniwersytecie, o studjach kobiet za granicą... Kazia przytakiwała jej grzecznie, zgadzała się na to, że ogólna żałoba odbiera chleb biednym szwaczkom i spycha je na smutną drogę, nie przeczyła, że manifestacja mogła pociągnąć za sobą nieobliczone klęski, podzielała pogląd przełożonej, która liczyła na cichą pracę i uległość, mającą dowieść rządowi, żeśmy już dojrzeli. Latający uniwersytet był tylko pretekstem biegania dla panien, co mają wiele czasu

do stracenia, a zarazem manją główr niedowarzonych do tajnych zebrań i nielegalnych czynności, choćby całkiem nieużytecznych, bo przecie kształcić się można, nie wychodząc ze swego pokoju, a tembardziej nie opuszczając kraju, jak to czynią teraz dziesiątki panien, nie znajdujących rzekomo odpowiedniego pola pracy w Polsce.

Kazia wysłuchała tego wszystkiego z wielkiem nabożeństwem, robiąc sobie w duchu uwagę, że panna Anna utrzymując, jakoby nauczycielek było za wiele, prywatne nauczanie odbiera pensjom zarobek, wszystkie inne zawody dla kobiet uważa za nieodpowiednie, jednocześnie potępia wszelką czynność nielegalną, chociaż na drodze legalnej żadnego „pola pracy“ wskazać nie potrafi. Zrozumiała, że panna Anna zapatruje się na objawy życia społecznego z punktu widzenia interesów — swojej pensji! Znalazła to bardzo naturalnem, zastanowiło ją tylko, co pannie Annie i jej zakładowi szkodzi, gdy panny za granicę wyjeżdżają dla zdobycia wyższego wykształcenia? Domyślić się tego na razie nie mogła, natomiast dowiedziała się rzeczy bezporównania dla siebie ważniejszej; gotuje się manifestacja narodowa na 3 Maja. Ona musi, powinna wziąć udział w tej manifestacji, i postara się, by Dramowski o tem wiedział. Opisze wszystko, co będzie widziała, i wręczy Rajskiemu, by odesłał jej „korespondencję“ do dziennika Karola.

Panna Anna nie dowiedziała się, po co Kazia do Warszawy zjechała, liczyła jednak na Przerę-

blę, która miała dar niepospolity wydobywania z uczenic najskrytszych nawet tajemnic. Postanowiła zatem poradzić Kazi, by najęła na czas pobytu w mieście pokoik u panny Lucyny. Nie będzie tam skrępowaną, znajdzie nawet odpowiednie towarzystwo w osobie siostry panny Lucyny, panienki młodej i bardzo sympatycznej. Przełożona miała jednocześnie na celu zagładzić przykrość, wyrządzoną klasowej damie, dając jej sposobność zarobienia paru rubli od Kazi. Posłała pokojówkę po Przeręblę, ale ta wróciła z wiadomością, że panna Lucyna wyszła na lekcję muzyki. Rozmowa urywała się co chwila, panna Anna była zdenerwowana, ziewała spazmatycznie, Kazia, którą obiad ominął dnia tego, głodna była, oprócz tego pragnęła co prędzej wyrwać się na miasto, by się czegoś bliższego dowiedzieć o manifestacji.

Wtem drzwi się otwarły gwałtownie i zdyszana, czerwona, wystraszona wpadła Przerębla, wołając:

— Iwanow! Będzie tu z pewnoscią; widziałam go na naszej ulicy! Szedł z sekretarzem.

Panna Anna nie poruszyła się.

— Niechże pani będzie łaskawa zarządzić tak, by nic nie wykryto.

— Już ja to zrobię. Niech się pani nie lęka. Kaziu, chodź; możesz mi być pomocną.

Kazia pożegnała przełożoną i poszła za Lucyną do wielkiej sypialni, gdzie odbywały się tajne lekcje piątej i szóstej klasy. Wśród pensjonarek zastały panikę i zamięszanie; jedne stały na środku po-

koju blade, z szeroko otwartemi oczyma, całkiem nieprzytomne, inne biegały z kąta w kąt bardzo zaaferowane, gubiąc co chwila zeszyty, książki i pióra, jedna upuściła kałamarz i wycierała plamę na podłodze chustką do nosa, jedna krzywiła się, jak do płaczu.

— Ależ nie róbcie takich nieinteligentnych min — zauważyła Genia, rzucając w tył kształtną główkę. — Założę się, że nie przyjdzie: To z powodu tych oślic musiała Przerębla dostać burę od panny Anny i robi teraz „fałszywy alarm".

Klasowa dama nie dosłyszała słów Geni. Przywykła nasłuchiwać cichej rozmowy, na głośną nie zwracała prawie uwagi.

— Włóż mój kapelusz, Geniu, i siądź z Manią do fortepianu — rozporządzała energicznie. — Ona maleńka, ujdzie za czteroklasową, a ty się wykłamiesz, jak się spytają. Masz jeszcze pelerynę i parasolkę. Ty, Stefka, możesz pójść do pani Radzińskiej; przyszłaś w gościnę do Maryni. Ty w żałobie idź do salonu. Włóż kapelusz i rękawiczki! Wy cztery idźcie do pani Konwertowskiej: zabierzcie ruskie wypracowania i gramatyki. Wy trzy do infirmerji! gardła zawiązać, boście czerwone! Weźcie flaszeczki — powiecie, że to płukania. Ty, Kaziu, weź cztery drymblasy; takie ogromne, że ich pokazywać nie sposób. Idź z niemi do mojego mieszkania: Smolna nr. 10. Pokażą ci drogę. Siostra da wam herbaty. Oto klucz! Przychodzące — do domu.

Przerębla poprzystawiała stoliki do łóżek, krzesła poroznosiła, pootwierała okna, pokój zamiotła, włożyła biały fartuch, niby pokojówka, i stanęła na straży u głównego wejścia. Czekała. Wkrótce ozwał się dzwonek. Profesor Chętski przyszedł na lekcję historji dla starszych panien.

— Nie ma dziś lekcji; za chwilę przyjdzie inspektor.

Profesor oddalił się co prędzej. Za godzinę przyszedł profesor literatury i dostał tę samą odprawę, w godzinę potem zawrócił od progu profesor fizyki.

Panienki znużyły się w końcu swemi rolami: W infirmeryi czytano wycinki z „Emancypantek“ Prusa, przemycane przez przychodzącą panienkę, która zawijała w nie śniadania.

Genia czytała „L'Oeuvre“ Zoli w polskim przekładzie. Mania wzięła robótkę szydełkową, panienka w żałobie znalazła porzuconego przez pannę Annę Kennana i o świecie Bożym zapomniała. Cztery ukryte w pokoju pani Konwertowskiej nie nudziły się również. Nauczycielka rosyjskiego języka bawiła je po swojemu. Panna Konwertowska była Polką, władała jednak nie świetnie ojczystym językiem, wymowę miała całkiem nie polską.

— Chwała Bogu — mówiła, prostując się z godnością, że choć w tym roku nie ma u nas ani jednej żydówy. Powiedziałam Annie, że porzucę ją zupełnie, jeżeli będzie pensję zapaskudzać żydostwem. Jedna pani, moja znajoma, jak dowie-

działa się, że tu były te szejne morejne tak oddała swoich dwie do Srockiej, choć to nie taka pensja, jak nasza... Mundur u nich wprost szkaradny; kapelusze niziutkie z pomponami! — mówiła panna Konwertowska. — Jużto panna Anna ma gust, nie ma co mówić, z kokardą u boku każdej ładnie. U nas w instytucie każda klasa miała swój kolor, a w niedzielę wszystkie w białem i decoltées; a która miała z wszystkiego dwanaście, dostawała różę we włosy. A za cały rok dawano piękną nagrodę; nie jakąśtam książkę, ale bransoletę, albo coś. Ja wyszłam z szyfrem Jej Wieliczestwa.

Tu panna Konwertowska wstała, otworzyła szufladkę ślicznego, staroświeckiego biurka, i wyjęła biały, elegancki futeralik. Otworzyła go powoli, z pewnem namaszczeniem, i ukazała panienkom brylantową broszkę w formie litery M.

— Sama cesarzowa przypięła mi to własnemi rękami do ramienia. Byłam w białej atłasowej sukni z trenem. I byłam prezentowana, nie zważając, żem Polka. Nie można powiedzieć, są zupełnie sprawiedliwi. Jak która nazwała mię „poliaczka“, to była karana. Żadnej przykrości nie doznałam nigdy z tego powodu.

— Ależ tu, u nas, oni nie są sprawiedliwi, zauważyła któraś panienka.

— Tutaj to trudno. Tu oni muszą wszystko trzymać w jeżowych rękawiczkach. Jak nie będą srodzy, to ich stąd wypędzą. Ale to zupełnie porządni ludzie i z dobrem sercem.

— Jakto? — protestowała inna. — A ten Iwanow taki niegodziwy.

— Zkądże on niegodziwy? Ani myśli być! On pełni swoją powinność, nic więcej, — to jego urząd. Musi pilnować, żeby po pensjach nic nie było przeciw zakonowi. On na to nic nie może. Ja jego znam osobiście, to bardzo miły człowiek i z wykształceniem. Mówił mnie, że niech ja pensję otworzę, to on do mnie nigdy i nie zajrzy. A mnie to poco? Ja i tak mam niezły zarobek; biorę drogo, ale którą przygotuję, to zda egzamin z pewnością. Ot, Nastia, że prawosławna, myślała obejść się bezemnie. Nu, i zarżnęła się na ruskim!

— Prawda pani, jak to miło, że Nastia, choć z Rosjanki urodzona, wyrosła na taką dobrą Polkę.

— A ja myślę, że to wielkie głupstwo, nic więcej. Ja i ojcu to mówiłam: co on z nią teraz zrobi? Polak ją nie weźmie, a ona ruskich nienawidzi. Ot tobie i raz.

— To nie należało żenić się z Rosjanką!

— A jak już się ożenił, to niema co powracać. Przeciw zakonowi nic nie zrobisz; ożenił się z ruską, to i ruski. Między nimi są porządni ludzie, jak i wszędzie.

— A jabym za Moskala nie poszła, choćby był najlepszym człowiekiem. Utopiłabym się raczej.

— To już twoja rzecz — odparła stara instytutka.

— A ja, gdyby już przyszło do takiej ostate-

czności, choć wiem, że nie przyjdzie, — zauważyła inna — wychowałabym dzieci na Polaków.

— Mnieby rodzona matka się wyrzekła — dodała trzecia.

— Ręczę, że panna Anna nie przyjęłaby wizyty od takiej, któraby wyszła za ruskiego, — zadecydowała czwarta.

Konwertowska zrozumiała niestosowność swoich dowodzeń i zaczęła się wycofywać.

— Zapewne, że dla Polki to największy wstyd. Ja dlatego za mąż nie wyszłam; kochał się we mnie ruski książę Trubecki. I nie poszłam, choć i ja jego kochała. Ten medaljon mam od niego.— Wskazała na zawieszony u szyi klejnot. — Widzicie: ot jego fotografja.

Panny, przywykłe z dobrą wiarą przyjmować każde słowo zwierzchników, uwierzyły w bohaterstwo instytutki i nabrały o niej wysokiego wyobrażenia.

Genia, gdy jej rozmowę powtórzyły, skrzywiła się z wyrazem lekceważenia:

— Nie wiadomo jeszcze — zauważyła — kto kogo nie chciał: czy ona księcia, czy książę jej? Dobry Polak córki w instytucie nie wychowuje, chociażby bezpłatnie, a dobra Polka cyfry cesarzowej nie pokazuje, chociażby i brylantowej. Jeżeli już musiała ją przyjąć koniecznie, należało brylanty sprzedać i pieniądze oddać na Skarb Narodowy, żeby się przeciwko nim obróciły.

— Co za skarb narodowy?

— Cicho! Jak pozdajecie egzamina, przyjdziecie wszystkie do mnie, to wam powiem, a teraz sza! bo może stąd coś okropnego wyniknąć.

— Ależ my nikomu nie powtórzymy—powiedz.

— Nie teraz; Iwanow może jeszcze nadejść!

— Już nie przyjdzie; on o piątej je obiad.

— To chodźcie do infirmerji, żeby i tamte słyszały. Tylko milczeć!...

W infirmerji na odgłos zbliżających się kroków świstki „Emancypantek“ zostały zgniecione i pochowane po kieszeniach.

— Co wy tam chowacie? — spytała wchodząc Genia.

— Ach! to wy? Cóż Iwanow? Nie przyszedł.

— To się nazywa „fałszywy alarm“. Co tam macie po kieszeniach?

— „Emancypantki“ wiesz?

— Wiem, wiem! To jest nie złe — wyrokowała Genia, tylko pani Latter mogła się nie topić, a Madzia nie powinna była iść do klasztoru, skoro kochała i była kochaną. Jaka stąd pociecha Panu Bogu, że dwoje ludzi cierpi niepotrzebnie.

— Dlaczego Bóg tak nie urządzi, żeby nikt nie cierpiał na świecie? — spytała jedna z zawiązanem gardłem.

— Spytaj Go, jak się dostaniesz przed Jego oblicze. Ja tu mam coś bliższego dla nas, niż boskie tajemnice. — Genia szukała długo w wałeczku, stanowiącym modną natenczas turniurę. — Oto, widzicie? — ozwała się wreszcie, pokazując kole-

żankom kawał drukowanego papieru. — Tu podpisano: „Zygmunt Miłkowski“. Wiecie, kto to jest?

— Nie.

— To jest T. T. Jeż. Czytałyście co Jeża? Nie! Spodziewałam się tego, ale to bardzo źle. Trzeba naprzód wiedzieć, co to za człowiek, a na to trzeba przeczytać „Uskoki“, „Narzeczoną Haram-baszy“, „Rycerza chrześcijańskiego“, ale przedewszystkiem „Uskoki“.

Za drzwiami dał się słyszeć lekki, posuwisty krok panny Anny. Broszurka o „Skarbie narodowym“ znikła pod stanikiem Geni, ona zaś mówiła dalej spokojnie:

— Chodzi tu o walkę południowych Słowian z niewolą turecką. Autor długi czas przebywał na Bałkańskim półwyspie... — Tu drzwi się otworzyły i w progu stanęła panna Anna. Genia wykładała dalej z całą swobodą: — i zbadał gruntownie historję południowych Słowian, ich upadku, walki...

— O czem to mówisz, Geniu? — spytała przełożona znienacka.

Genia udała zmięszanie.

— O „Uskokach“ i o ich autorze — odrzekła, spuszczając oczy.

— To bardzo dobrze, moja Geniu. Przeczytamy to razem, gdy skończymy „Strasznego dziadunia“ Rodziewiczówney. Teraz możecie wracać do waszych zajęć.

W mieszkaniu panien Przeręblówien przy ulicy Smolnej, panienki wraz z Kazią nudziły się już przeszło godzinę, gdy naraz szarpnięto silnie za dzwonek. Młodsza panna Przerębla, dziewczyna lat dwudziestu kilku, cicha, łagodna blondynka wstała od krosien i nie spiesząc, poszła otworzyć. Nie zastała nikogo u wejścia, tylko w skrzynce do listów dostrzegła jakiś papier. Przebiegła go oczyma — była to drukowana odezwa do mieszkańców miasta, nakazująca zebrać się jak najliczniej 3 maja o godzinie dziesiątej rano koło pomnika Konstytucji. Janina zmięła kartkę i wrzuciła ją tam, gdzie nikt po papier nie sięga, poczem usiadła z niezamąconym spokojem do krosien. Zarabiała haftem na życie. Czas upływał. Kazia przeglądała album, jedna z panien grała coś na odwiecznym fortepianie, inne ziewały, inne patrzyły na Saską kępę, widną daleko, w szarej mgle kurzu miejskiego, czy oparu rzeki... inne zajmował szpital oftalmologiczny... czas im się dłużył niezmiernie. Nareszcie zjawiła się panna Lucyna, i, w ślad za nią — dwóch agentów policji. Stara Przerębla osłupiała! Własnym oczom nie dowierzała. Stoją „dwa mundury“, patrzą surowo i poważnie, czekają, by weszła przed nimi. W sekundę odzyskała zimną krew.

— Nie wiem, czego tu panowie chcecie, ale w każdym razie proszę! — przemówiła rezolutnie.

Policjanci weszli za nią do mieszkania i zaczęli wszystko starannie przeglądać: album, nuty, pudełka, szufladki, zeszyty, przyniesione przez pen-

sionarki. W pokoju panowało milczenie pełne grozy, tylko twarzyczki panien bladły, a oczy zaokrąglały się ze strachu. Lucyna śledziła za każdym ruchem tych panów. Gdy położyli zeszyty, w których panienki zapisywały lekcje, wykładane tajnie po polsku, uspokoiła się całkowicie; przybrała wyraz drwiący: wiedziała, że nic innego u niej nie znajdą, coby ją mogło kompromitować. Policjanci szukali dalej, w pokoju Janiny, obejrzeli krosienka, porozrzucali włóczki i pelje, stanęli wreszcie przed łóżkiem i obejrzeli się za Lucyną.

— Wy otrzymaliście dziś po obiedzie — przemówił jeden z nich — cyrkularz rządu narodowego. Gdzie on jest?

— A nie wiem, gdzie jest: skoro wiecie panowie, żeśmy otrzymały, to musicie wiedzieć, gdzie jest. Mnie cały dzień w domu nie było. Mogliście wiedzieć, że weszłam wraz z wami.

— Jest, Luciu, w ustępie. — Ozwała się Janina.

— Jest! — Podchwyciła stara panna. — Do usług. Służę panom! — rzekła wskazując na drzwi. Został może trochę sponiewierany: nie sądzono, żeby był panom użyteczny. Jeżeli go panowie pragną mieć i w takim stanie, niech im służy!

Policjant milcząc zaczął grzebać, gdzie mu wskazano.

— Jest. — Ozwał się do towarzysza.

— Trzeba zabrać ze sobą. — Odrzekł tamten.

— Taką obrzydliwość?

— Cóż robić — rozkaz.

— Czem jeszcze mogę panom służyć? — Pytała stara panna zgryźliwie.

— Kto to przyniósł? — Przerwał jej policjant.

— Kto to przyniósł? Janiu?

— Nie wiem, było w skrzynce do listów.

Policjanci opuścili mieszkanie.

— Do domu, panny! — zawołała Lucyna. — Szczęściem, że nie było was tu więcej! Te zeszyty, mój Boże! Dzięki Bogu, że to przynajmniej takie głupie! Ładnieby nasza pensja wyglądała, gdyby je zabrali!

Panienki wysunęły się milczkiem z mieszkania, Kazia pozostała z Janiną.

— Czy jest rzeczywiście jaki rząd narodowy? — spytała, siadając przy niej.

— Nie, to policja sama takie kartki roznosi i poszukuje tych, co je przechowali.

— Jak to szczęśliwie, że pani ją wrzuciła...

Janina uśmiechnęła się łagodnie.

Zadzwoniono, Kazia, pozostając pod wrażeniem świeżo dokonanej rewizji, zlękła się.

— To nic złego — uspokoiła ją Janina i poszła otworzyć.

Do salonu wszedł student uniwersytetu w wytartym mundurku, drobny, nikły, blady, skronie miał wpadłe, oczy podkrążone niebieską obwódką.

— Dobry wieczór pani — rzekł miękkim głosem do Janiny.

— Jużeśmy się witali — odrzekła. — Pozwoli

pani przedstawić sobie. — Pan Łasiński, panna Potulińska.

Student skłonił się, milcząc.

— Przyszedłem dowiedzieć się, czy mam zajść po panią, panno Janino, czy może spotkamy się w ogrodzie?

— Przyjdź pan koniecznie.

— Ja śmiem państwa prosić, chociaż to jest natrętctwem z mojej strony, żebyście mię państwo ze sobą wzięli, jeżeli, jak się domyślam, wybieracie się do pomnika Konstytucji. Tyle lat mieszkałam w Warszawie, a niewiem nawet, gdzie się ta kaplica znajduje.

— To się pani nie chwali — rzekł Łasiński poważnie.

— Byłam wówczas na pensji.

— To się pensji nie chwali, że wychowankom nie pokazuje pamiątek narodowych. A potem czemu pani nie zwiedziła pomnika?

— Rodzice mię zaraz wywieźli. Mieszkamy w Wintowie.

— W Wintowie? — zapytał Łasiński, jakby przypominając coś sobie. — Ojciec pani jest sędzią?

— Tak.

— Hm — mruknął Łasiński i zwrócił się do panny Janiny, nie darząc więcej ani słowem, ani spojrzeniem zdziwionej Kazi.

Skończyło się na tem, że się wyniosła do wyznaczonego dla niej pokoiku i zaczęła swoją korespondencję od poszukiwania cyrkularza przez policję.

Na pensji przez trzy dni mówiono tylko o rewizji u panny Przerębli. Radości, śmiechom, rozmaitym pomysłom, w razie gdyby tu miano rewidować, nie było końca.

2. maja, po śniadaniu, panienki klas utajonych, zebrane w sypialni, zabierały się właśnie do ustawiania stolików i krzeseł. Panna Przerębla stanęła w środku pokoju i po raz, nie wiadomo który, opowiadała o przyjęciu policjantów w swojem mieszkaniu.

— Nie wiedzieli, czy brać, bo nie było zbyt czyste — kończyła uszczęśliwiona. — Musieli dobywać rękami, bo...

Tu wpadła, jak bomba, Walunia, blada, przerażona:

— Iwanów! — szepnęła; głos utraciła ze strachu. — Jest już we wstępnej klasie!

— Dobrze! Wracaj, skąd przyszłaś! — zakomenderowała Lucyna. — Drzwi zamykaj na klucz jedne po drugich! — Geniu, kajeta w rękę i do Konwertowskiej wszystkie! Ja zaraz przyjdę.

Pozostawszy sama poroznosiła stoliki i krzesła, okna pootwierała i poszła do Konwertowskiej.

— Wy cicho siedźcie i żeby was z okna nie widziano — nakazywała panienkom. — Kajeta pani zechce schować pod rosyjskie wypracowania. — Niech się pani ubierze, jak do wyjścia i rękawiczki włoży; gdy usłyszy pani, że nadchodzą, proszę wyjść i zamknąć swój pokój na klucz, tak, żeby Iwanow to widział. Proszę z nim nawet po-

gadać i zejść bez pospiechu. Wy fotel postawcie naprzeciw dziurki od klucza! rzuciła jeszcze odchodząc.

W klasach tymczasem panowała groza i cisza, jakby umarłego z domu wynoszono. Panienki siedziały wyprostowane, wylęknione, nawpół przytomne, oczekując zjawienia się strasznego widziadła.

Iwanow był we wstępnej. Dziewczynki stały, popatrywały na pannę Annę żałośnie i krzywiły się do płaczu. Inspektor nie wyglądał strasznie, pomimo wielkiego wzrostu i szerokich ramion; twarz miał całkiem nieznaczącą, nawet bezmyślną. Wszystko w niej było okrągłe i szare. Włosy szpakowate, nie różniły się prawie barwą od ziemistej twarzy, jasnych wypukłych oczu i krótkiego nosa, zakończonego zwyczajnym u tego typu Rosjan — kartoflem. Usta nie ruszały się prawie, gdy mówił, głos miał zwyczajny, raczej cichy, niż głośny. Ale był inspektorem, więc panienki bały się go do utraty przytomności.

— Kto jest klasową damą w tej klasie? — pytał Moskal pierwszą z brzegu.

Dziewczynka spuściła oczy.

— Która to klasa?

— Milczenie.

— No, proszę odpowiedzieć cokolwiek. —W której jesteś klasie?

— Dawno już jesteście na tej pensji? — Kto was tu zawsze pilnuje? — Jak się nazywa? —

Czy ty rozumiesz po rosyjsku? — Proszę pokazać swoją ruską książkę! — No, proszę patrzeć w oczy i odpowiadać: — Jak imię tej pani, co was uczy? — A ja, jak się nazywam?

Dziewczynka spojrzała mu w oczy i chciała odpowiedzieć, z piersi jednak, zamiast głosu wydobył się dziwny krzyk, krótki, urywany... dziecko zaczęło spazmować, jak pierwsza lepsza histeryczka.

— Ona ma wadę serca — zaimprowizowała naprędce przełożona i posłała Walunię po krople laurowe.

Inspektor przeszedł do pierwszej klasy.

— Jak się nazywa wasza dama klasowa? — spytał znów pierwszą z brzegu.

— Walentina.

— A familja?

— Na Pradze.

— Klasowej damy jak familja?

— Nie wiem.

— A wasza familja?

— Na Pradze.

— Ja pytam, jak się nazywacie?

— Gałęzowska.

— Gałęzowskaja.

— Ja — Gałęzowska.

— A gosudaria, jak familja?

Dziewczynka nie umiała odpowiedzieć.

— Widzi pani — zwrócił się do przełożonej. — Takich elementarnych wiadomości nie mają! Ro-

manow nazywa się, Aleksander Trzeci. Będziesz pamiętała?

— Romanow, Aleksander Trzeci, — powtórzyła dziewczynka. Naraz we wstępnej klasie wszystkie dzieci zawyły jednym głosem.

— Co to ma znaczyć? — spytał Iwanow gniewny.

— Ach! one są jak owce, byle jedna zaczęła, wszystkie pójdą w jej ślady. Ja to zaraz uspokoję.

Wróciła do wstępnej.

— Idźcie do domu, lekcyj dziś nie będzie. Tylko grzecznie i cicho.

— Waluniu, zabierz tę mazgajkę do infirmerji, połóż do łóżka i poślij po doktora. Choć tobie nic nie jest, moja droga.

Wszystko naraz ucichło, nawet spazmy Wandeczki ustały w jednej chwili. Panna Anna podążyła za inspektorem do trzeciej klasy.

— Kto nam najmiłościwiej panuje? — pytał właśnie inspektor.

— Romanow Aleksander Trzeci.

— A nim nastali Romanowy? Jaka dynastja panowała?

— Gotorb-Holstein.

— Jak? Skąd? Jaki tam Holstein? To skąd? Kto uczył?

— Boris Godunow. — Poprawiła się dziewczynka.

— Otóż to: Boris Godunow, a po nim samo-

zwańców naprowadzono. Kto był pierwszy samozwaniec?

— Dmitrij.

— Łże-Dmitrij! przecie łgał, że był Dmitriem!

— A kto przyprowadził?

— Hetman Gosiewski.

— A Warszawę kto wziął?

— Jekatierina Romanowa.

— Otóż to! Jekatierina Wielikaja. A kto pisał: Ura, Warszawa nasza? Nie wiecie? Suworow. Tak to i jest: Suworow. Ot co! Był Gosiewski, był i Suworow!

Z czwartej klasy inspektor był całkiem zadowolony.

— Widać postęp, widać. Tylko „udarienja“ nieprawidłowe, trzeba, żeby ze sobą po rosyjsku rozmawiały. To nieodbicie potrzebne. W Rosji trzeba mówić po rosyjsku!

Rewizja odbywała się dalej bez żadnego wypadku. Inspektor pytał, czemu wszystkie sypialnie na klucz zamknięte. Odpowiedziano mu, że nikt w dzień nie ma prawa tam wchodzić. Dalej spotkał Konwertowską, w chwili, gdy wychodziła z domu i pokój na klucz zamykała. Podał jej rękę, przemówił słów parę... spytał przełożonej, czy są chore? Dowiedziawszy się, że jest jedna, zapragnął ją odwiedzić. Poznał spazmującą przed chwilą Wandzię, spokojną, przytomną, bynajmniej nie struchlałą.

— Czegóżeś tak płakała? — spytał ją z uśmiechem. — Ja nie wilk przecie, dzieci nie jem.

— Ja mam „parok sierdca“ — odrzekła Wandzia, nauczona przez Walunię.

— To źle, trzeba się leczyć! Niech ją pani oszczędza! — zwrócił się do panny Anny. — Żadnych silnych wrażeń! żadnych wzruszeń!

— My ją bardzo oszczędzamy — odrzekła przełożona spokojnie.

Inspektor wyszedł z zakładu całkiem zadowolony: „Taka mała umie nazwać chorobę po rosyjsku: *parok sierdca*“. Utkwiło mu to w pamięci.

Nareszcie Konwertowska otworzyła swój pokój, oznajmiając panienkom, że wizyta inspektora skończona. Sama poszła do Anny po nowiny.

— Wiecie co, panny? — ozwała się zaraz Genia. — Jutro Trzeci Maja. My na manifestację pójść nie możemy, więc złóżmy każda co może na Skarb Narodowy. Spodziewam się, że wiecie teraz, co to jest?

— Doskonale! — ozwały się uradowane.

Szukano w portmonetkach, pożyczano, mieniano srebrniaki na papierki. Genia zsumowała, włożyła datki do koperty, zakleiła, schowała.

— Wieczorem zapieczętuję jeszcze, a za dwa tygodnie przyniosę wam pokwitowanie. Tylko milczeć, bo zgubicie pannę Annę i same pójdziecie do kozy. Ja się wykłamię, a wy i po roku nie wybrniecie z tej sprawy...

Panienki, bardzo z siebie rade, poszły do wielkiej sypialni na lekcję literatury polskiej.

Kazia dnia tego nie wychodziła ze swego pokoju. Pragnąc zastosować się do owego rządu narodowego, o którym pierwszy raz słyszała, umyśliła poszyć sobie białą z czarnem bluzkę i ubrać sobie kapelusz czarnemi wstążkami. Przypuszczała, że Dramowskiemu tem dogodzi. zresztą zaczęła poczuwać się, choć niewyraźnie jeszcze, do obowiązków pewnej solidarności z tymi nieznanymi. co nakazują żałobę i zwołują na obchód rocznic narodowych. Muszą być młodzi, trzeba z nimi trzymać, im starać się podobać. Zdało jej się, że i pan Karol tak czyni. Dba o młodszych, bo na starszych już nie liczy.

Kazia, starając się odgadnąć Dramowskiego, rozumowała właściwie sama, zastanawiała się, obserwowała, wyciągała wnioski, zaczęła myśleć zupełnie samodzielnie, czego dotąd nie robiła nigdy. Nie miała żadnego bodźca ku temu. W domu ani na pensji nie mówiono nigdy o kwestjach, dotyczących sprawy krajowej, społecznych, politycznych, czy jakichkolwiek ogólniejszej natury. Znała tylko bezsilne utyskiwania na ucisk i niesprawiedliwość. Coś podobnego, jak agitacja, walka, rząd narodowy przeraziłoby ją śmiertelnie, gdyby nie znajomość z Karolem. On jednem swem znalezieniem się, gdy mu proponowała moskiewskiej herbaty,

pchnął jej myśli w kierunku całkiem dla niej nowym.

Zrozumiała, że „trzeba coś na to robić“, jak wyraziła się niegdyś na widok grożącego przechodniom niebezpieczeństwa. Trzeba bronić się od owego ucisku, od tej niesprawiedliwości. Tu, w Warszawie przekonała się na wstępie niemal, że są tacy, co już coś robią, co się bronią, zamiast utyskiwać. Przyłączy się do nich.

Długo jeszcze rozmyślała Kazia, upinając wstążki do kapelusza, jakby to było szczęśliwie, gdyby nadarzyła się jej sposobność odznaczenia się wśród tych, co kierują owym ruchem, którego nie śmiała nazwać jeszcze — rewolucyjnym. Dramowski nie czekałby wówczas, aż ona do Szwajcarji przyjedzie. Stwarzała sobie rozmaite sytuacje, zdarzenia, w których występowała bohatersko, przytomnie, zręcznie, to się doniosło do Karola...

Wtem zadzwoniono gwałtownie. Janiny w domu nie było, zeszła więc sama otworzyć. Łasiński wpadł do mieszkania, drzwi za sobą zatrzasnął i wleciał do pokoju Kazi.

— Niech mnie pani tu zamknie, a potem z domu wyjdzie, zabierając ze sobą oba klucze.

Kazia usłuchała bez słowa: zamknęła go w swoim pokoju, włożyła kapelusz i wyszła spokojnie na ulicę, wkładając z wielką swobodą rękawiczki. Nie uszła paru kroków, gdy obok niej przemknęło w całym pędzie dwóch policjantów. Nie zaraz obejrzała się za nimi, a dopiero, gdy minąwszy jej dom zni-

kli za oftalmologicznym szpitalem, zrozumiała całą scenę. Nie wróciła jednak odrazu. Doszła do rogu Marszałkowskiej ulicy i stamtąd dopiero poszła prosto do domu.

— Już przeszli; niech się pan nie boi — rzekła, otwierając swój pokój.

— Dokąd poszli?

— Co to poszli? Popędzili, jak charty! — żartowała Kazia. — Do szpitala czerwonego krzyża.

— Doskonale! Niech szukają do sądnego dnia! Ależ to mi się udało.

— Czego oni za panem biegli? Czy przyłapano pana na jakiej czynności?

— Bardzo ważnej czynności nawet: Dałem w twarz redaktorowi „Rozsądnej rezygnacji“.

— Redaktorowi? Za cóż to?

— A za dzisiejszy ranny artykuł. Czytała pani?

— Nie!

— Pisał, że niewiadomo skąd powstał ten projekt święcenia rocznicy Trzeciego Maja, ani od jakich ludzi pochodzą owe rozrzucane po mieście wezwania. Otóż dowiedział się teraz, że od tych samych, co takich, jak on, w papę walą!

— I cóż on na to? — spytała Kazia bardzo zdziwiona.

— A — powiada — dla dobra ojczyzny i to zniosę. A ja mu zaraz: Jeśli pan tylko tyle umiesz dla ojczyzny, że przyjmujesz pokornie policzki, masz i drugi! Wtedy on zawołał ratunku, popędzili za

mną, no i pędzą dotąd zapewne. Ale to szczęście, że pani była w domu, bo już mi tchu brakło...

— Taki występ nie przeszkodzi panu pójść jutro do kaplicy konstytucji?

— Ani trochę. Cóż mi zrobią? Policzek — rzecz prywatna. Zresztą nie poznają mnie nawet. Pani także pójdzie, spodziewam się.

— Pójdę koniecznie.

— Nie boi się pani?

— A czy co grozi?

— Wątpię. Sądzę, że gdyby nawet miało coś z tego wyniknąć, pani nic się nie stanie.

— Dlaczegoż to?

— Tak sądzę.

Kazia zdziwiła się, nie dopytywała jednak więcej. Przyszło jej na myśl, czy Łasiński nie zna przypadkiem jakiej panny, która była, albo zamierza dopiero wyjechać za granicę z celem uczęszczania do uniwersytetu

— Muszę pana prosić o tajemnicę — kończyła — przewiduję poważne przeszkody, gdybym zdradziła się przed czasem z podobnemi zamiarami.

— Hm! i owszem! — odrzekł akademik — jeżeli pani chce, możemy pójść zaraz do jednej pani, która świeżo ukończyła studja w Paryżu.

Kazia uszczęśliwiona ubrała się w ową bluzkę żałobną, włożyła kapelusz, który przed chwilą wykończyła i poszli.

W dziedzińcu u jednego z wielkich domów przy ulicy Wareckiej nad jednem z kilkunastu wyjść

napisane było dość niewyraźnie na ciemno-zielonej tablicy białemi literami: „Czytelnia dla kobiet“. Tam wprowadził Kazię Łasiński. Czytelnia owa, był to pokój niewielki, ciemny, wszystkie ściany zastawione były półkami, pełnemi książek. Kanapa, parę krzeseł i stolik stanowiły skromne umeblowanie. Kazia nie odrazu dostrzegła siedzącą w cieniu za stosami książek bibliotekarkę; Łasiński przywitał ją poufale, zaraz zaprezentował jej Kazię i oznajmił o celu odwiedzin. Panie podały sobie ręce i patrzały czas jakiś w milczeniu. Kazia nie mogła ochłonąć odrazu z przykrego wrażenia, jakiego doznała na widok znękania i zbiedzenia tej niestarej jeszcze, a tak już wyczerpanej istoty.

Wiele lat mieć mogła ta doktorka, kandydatka, laureatka, czy jaki tam tytuł zdobyła kosztem młodości i zdrowia? Nie wyglądała wyżej nad trzydzieści, ale tak była zżółkła, zwiędła, spłowiała, że nie zdziwiłaby się Kazia, gdyby jej i czterdzieści liczono.

— To pani „jedzie na uniwersytet?“ — spytała bibliotekarka, poruszając zaledwie bezbarwnemi wargami i patrząc na nią zgasłemi źrenicami głębokich, smutnych oczu. To bardzo szczęśliwie. Z całego serca doradzam to pani. Tak mało jest u nas kobiet prawdziwie wykształconych!

— Ja nie mówię, że jadę już, tylko, że bardzo tego pragnę — sprostowała Kazia. Chciałam panią prosić o wskazanie mi, właściwie radę, czemu mogłabym się poświęcić, jaki fach obrać byłoby naj-

rozsądniej — pytała zmięszana i niepewna siebie na widok uczonej kobiety.

— To zależy przedewszystkiem — odrzekła słabym głosem bibliotekarka — od celu, jaki sobie pani w życiu zakłada. O tem pani sama musi stanowić. Dopiero tam, na miejscu, gdy się pani przysłucha wykładom, zdoła pani osądzić, co jest dla niej najodpowiedniejsze. Większość kobiet studjuje medycynę. I ja wyjechałam z tym zamiarem. Dopiero w Paryżu pociągnęły mię nauki przyrodnicze.

— Na wypadek, gdybym się zdecydowała — pytała dalej Kazia — który z uniwersytetów doradziłaby mi pani?

— Zwykle każdy zachwala ten, w którym sam studjował. Ale i to zależy. Ja, podczas moich studjów byłam bardzo osamotniona. Nie wiem, czy pani dogadzałby podobny warunek. Zresztą i to się zmienia z roku na rok. Najwięcej pań jedzie do Genewy; życie tam jest tańsze, przestrzenie nie tak wielkie, warunki wogóle łatwiejsze... Wykłady, rozumie się, sądzę, że są ciekawsze w Paryżu... to stolica świata prawie. Dla medyków więcej jest klinik, więcej okazów... Dla przyrodników — w Genewie wykłada Vogt, Soret, ludzie wielkiej nauki...

Kazia podziękowała serdecznie za wskazówki, z których najważniejszą był wygląd samej bibliotekarki.

— Czyż to być może, żeby ją nauka tak strawiła?

Nazajutrz o dziesiątej Łasiński poprowadził obie panny do botanicznego ogrodu. Po drodze kupiono kwiatów.

Ruiny kaplicy, porosłe zielskiem, zanieczyszczone, wydawały niemiłą woń. Gdyby tu był poczciwy Biełobriuchin, miałby jeszcze jeden argument, że „oni wszędzie napaskudzą“. Tym razem dosłownie.

Pomnik, a raczej, jak się rzekło, niekształtną ruinę, otaczał w należytej odległości tłum, który Kazi wydał się bardzo wielki. Ale Kazia po raz pierwszy w życiu widziała liczniejsze zbiegowisko, nie była nawet nigdy na Nalewkach. W rzeczywistości było, jak na Warszawę, niewiele ludzi, a nawet biorąc rzecz wedle pojęć ludowych, ludzi nie byio tam wcale, tylko sami panowie, a głównie panny i panicze. Robotnicy nie przyszli. Usiłowania młodzieży, by ci ostatni przenieśli swe święto, przypadające pierwszego — na trzeci Maja, spełzły na niczem. Socjaliści pragnęli zaznaczyć, że ich sprawa jest od narodowej odrębną i agitowali za pierwszym Maja. Nie udało im się poruszyć całej masy robotników; bardzo niewielu warsztaty opuściło. Po takiem niepowodzeniu byli przeciwni wystąpieniu swej partji w manifestacji patrjotycznej. Tego wszystkiego Kazia wiedzieć nie mogła i, rozumie się, o bluzie i czarnych rękach nigdy jeszcze w życiu nie myślała; zdawało się jej naiwnie, że zbiegła się cała Warszawa. Zauważyła przeważającą ilość kobiet. „Jakby się trzy do jednego umi-

zgały" — myślała, zapatrując się na ten fakt ze stanowiska panny, trudnej do wydania.

Urządzono naprędce pochód, okrążono smutne gruzy, rzucając nań kwiaty, zrywając niewdzięczne gałązki spinozy, która w wielkiej ilości porastała wilgotne mury, potem rozeszli się wszyscy, bardzo z siebie zadowoleni, że na oczach żandarmów rzucali kwiaty i burzany łamali. Każdy rozpowiadał, jak rzucał swój bukiet, jak nań żandarm patrzał, chcąc twarz zapamiętać, lub podobne niedorzeczności. Ledwie manifestanci się rozeszli, pomnik przybrał dawny swój pozór; obrano go z kwiatów, omieciono, ścieżki zarównano, pozostała tylko woń świeżo poruszonej moskiewskiej opieki.

Zdawało się, że manifestacja zakończyła się pomyślnie, ku zobopólnemu zadowoleniu władz i manifestantów. Ci nie doznali żadnej przeszkody w wykonaniu demonstracji, tamte nie znalazły w manifestacji nic, z punktu ich widzenia, karygodnego. Ta właśnie okoliczność wywołała z obu stron niezadowolenie. Manifestacja, której nie przeszkadzano, traciła oczywiście na wartości — myślała młodzież; nie była dość śmiałą. — Była manifestacja i nie wywołała za sobą interwencji władz. — rozmyślali władcy. Tracimy na powadze. Jedni i drudzy czuli, że tak być nie powinno. Szukano nowej zaczepki.

O godzinie szóstej wieczorem w Saskim ogrodzie zebrała się młodzież akademicka w ilości stu osób co najwięcej. Miało to pokazać „im", że urzą-

dzili obchód i nie ukrywają się z tem. Spacerowali po alejach ogrodu po dwóch, trzech i czterech, rozmawiając spokojnie, jak przystało na ludzi, obchodzących uroczyste święto.

Stróże porządku publicznego wyczekiwali od rana najlżejszego śladu, jakiejś czynności zbiorowej, chociaż najniewinniejszej, by mieć sposobność powetowania sobie doznanej — wedle ich pojęcia — zniewagi. Natychmiast doniesiono naczelnikowi, że studenci „zbierają się w Saskim ogrodzie“.

— Rozpędzić nahajami! — był krótki rozkaz władzy. Wykonanie podobnego rozporządzenia napotkało pewnego rodzaju trudności: na to, by aż nahajkami uderzać, a o to głównie chodziło, trzeba, żeby tłum był gęsto zbity i nie mógł rozbiedz się na wszystkie strony na widok uzbrojonych w nahaje przywrócicieli porządku. Zmodyfikowano więc nieco sam rozkaz: „nie rozpędzać, ale zbić nahajami, zamknąwszy poprzednio bramy ogrodu“. Tak zadecydowali wykonawcy. Więc do zamkniętego zewsząd ogrodu, weszło dwie sotnie pieszych Kozaków — rozpędzać. — Zaczęło się wstrętne gonienie za bezbronnymi, zamkniętymi zewsząd wysokiemi sztachetami ogrodzenia; walono po głowach, po twarzach, studenci rzucili się do bram, tam czekano już z nahajami. Zaczęli więc przeskakiwać przez ogrodzenie, rwiąc odzież na ostrzach sztachetów. Kto w ten sposób ujść nie zdołał, został schwytany, otoczono sporą gromadkę biedaków w ogrodzie, zaprowadzono do cyrkułu przy

ulicy Ś-to Krzyskiej i zamknięto w obszernym dziedzińcu budynku policyjnego. Po trzech godzinach przyszedł rozkaz wypuszczenia wszystkich. I tego rozkazu nie dopełniono ściśle: kilkunastu chłopców zamknięto w celach więzienia policyjnego. Nazajutrz w jednej z nich znaleziono trupa. Któryś biedak zakłół się w serce scyzorykiem. Dlaczego to uczynił? Czy bał się śledztwa, czy mu się wydało, że sprawa weźmie zbyt smutny obrót, czy wolał nadać demonstracji charakter tragiczny raczej, niż śmieszny i upokarzający,. czy wogólności nie miał do życia ochoty, nikt nie badał i nikt się nie dowiedział; nie miał nikogo blizkiego, pochowała go policja, resztę wypuściła i tak zakończyła się manifestacja 3-go maja, zostawiając po sobie wspomnienie ofiary, zniechęcając publiczność do występów podobnego rodzaju i podając gazetom w duchu „Rozsądnej rezygnacji“ bogaty temat do ubolewań i straszliwych przepowiedni. Kazia ze zdumieniem słuchała opowiadań Łasińskiego, który chlubił się z otrzymanych nahajów i podartego odzienia. Dziwiła się, jak ten sam człowiek, co taką nauczkę dał redaktorowi, nie czuł całego upokorzenia, jakie spadło na nich właśnie, manifestantów. Przemilczała jednak roztropnie, nie wiedząc, jakie będzie zapatrywanie Karola na całe to zajście. Zamknęła się w swoim pokoju i po raz trzeci rozpoczęła ową korespondencję do „Siły narodu“, pod tytułem: „Sprawozdanie naocznego świadka“.

Tegoż dnia Lucyna przyniosła jej z pensji list od matki.

„Dziecko moje najdroższe!

„Dowiedzieliśmy się z gazet o strasznych wypadkach, które mają nawiedzić Warszawę. Setki tysięcy ofiar padną trupem, dzięki lekkomyślności jakiejś garstki zbrodniarzy! Bo lekkomyślność — to zbrodnia stokroć gorsza, niż wszystkie inne, gdyż pociąga za sobą całkiem niewinne ofiary, nieświadome tego, co czynią, ufające częstokroć bałamutnym obietnicom i zwodniczym nadziejom. Córko ty moja najmilsza, skarbie nasz jedyny, podporo ostatnia zgrzybiałej starości! Zaklinam cię na łono, które cię wypiastowało, na to serce, w którem ty jedna niepodzielnie panujesz, wracaj do gniazda rodzinnego, skoro tylko list niniejszy otrzymasz. Wiedz, że dzień każdy, co mówię, każda godzina zwłoki jest ostrzem sztyletu, przeszywającem serce kochającej cię nad życie i stroskanej do śmierci

twej Matki".

Kazia spojrzała na datę: 29. kwietnia. Listy dochodzą zwykle tego samego dnia z Wintowa do Warszawy. Obejrzała kopertę, śladu rozpieczętowania nie odkryła, stempel wintowiecki nosił datę 29/IV, warszawski 4/V, nie wątpiła więc, że musiał być otwierany. Nie przewidywała żadnych stąd następstw dla siebie, myślała jednak, że na razie na nic się jej nie zda dłuższy pobyt w Warsza-

wie. Nakupiwszy wszelkich gałganów, kanwy, włóczek i peli, opuściła stolicę.

W Wintowie na wstępie do domu zastała przyjemną niespodziankę. Maciej stał u wejścia, oparty o drzewiec swej miotły, z miną bardzo poważną. Kazia przywitała go radośnie, pytając, jak dawno go wypuszczono z więzienia. On jednak odpowiedział jej zaledwie skinieniem głowy i mruknięciem nie nazbyt przyjaznem. Kazia sądziła, że stary ma do niej żal za przygodę, która go spotkała. Zrobiła sobie uwagę, że Maciej postępuje względem niej tak, jak Krapotkin względem niego. Wydało jej się to zabawnem.

Matka ujrzawszy ją z okna salonu, wybiegła z krzykiem na spotkanie, pochwyciła ją w objęcia, deklamując bez sensu i miary o powrocie zbłąkanego dziecięcia, o przerażających wypadkach, piekielnych czeluściach i t. p. Biedna Kazia zżymała się z przykrości: ta matka, którą znała przez lat tyle, wydawała jej się od pewnego czasu nieznośną, nudną, głupią, śmieszną! Cierpiała słuchając tej mowy przesadnej i pretensjonalnej, odwracała się od tej twarzy wykrzywionej jak tragiczna maska, od tych oczów wzniesionych w górę patetycznie. Po krótkiem pobycie w Warszawie, dom rodzicielski wydał jej się grobem, w którym przeznaczono jej więdnąć, bez nadziei wydobycia się na świat Boży. Nie łudziła się: rodzice nie puszczą jej nawet do Warszawy, cóż dopiero za granicę! O tem lepiej zapomnieć. Może w inny jaki sposób

zdoła pociągnąć ku sobie Karola: oto przygotowała zajmującą, i według niej pięknie napisaną korespondencję do „Siły narodu“; poprosi Rajskiego, by ją przesłał Karolowi od niej. Odczytawszy raz jeszcze „Sprawozdanie naocznego świadka“, przesłała pierwszą swą próbę przez Józię lokatorowi poddasza. Upewniwszy się, że był w domu i pismo jej otrzymał, Kazia, wedle zwyczaju, usiadła przy oknie i... zaczęła rozmyślać. Przedewszystkiem zrobiła sobie uwagę, że się nudzi, że dalej w ten sposób żyć niepodobna, że nikt zresztą tak nie żyje...

Te są nauczycielkami, inne kasjerkami, inne uczą się buchalterji, inne słuchają kursów, haftują nareszcie. — A ona? — Nie robi nic, czyta i kwiatki podlewa! I to pięć lat życia zmarnowała w podobny sposób! Dawniej młodzież bywała w ich domu, mogła więc liczyć, że wyjdzie za mąż i zacznie żyć inaczej, ale od trzech lat nikt do nich nie zajrzał. Już była prawie po słowie z profesorem matematyki przy gimnazjum i on się cofnął... Coś musiało zajść, o czem ona nie wie. Cóż innego, jak nie stosunek z sędzią śledczym? Toż i Dramowski nie dla czego innego zaznaczył, że u nich bywać nie może. Takie rzeczy nie uchodzą, w Warszawie nie śmiałaby się nawet przyznać do tego, że ojciec przyjmuje w domu Moskala. Raz wpadłszy na trop, Kazia zaczęła wiele rzeczy rozumieć, innych domyślać się bardzo trafnie. Rajski jej się nie kłaniał, Dramowski nie chciał u nich bywać,

Łasiński okazał jej przy pierwszej znajomości wyraźne lekceważenie, bo wszyscy wiedzą, że w ich domu bywa rosjanin.

— Czego on tu zagląda? — Coś w tem jest. Sądowe sprawy może przecie obmawiać z papą w sądzie. Jednak i nie dla moich pięknych oczu — to zauważyłabym odrazu: tembardziej nie dla tragicznej fizjonomji mamy; papa także nie jest człowiekiem tak już bardzo pociągającym. Musi mieć jakiś inny powód i to tajemny. Trzeba to wyśledzić. Przedewszystkiem muszę siedzieć w swoim pokoju, by módz słyszeć, co mówią w gabinecie papy, a ja dotąd wiecznie siedziałam w salonie i wyglądałam przez okno; gdybym cokolwiek robiła przez lat tyle, wiedziałabym już oddawna, co się tam odbywa. — Kazia zapowiedziała matce, że pragnie wyhaftować upominek dla ojca, poczem zamknęła się w swoim pokoju i haftowała bardzo pilnie.

Dzień, drugi, tydzień cały pracowała, nie wychodząc prawie z pokoju, gdy raz usłyszała z gabinetu ojca znany niski głos rosyjskiego urzędnika. Kazia nadstawiła ucha, nie mogła nic wywnioskować z rozmowy. Litwicki pytał o zdrowie, o podróż Kazi do Warszawy, kiedy wróciła? Potem zaczęli mówić o zastosowaniu jakiegoś paragrafu prawa do jakiegoś wypadku. Sprzeczka zdawała się czysto teoretycznej natury.

— Jakże można? gdzież tu sprawiedliwość? — mówił sędzia swoim zwyczajnym jęczącym gło-

sem. — Ja się bardzo dziwię, że pan tak tę sprawę pojmujesz.

— Nie widzę w tem nic dziwnego. Zresztą pomówimy o tem we właściwym czasie. — Teraz wypiłbym z państwem herbaty i paniom złożyłbym szacunek.

Kazia jak kotka wymknęła się szybko, a cicho z pokoju. Panowie zastali ją na zwykłem jej miejscu w salonie przy oknie z książką w ręku. Moskal pocałował rękę pani sędziny i do Kazi wyciągnął dłoń poufale. Nieznane jej dotąd uczucie dumy narodowej ozwało się w niej na widok tej ręki, której dotknięcie kole każdego Polaka. Poczerwieniała ze wstrętu, nie śmiała jednak okazać mu tego co czuje i po wahaniu dotknęła tej nienawistnej dłoni końcami zimnych palców. Moskal przypatrywał się jej z uwagą.

— Pani bardzo wyładniała — zauważył, nie spuszczając jej z oczu. — Taka z pani Warszawianka się zrobiła — mówił po polsku — aż patrzeć miło! Szczególna rzecz, jakie w Warszawie śliczne kobiety!

— Ja tyle lat mieszkałam w Warszawie, a nie widziałam prawie pięknych kobiet — odparła Kazia niechętnie.

— Pani niedawno jeździła do Warszawy?

— W przeszłym miesiącu.

— W całym tym tłumie, co urządzał manifestację, nie widziała pani wcale pięknych kobiet?

— Nawet manifestacji nie widziałam — odcięła Kazia sucho.

— Nie widziała, panie Litwicki! Ja ją tak błagałam, tak zaklinałam! — wmięszała się do rozmowy sędzina. — Ona ma takie niewzruszone zasady, któreśmy jej wpoili od dzieciństwa, że słowo matki dla niej jest święte... jest ewangelią, jest...

— Dlaczegoż panna Kazia nie miała pójść popatrzeć na manifestację. Złego nic w tem nie było — odrzekł Moskal pobłażliwie.

— Jakto? — obruszyła się Kazia — gdyby nie było nic złego, nie walonoby ludzi nahajami.

— Cóż pani chce? Władze idą nieraz za daleko...

— Nawet bardzo za daleko!

— Nikt jednak ze znajomych pani nie ucierpiał?

— Ja tam nie mam znajomych — odrzekła Kazia zdziwiona. — Jeździłam odwiedzić przełożoną pensji, w której pobierałam nauki.

— A jednak mieszkała pani w prywatnym domu.

— A pan skąd wiesz o tem? — Zmierzyła go oczyma.

— Papa mi powiedział.

Kazia spojrzała na ojca ze zdumieniem.

— Dziękuję za takie interesowanie się moją osobą — odrzekła ironicznie.

— Jeszczeby też! taka ładna panna!

Kazia doznała takiego wrażenia, jakby ją spoliczkowano. Moskal śmiał przemawiać do niej w ten sposób, w domu jej rodziców, w ich obecności.

— Więc to dlatego mnie pan tak badasz, jak na śledztwie?

— Przez troskliwość, nie inaczej. Szkoda byłoby pani.

— Wątpię, czy komu innemu, prócz pana, przyszłoby na myśl śledzić za mojemi krokami w Warszawie — odrzekła Kazia z gniewem i podziękowawszy demonstracyjnie za herbatę, opuściła salon, nie żegnając się z gościem.

Wróciła do swego pokoiku i tam, ochłonąwszy z gniewu, zaczęła rozmyślać nad tem, co zaszło. Widocznie szpiegowano ją. W jakim celu? Zaniepokoiła się dziewczyna.

Czyżby on miał rzeczywiście jakie względem niej zamiary i w podobny sposób chciał na niej wymódz przyzwolenie? Oburzyła się na myśl samą. Zresztą co on jej może zrobić? Dowiedzie, że była na manifestacji? Cóż stąd? Było całe miasto, i nikomu nic się nie stało. Z przyzwyczajenia wyjrzała przez okno: najlepiej myślała, patrząc na ciemne mury tumu i na plac najczęściej bezludny. Patrzała długo, rozmyślając nad tem, czy nie byłby to dobry pretekst do wyjazdu za granicę, gdyby tak zwróciła uwagę ojca na machinacje sędziego śledczego, urządzane w celu zdobycia jej ręki. Zapomniała Kazia, że na wyjazd za granicę trzeba paszportu, a tego mogą jej odmówić, nie podając nawet żadnego powodu odmowy.

Przez plac przechodziło trzech stójkowych. Kazia machinalnie śledziła za nimi, pogrążona w nie-

wesołych dumaniach. Widziała, jak stanęli, obejrzeli się, czegoś szukali, naradzali się... spostrzegła, że zbliżył się do nich Maciej, coś im mówił, tłómaczył i wyraźnie wskazywał ręką na ich dom, na drzwi i na poddasze. Zastanowiło ją to, nie naprowadziło jednak na razie na żaden domysł lub przypuszczenie. Cała jej uwaga została pochłoniętą czem innem: sędzia wraz z gościem powrócił do swego gabinetu.

— Trzeba nam skończyć tę sprawę Zwierkowa — mówił Litwicki spokojnie. — Sąd naznaczony na poniedziałek. Będę bardzo rad, jeżeli zdołam pana przekonać, panie sędzio, o niepoczytalności w chwili popełnionej zbrodni.

— To być nie może — bronił się Potuliński — wszystkie okoliczności obciążają winę w sposób niezbity: pan to nazywasz niepoczytalnym stanem, gdy oskarżony najmuje o cały tydzień naprzód pokój, do którego ma wprowadzić ofiarę, obija ściany dywanami, udaje zamach na własne życie tak, by zostały dowody wrzekomego otrucia się... To pan nazywasz niepoczytalnym stanem? Gdybyś pan był na mojem miejscu i musiał wedle prawa i sumienia wydać wyrok w podobnej sprawie...

— A jednak, pozwól pan sobie zauważyć, panie sędzio, że gdy chodziło o zapewnienie sobie posady wieczystego sędziego, zrobiłeś nam pan tę wielką uprzejmość i uwolniłeś naszego człowieka, bośmy nie chcieli, by urzędnikowi w tym kraju

dowiedziono nadużycia przy pełnieniu obowiązków służbowych. Zrobiłeś pan więcej nawet, bo skazałeś dwóch Polaków wspólników owej grabieży.

— Grabieży! Grabież jest przestępstwem, panie, a w tym wypadku chodzi o zbrodnię, i to jedną z najjaskrawszych, najwstrętniejszych, jakie zdarzyło mi się napotkać w długoletniej praktyce sądowej. To jest proces głośny, mój wyrok będzie znany poza granicą, moje nazwisko...

— Oh! Panie sędzio! Jeżeli panu o nazwisko chodzi, to się pan uspokój — było ono już drukowane za granicą w tamtym procesie i to w sposób jaknajniekorzystniejszy dla pana.

— Wierz mi pan — jęczał biedny sędzia, — że gdyby nawet chodziło o uprawnienie mię na posadzie, o emeryturę nawet, nie mógłbym w tym wypadku...

— A gdyby tak chodziło o pańską córkę naprzykład?

Serce młotem uderzało w piersi biednej Kazi...

— Co? co? — jakto? — jąkał przerażony sędzia.

— Nie trwóż się pan — uspokoił go urzędnik — wszystko od jego woli zależy. — Czy pan jesteś pewien, że nas nikt nie słyszy? — Czyj to jest pokój obok?

— To... jest właśnie... jej pokój — ona tam nie siedzi zwykle.

— Dla pewności wolę zobaczyć — rzekł, wstając sędzia śledczy.

Kazia cichuteńko osunęła się na ziemię, przypełzła do łóżka, stanęła na brzegu materaca opierając się o ścianę i zakryła się swym rannym szlafroczkiem, zawieszając go na jednym palcu ponad głowę. Wyglądało to, jakby szlafrok wisiał na ćwieku wbitym w ścianę u nóg łóżka. Sędzia śledczy rozejrzał się po pokoju, zajrzał pod łóżko i wyszli obaj w przekonaniu, że Kazi tam nie było.

— Pan możesz się spodziewać — ciągnął powoli Moskal — wracając do gabinetu, że przez wzgląd na jego usługi oszczędzimy dziewczynę, która „z głupoty i młodości“ zapewne, nie wiedziała, dokąd lezie.

— Ona nie była na manifestacji — jęczał sędzia — przecież nie taiłaby się przed rodzicami!

— Nie taiłaby się — sądzisz pan? — Hm! mało wy znacie waszą córkę! A ja mam przeciwko niej dowody, które, spodziewam się, posłużą mi do przekonania pana, że młodemu nie jedno należy przebaczyć i sam pan się zgodzi, że Zwierkow, którego mamy wkrótce sądzić, jest także — „młody i głupi“.

— Co pan masz za dowody? — pytał sędzia, drżąc, jak w febrze.

— Patrz pan — „Sprawozdanie naocznego świadka“. — Jej pismo — nie zaprzeczysz pan, panie sędzio!

Sędzia sięgnął po papier.

— Czekaj pan: Sam panu odczytam doku-

ment. Jeździła na obchód Trzeciego Maja, i zdaje sprawozdanie do jednego z najzajadlejszych pism zagranicznych.

To doskonałe! — śmiał się Moskal złośliwie.

— Wykrył się nareszcie i sławny korespondent z Wintowa, który służąc w kancelarji za prostego pisarza, wykradał tajne dokumenty i rozgłaszał w zagranicznych gazetach wszystkie tajniki naszej administracji, i sądy pańskie, panie sędzio, i wszelkie niepotrzebne wiadomości. Mieszka tu, na poddaszu, utrzymuje stosunki z pańską córką... Dziś jeszcze dokonamy u niego rewizji i nakryjemy ptaszka w gniazdku. Może się tam jeszcze co lepszego znajdzie o Kazimierze Stanisławównie, ale przez wzgląd na pana, panie sędzio, możemy dziewczynę oszczędzić.

Kazia cichuteńko osunęła się na łóżko, z łóżka na podłogę, przypełzła do samych drzwi, otworzyła je z nadzwyczajną ostrożnością i zdjąwszy poprzednio trzewiczki, frunęła po wschodach aż na poddasze. Rajskiego nie było. Klucz, wedle zwyczaju wisiał na gwoździu przy drzwiach. Kazia nie namyślając się, otworzyła pokój, rzuciła się na papiery, porzucone na stole, wyłamała szufladkę, którą zastała zamkniętą, zebrała wszystko, co było pisane i chciała wynieść na podwórze; przypomniała sobie jednak w porę, że widziała Macieja rozmawiającego z policjantami. W jednej chwili zrozumiała wszystko: Maciej wydał ją i Rajskiego; trzymano go w więzieniu, wypuszczono pod warun-

kiem, że będzie szpiegował lokatorów i oto przynosząc samowar Rajskiemu, wykradł pierwszy lepszy papier, który znalazł na stoliku. — „Samowar!“ przyszło jej nagle do głowy. Zdjęła nakrywę z samowara, który stał na taburecie z resztą wody, pozostałej od rana, wpakowała tam wszystkie papiery, zalała wodą z kubka umywalni, zamknęła samowar i zeszła do swego pokoju. Czterech policjantów czatowało na placu naprzeciw ich domu, w progu stał Maciej, wyczekując na Rajskiego. Jakby tu ostrzedz go o grożącem niebezpieczeństwie. Z okna gabinetu pana sędziego możnaby dać znać nadchodzącemu, by się do domu nie zbliżał. Kazia wzięła się na sposób: zaczęła niby to czegoś szukać po swym pokoju, otwierała z hałasem szufladki, szeleściała papierami, darła kartki listowego papieru.

Pan sędzia, przerażony, poprosił gościa na dół do salonu. Tego tylko potrzeba było Kazi. Przekonawszy się, że już gabinet opuścili, przeszła doń niezwłocznie i stanęła w oknie, wyczekując powrotu Rajskiego. Gdy go ujrzała na zakręcie ulicy, poczęła mu robić znaki ręką i chusteczką, przekonawszy się jednak, że jej nie widzi, napisała na świstku: „Umykaj, żandarmi!“ Zawiązała papier wraz z *presse-papier* pana sędziego w chusteczkę i cisnęła w stronę nadchodzącego. Widziała, jak się Rajski obejrzał, podniósł chusteczkę, papierek przeczytał, spojrzał w okno i skłoniwszy się jej

elegancko, zawrócił na miejscu, nie spiesząc i znikł niedługo z jej oczu.

Kazia odetchnęła. Przestała się obawiać, zeszła spokojna do salonu. Tu zastała rodziców samych: zacny gość opuścił nareszcie dom swojej ofiary.

Spojrzała na ojca: pierwszy raz w życiu widziała go takim: oczy patrzały nieprzytomnie, stał nieruchomy na środku salonu, tylko dolna szczęka trzęsła mu się nerwowo: nie mógł ust zamknąć, ani przemówić. Pani sędzina zapomniała przybrać maski zrozpaczonej; skamieniała, policzki usunęły się jej i obwisły jak worki, oczy były przymknięte.

Staruszkowie głowy potracili ze strachu. Widząc to Kazia, zbliżyła się do ojca, ujęła go za rękaw i posadziła na fotelu. Sędzia patrzał na nią nieprzytomnie.

— Tu trzeba radzić — przemówiła spokojnie i bardzo stanowczo. — Ja, papo, w kraju pozostawać nie mogę. Poznałam w Warszawie (nachyliła mu się do ucha) cały rząd narodowy — wyszeptała tajemniczo. Jednego z nich ścigano i ukryłam go w moim pokoju. Poniszczyłam proklamacje i broszury, kłamała dalej bez zająknienia — setki ludzi uratowałam. Ale widocznie śledzono za mną i teraz wszystko może się wydać. Trzeba mi zaraz paszportu za granicę; za jakąbądź cenę. Tego mordercę trzeba uwolnić: będzie jednym więcej zbrodniarzem w naszym kraju. W takiej masie łotrów to się nie zauważy.

Sędzia patrzył na nią z największem zdumie-

niem; rozumiał, ale uszom własnym nie wierzył. Ona, jego córka, skompromitowana politycznie! Ucieka za granicę, ratowała rząd narodowy, wie o nieuczciwych sądach ojca! — W głowie mu się mąciło.

— Niech papa powie temu łotrowi, Litwickiemu, że ja prawdopodobnie udam się do Rajskiego, niech za mną śledzą, to i jego wykryją. W tej nadziei wydadzą mi paszport niezawodnie.

— A, a... a... jeśli... go tu pochwycą? — wybełkotał z wysiłkiem nieszczęśliwy sędzia.

— Niema obawy — już umknął! — odparła córka z nietajoną radością.

— Skądże ty wiesz? — spytał zdumiony ojciec.

— Boże Święty! Matko cudowna! Ratuj! — wykrzyknęła ni stąd, ni zowąd pani sędzina, nie rozumiejąc o co chodzi, widząc tylko, że grozi im coś strasznego.

— Mamo! warta jest pode drzwiami — opamiętała ją córka nakazująco. — Musimy zachowywać się spokojnie. Sędzina opadła na poręcz fotelu.

— Proszę, papo — zwróciła się Kazia do ojca— trzeba zająć się formalnościami, dla uzyskania mego paszportu; gdzie są moje papiery? co trzeba napisać? Nie można zwlekać ani chwili.

Tu pani sędzina, widząc, że jest jakieś wyjście z ciężkiego położenia, którego dotąd nie zrozumiała, zaczęła powracać do przytomności.

Wzniosła oczy w niebo, ustom nadała wyraz boleści i kiwając głową, zawołała patetycznie:

— Straszne są chwile w życiu ludzkiem! Czy mogłam się spodziewać, że to dziecię tak ukochane, w którem pokładaliśmy tyle złudnych nadziei, taki straszny cios zada naszemu sercu!

— Nie należało moskala wpuszczać do domu: niczby się nie stało, gdyby nie on. Nie potrzebowałabym nawet do Warszawy jeździć. Ja mu ofiarę z rąk wyrwałam. Ja musiałam tak postąpić — improwizowała Kazia najspokojniej.

— Więc to my? My wywołaliśmy to straszne nieszczęście — ryknęła znowu matka opuszczając ramiona i padając na poręcz, jakby miała zemdleć. — Boże! Tyś świadkiem! — wołała, przechodząc do piskliwego dyszkantu.

— Że bywał w domu moskal z chęcią zgubienia nas wszystkich — kończyła Kazia nieubłagana.

— Ach! To potwór, co przybrawszy na się postać baranka, z różczką oliwną w dłoni i miodowemi słowy na ustach... — deklamowała stara...

— Mamo! Tam słuchają za drzwiami — przerwała ostro Kazia. — Proszę lepiej zająć się moją bielizną, by wszystko było gotowe do wyjazdu. Ja z papą mam się jeszcze naradzić. Przejdziemy do gabinetu — zwróciła się do ojca stanowczo. Oboje rodzice słuchali córki, która po raz pierwszy w życiu zaimponowała im swą stanowczością i przytomnością umysłu.

Sędzia śledczy, pan Teodor Litwicki nie posiadał się z radości: wyraźnie szczęście szło w jego ślady, ścieląc mu drogę do świetnej karjery. Był on synem popa z Wołynia. Ojciec pomieścił go w seminarjum w Kijowie, widząc w jedynaku spadkobiercę wcale zyskownej parafii. Los jednak chciał inaczej. Młody Teodor był już w szóstej klasie seminarjum, gdy w zakładzie wydarzył się fakt dość oryginalny, nawet jedyny w swoim rodzaju:

Stróż owego zakładu, w którym wychowywali się przyszli pasterze prawosławnego narodu, miał sukę, zwyczajnego kundysa o burej szerści i kudłatym ogonie. Nazywała się „Śmiszna", bo miała zwyczaj śmiać się, gdy do niej przemawiano: marszczyła nos i zęby szczerzyła, jak niejedna popadianka i nie popadianka zresztą. Popowicze lubili ją, pieścili, karmili. Śmiszna wdzięczyła się do każdego, wdzięczyła się i do osobników swego gatunku. Była jednak osobą dobrze wychowaną, miała zasady, gdyż w ciągu sześciu lat nie przyprowadziła nigdy szczeniąt. To też zdziwienie seminarzystów było nie małe, gdy zauważyli, że Śmiszna po tylu leciech uczciwego prowadzenia miała wreszcie zostać matką. Otaczano ją troskliwą opieką, zbudowano jej budę, usłano gniazdo i czekano z ciekawością i zadowoleniem. Nareszcie Śmiszna schowała się do swej budy, nie wychodziła przez dzień cały; aż nazajutrz przyszli pasterze dusz znaleźli przy niej jedno tylko szczenię, wilczate, jak i ona. Bawiono się szczeniakiem, spowijano, chuśtano...

nareszcie jednemu ze starszych przyszło na myśl — ochrzcić pieska w kaplicy.

Litwicki zaprotestował.

— Głupi jesteś! — odparł mu wnioskodawca — czy to jednego sukinsyna już ochrzcili batiuszki! Można i tego.

Dowcip podobał się kolegom. Zaniesiono pieska do kaplicy i spełniono nad nim obrządek wedle wszelkich prawideł, w ornatach, święconą wodą, olejami, z krzyżem, świecami i białą szatą, dając mu na imię: Sukin syn.

Nikt z uczestników tej profanacji, rozumie się, nie wydał tajemnicy, musiała ich zdradzić sama Śmiszna, kręcąc się i skowycząc pode drzwiami kaplicy. Stróż domyślił się, że szczenię było w świątyni i doniósł o tem spowiednikowi; ten przekonał się z łatwością, przejrzawszy sprzęty w kaplicy, że używano przyborów potrzebnych do chrztu. Wytoczyła się sprawa w zakładzie. Śledzono, badano, grożono, zamykano każdego z uczniów po kolei, spowiadano wszystkich, obiecując przebaczenie, żaden jednak nic nie wyznał. Dobierano coraz ostrzejszych sposobów: zaczęto co dzień innego ucznia ćwiczyć rózgami. Wtedy Litwicki, nie czekając swojej kolei, zatelegrafował do ojca. Stary przyjechał natychmiast i wysłuchawszy całej historji, zabrał syna z zakładu, radząc zwierzchnikom umorzyć sprawę, by się wśród publiczności wieść o podobnem zgorszeniu nie rozeszła. Tak też uczyniono; ofiarą padł tylko biedny Sukin syn,

którego przez szacunek dla przyjętych przezeń świętości — uduszono i spalono, poczem popioły zostały zakopane w ogrodzie i przywalone kamieniem.

Teodor zapowiedział ujcu, że do żadnego seminarjum nie wstąpi i popem nie będzie. Starego nie zmartwiło to wcale. Popi najczęściej wstydzą się swojego duchownego stanu. Stary Litwicki rad był, że syn zostanie czemś przyzwoitszem, jak się wyrażał. Z niemałemi ofiarami udało mu się wreszcie umieścić jedynaka przy archiwach izby cywilnej w Kamieniu.

Tu młody kancelista przepisywał i wydawał interesantom wskazane mu przez naczelnika dokumenta. Skromna ta funkcja przynosiła mu wcale niezły zarobek: umiał dać uczuć publiczności, że pośpiech w załatwianiu interesów zależy od jego dobrej woli, że powinni to ocenić, że przedewszystkiem do niego należy się zwracać po dokumenta, kopje i wypisy; on potrafi wyszukać i przedłożyć naczelnikowi żądanie w najodpowiedniejszej chwili, poświęci parę godzin, jeżeli potrzeba i załatwi sprawę bez żadnej zwłoki. Nie żądał za to wyraźnie wynagrodzenia, ale to się rozumiało samo przez się. Płacono mu też chętnie i nawet hojnie. Poprzednik jego wyłudzał datki w sposób wręcz przeciwny. Ociągał się, zwlekał, odmawiał, wynajdywał najrozmaitsze trudności, dopóki mu nie przyobiecano parę rubli.

Litwickiego metoda wydała się obywatelstwu,

przeważnie polskiemu, znacznie sympatyczniejszą: toteż gdy tamten za fatygę dostawał zaledwie rubla, trzy najwyżej, Litwickiemu płacono bez namysłu pięć, a nawet dziesięć. Przyjmował datek naturalnie, z godnością, jako prawną należność. W obejściu był sympatyczny, grzeczny bez uniżoności, nie pozwalał sobie na arogancki ton, ogólnie przyjęty w każdej instytucji rządowej względem interesantów. Pozwalał mówić po polsku w swej obecności, gdy się doń zwracano w tym języku, odpowiadał po rosyjsku, dla dam miał jednak tyle względności, że odpowiadał po polsku. Wkrótce całe obywatelstwo okoliczne znało go i ceniło, jako człowieka dobrze wychowanego, uprzejmego i przedewszystkiem „dogodnego". Kapitalik Litwickiego wzrastał wraz z sympatją publiczności. To mu jednak nie wystarczało. On pragnął przedewszystkiem wznieść się, wybić na wysokie stanowisko. To jednak szło bardzo opornie: nie awansował. Głupi nieraz, leniuchy, niezdarni wysuwali się jeden za drugim naprzód, on stał na miejscu. Z czasem pomiarkował Litwicki, skąd to pochodzi: wyprzedzili go kandydaci do ręki siostry i córek naczelnika, kochankowie jego żony i towarzysze zakulisowych orgij tego pana. On nie nadawał się na zięcia: duchowne pochodzenie jest w tej części kraju pewnego rodzaju plamą, czy skazą, stawiającą człowieka niżej od innych. Z naczelnikową romansować dla karjery nie chciał Teodor, czując w sobie siłę do wybicia się w spo-

sób mniej upakarzający. Hulać z naczelnikiem nie mógł również. Nie leżało to w jego naturze. W ciągu paru lat spędzonych w Kamieńcu nauczył się wielu rzeczy: zrozumiał mianowicie, co zapewnia człowiekowi niezawodną karjerę; więc przedewszystkiem — pieniądze. Te umiał zdobywać Teodor w sposób łatwy, gładko i przyzwoicie. Powtóre umiejętność w przeprowadzaniu spraw drażliwej natury. W tem celował popowicz poprostu. Po trzecie — kobiety. Te wynoszą swych mężów lub ojców na stanowiska nieraz całkiem dla nich nieodpowiednie. Skombinowawszy to wszystko Litwicki, postanowił przenieść się do Polski, gdzie ojciec jego nie był znany, i gdzie spraw delikatnej natury musi być z konieczności rzeczy najwięcej. Podał się więc do Wintowa na skromną posadę sędziego śledczego. Tu znalazł rzeczywiście ogromne pole do wykazania swej zręczności. Okazał się odrazu człowiekiem ludzkim i przystępnym dla uciemiężonych, co mu się jako tako opłacało. głównie jednak poświęcił się wydobywaniu z przykrej pozycji samychże moskali, rozumie się za grube wynagrodzenie. Starsi ocenili jego zręczność i przenikliwość i zaczęli mu powierzać sprawy innej kategorji. Do takich należało między innemi wyśledzenie korespondenta „Siły narodu“. I oto miał już go na pewno — za chwilę przyprowadzą mu go przed oblicze. Litwicki czekał, rad z siebie i ze swojej fortuny. Nie wątpił, że będą go używali do rzeczy trudniejszych i wynagra-

dzali awansem każde powodzenie w podjętej przez niego misji. Czekał więc. Czas wydał mu się nieco długi. Rajski powinien już był z biura powrócić. Długi, letni dzień miał się już ku wieczorowi. Litwicki posłał służącego, by się dowiedział, czy mają już w ręku Rajskiego. Sługa przyszedł z oznajmieniem, że jeszcze nie wrócił. Litwicki wysłał go powtórnie z rozkazem, by dokonano natychmiast rewizji, pilnując drzwi domu, by nikt nie wyszedł ostrzedz korespondenta o grożącem mu aresztowaniu.

Na ten rozkaz dwóch wartowników stanęło w sieni kamienicy, dwaj drudzy przetrzęśli mieszkanie Rajskiego; porozpruwano poduszki, sienniki, kołdrę, powyrzucano wszystkie graciki na środek pokoju, przeszukano kieszenie, pozabierano książki, nie tknięto tylko samowaru, w którym mokły korespondencje, rozpoczęta jakaś złośliwa nowela, listy, adres Malińskiego, przepisane na czysto przez Krajskiego „sprawozdanie“ Kazi, oraz parę dokumentów, wykradzionych w biurze. Rewidujący potrącili nawet to chlubne naczynie, jedyny wynalazek wielkiego narodu, rozlali trochę wody, ale nie domyślili się, że mógł ukrywać w swem łonie tajemnice, o które im chodziło.

Litwicki, zawiedziony w swych nadziejach kazał nazajutrz warcie ustąpić i przywołać natychmiast Macieja. Ten zaklinał się na wszystko, że nikt z domu nie wyszedł, Rajski zatem nie mógł być ostrzeżony o zamachu na jego wolność. Li-

twicki zaczął przypuszczać, że Rajski miał i o nim pewne wiadomości, postanowił zatem wyśledzić go za wszelką cenę.

Gdy sędzia przyszedł doń z prośbą o paszport dla córki, przyjął go bardzo uprzejmie, zauważył, że Kazia dobrze robi, wydalając się z kraju na czas jakiś, że rozejrzawszy się trochę po świecie, nabierze doświadczenia i rozsądku, że wreszcie on, Litwicki, jest dla niej najżyczliwiej usposobiony i nigdyby jej naprzykrość nie naraził, gdyby nie owa nieszczęsna sprawa Zwierkowa, na której mu nadzwyczajnie należy; a znając nieskazitelność pana sędziego, nie widział innego sposobu zniewolenia go do wydania łaskawego sądu nad biednym chłopcem, którego on sam, Litwicki, zna skąd inąd, jako człowieka z czułem sercem, niezdolnego uczynić nikomu najlżejszej nawet przykrości.

O Rajskim żaden z nich nie wspomniał.

Po wyjściu sędziego Litwicki udał się do naczelnika policji omówić z nim kwestję ucieczki korespondenta i potrzeby wydania paszportu dla córki sędziego, która jest tak naiwna, że ma zamiar jechać za nim i, rozumie się, odkryje im schronienie kochanka.

Przedstawił naczelnikowi potrzebę wysłania tajnego ajenta w ślad za Potulińską i prosił o naznaczenie na tę misję człowieka, którego on zarekomenduje.

Naczelnik przystał na wszystko, wyasygnował

na ten cel odpowiednią sumę i kazał wydać bez zwłoki paszport za granicę dla córki sędziego Potulińskiego, oraz dla szpiega, mającego jechać w ślad za nią.

Litwicki sprowadził owego „swojego człowieka“ z Podola. Był to syn kamienieckiego urzędnika; dla otrzymania posady przy izbie sądowej przyjął był swego czasu prawosławie, na posadzie jednak utrzymać się nie zdołał, z powodu wstrętu, jaki miał do wszelkiej pracy.

— Słuchaj — mówił Litwicki swemu protegowanemu — zrobiłem dla ciebie, co mogłem. Jeżeli mi się sprawisz, jak należy, będziesz miał kawałek chleba pewny i niezły, pamiętaj tylko, że to ja cię wysyłam i ja ci daję zlecenie; jedziesz za tą gęsią Polką, nie staraj się z nią zaznajomić, bo ona się domyśli, coś zacz. Powiada, że jedzie za granicę. Prawdopodobnie zboczy gdzieś w stronę, by się zobaczyć z kochankiem. Zatelegrafuj zaraz, gdzie się zatrzymała i jedź dalej za nią aż do Wiednia. Tu ją porzuć i szukaj kogo innego. Masz mi odnaleść — tu zniżył głos sędzia śledczy — pannę Klaudję Suchaczownę. Oto jej fotografja: przypatrz się i zapamiętaj, bo ci fotografji nie dam. Jest wysoka, bardzo biała, brunetka, głos ma nizki. Prawdopodobnie będzie z kimś i będzie nosiła jego nazwisko. Staraj się zbliżyć i zaprzyjaźnić z obojgiem i donoś mi o każdym ich kroku, o każdem słowie, wzajemnym ich stosunku, pożyciu, o wszystkiem. O Wintowie, zwłaszcza o mnie nie wspo-

mnij ani słowa, aż ci sam napiszę, że pora. Obok tego, rozumie się, uważaj na wszystkich innych — to może się uda i coś politycznego wyśledzić — to cię postawi na nogi.

W ten sposób Litwicki postanowił zdobyć sobie trzeci warunek powodzenia — piękną żonę. Jako marny urzedniczek przy sądzie, nie mógł sięgać po rękę pułkownikównej, która książętami gardziła. Trzymał się więc od niej zdaleka, u pułkownika nie bywał wcale, miał ją jednak stale na oku.

On jeden z całej rosyjskiej kolonji wiedział o romansie jej z doktorem, zarządził rodzaj tajnego śledztwa, by zbadać przeszłość Paszkowa, znał więc przeszkodę, która stała na drodze do pobrania się kochanków, czekał też cierpliwie, aż Klaudja znajdzie się w konieczności przyjęcia jego ręki. Tymczasem ona wyjechała za granicę. Litwicki miał zamiar pojechać za nią w swoim czasie, gdy jednak nadarzyła się sposobność wysłania agenta, skorzystał z niej, by wiedzieć, kiedy miłość pięknej pani uleci, jak się spodziewał, pod wpływem nudów wiecznego sam na sam.

W domu państwa Potulińskich panowało straszliwe przygnębienie: Pani sędzina popłakiwała, składając do kuferków Kazi, piękną bieliznę, sporządzoną staroświeckim zwyczajem na wyprawę, gdy jeszcze Kazia czytać nie umiała.

— Boże, Boże! — szeptała biedna matka: —

ktoby się był spodziewał, że to na wygnanie, nie na wesele się gotowało? — Wybuchała staruszka gwałtownym płaczem, który na próżno stłumić usiłowała.

Pan sędzia chodził po salonie z rękami wtył założonemi i patrzał przed siebie bezmyślnemi, mętnemi oczyma. Milczał, szczęka mu tylko czasem zadrgała, czasem chrząknął, jakby mu co w gardle stanęło. Panu sędziemu ciężko było na duszy. Zdawało mu się, że wyjazd córki to tylko początek kary Boskiej, na którą on zasłużył nieuczciwem sprawowaniem tak ważnego urzędu. Kazia, według niego była ofiarą, która miała jego zbrodnie okupić. Wyjedzie, myślał i nie wróci: zginie gdzieś na obczyźnie, kto wie, jeszcze w jaki sposób? Pan sędzia znał tysiące najrozmaitszych zbrodni — popełnianych nad młodemi dziewczętami. Jednę taką wczoraj osądził i... uniewinnił zbrodniarza. Ręka Sprawiedliwości obróci się przeciwko niemu niezawodnie i postawi na drodze biednego dziecka podobnego tamtemu człowieka. Myśl ta opanowała go zupełnie, przypominał sobie wszystkie podobne wypadki na kolejach, w hotelach, na spacerach, w publicznych ogrodach, w odludnych przedmieściach, na ulicach nawet.

Zdawało mu się, że już czatuje na Kazię tajemniczy Janko rozpruwacz, lub taki Zwierkow, puszczony wolno przez niego samego, ojca młodej dziewczyny, jak tamta. O, gdybyż Bóg w swej łasce jego raczej dotknął chorobą, lub śmiercią,

byle mu dziecko zachował. Pan sędzia, tak zwykle troskliwy o swe zdrowie, pragnął dziś końca nędznego swego żywota, prosił o śmierć ciężką, bolesną, któraby winy jego okupiła. Dla czego on dbał o to życie marne, nikczemne, pełne obaw, upokorzeń, ustępstw hańbiących i popełnianych dobrowolnie podłości? Po to, żeby mu córka rodzona... nie, ona nic mu nie powie, ale ona go sądzi! Ona, co sama narażała się, by innych od więzienia i kary uwolnić! Wstyd mu było przed tą córką, która dziś oto idzie spokojnie z pogodną twarzą na wygnanie, za jego, za ojca winy, za tę słabość, która go doprowadziła aż do uginania się przed marnym urzędniczkiem, dla tego tylko, że był moskalem, że był z tych, co tu rządzą! aż do przyjmowania w swym domu szpiega i zdrajcy! Gdybyż choć jej nic się nie przytrafiło! Ale to niepodobna! On ją tem skazał na wygnanie — zgubę. Okropne detale sądzonej wczoraj zbrodni stawały mu w pamięci, a ofiara miała twarz Kazi. Nie mógł się opędzić od strasznego widziadła.

Sędzia słyszał jakiś płacz kobiecy gdzieś daleko ponad głową. To pewnie ona tak płacze — pomyślał i zaczął jej szukać po domu. W pokoju ani w gabinecie córki nie znalazł, płacz dochodził go widocznie z poddasza. Powlókł się stary aż do pokoiku służącej. Zastał tam Józię siedzącą na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach; płakała dziewczyna, nie zważając na obecność pana — płakała oczywiście za Rajskim, ale sędzia inaczej ją

zrozumiał: zapewne Józia przeczuwa także, że Kazia już nie powróci,

Wrócił pan sędzia do swego gabinetu, zamknął się na klucz i w końcu sam gorzko zapłakał.

A Kazia była spokojna, pogodna, układała, pakowała suknie, zawijała drobiazgi, odkładała, co niepotrzebne dla Józi, prosiła matkę o pieczę nad ogródkiem o uszycie i nadesłanie jej kaftaników, zachciało się jej paru staroświeckich klejnocików, których mama już nigdy nie nosi... Kazia myślała o wyprawie: przecież miała wyjść za Karola.

Dwie godziny pozostawało do wyjazdu Kazi, gdy pan sędzia przywołał córkę do swego gabinetu. Dziewczyna przygotowaną była na długie kazanie na temat unikania znajomości, nie mięszania się do znajomości, nie mięszania się do polityki etc. Jakżeż się zdziwiła gdy ojciec po krótkim wstępie rzekł do niej z pewnym wysiłkiem.

— Nie odstępuj od boku Rajskiego; najlepiej, żebyście się zaraz pobrali. Udzielam ci i wam obojgu zresztą mego ojcowskiego błogosławieństwa na ten związek. Oby wam szczęście dać mogło!

— Ależ papo! — protestowała zdziwiona. Ja prawie nie znam tego pana! On nigdy o mnie nie myślał, nawet nie pojadę tam, gdzie on się znajduje, ja wprost pojadę do Genewy.

— Niepotrzebnie ukrywasz się przed ojcem — przerwał jej sędzia z wyrzutem. Wam młodym zdaje się, że potraficie nas oszukać. Zapominacie, że i my byliśmy kiedyś młodzi

— Papo! Ani myślę o nim, niech mi papa wierzy — broniła się ze śmiechem.

— No, no, wiem ja coś o tem. Powiedz mu odemnie, że ja o waszej przyszłości pomyślę, niech sobie wyszuka jaki taki zarobek...

— Nic mu nie powiem, bo się z nim nie zobaczę.

— Tyle rzeczy ukrywałaś przedemną bez potrzeby! Teraz, kiedy mi obcy ludzie oczy otworzyli, wypierasz się, jakbym ci zabraniał.

— Ależ on się do Józi umizgał, nie do mnie! Ja go wcale nie znałam i nie chcę go. Pocóż miałabym się zapierać?

— Mów sobie co chcesz, a ja nie będę miał spokoju, dopóki mi nie doniesiesz, że wzięliście ślub w kościele, jak przystało na ludzi uczciwych. No, niech wam Bóg błogosławi — kończył, całując ją w głowę.

Kazia ucałowała ojca serdecznie, śmiejąc się z nietrafnych przypuszczeń staruszka i zapewniając go, że o Rajskim nie myśli.

Gdy przeszła do swego pokoiku, zastała tam Józię. Dziewczyna układała starannie pozostałe drobiazgi panienki. Oczy miała od łez czerwone, ale nie wyglądała smutno. Uśmiechała się nawet chwilami.

— Proszę panienki — zaczęła, nie patrząc na Kazię — czy panienka naprawdę nie pojedzie do pana Rajskiego?

— Nie, moja Józiu — uspokoiła ją panienka— nie pojadę tam, gdzie jest pan Rajski.

— I nie wyjdzie panienka za niego?

— Nie! nie wyjdę! — śmiała się Kazia.

— A czy pan Rajski tu nie wróci?

-- Nie — nie może.

— To może panienka powie jemu słówko odemnie — wtrąciła sługa, chowając zarumienioną twarz do szafy swej pani.

— Powiedzieć nie mogę, bo jeżeli go nawet zobaczę, to chyba nie prędko, ale mogę przez innego pana przesłać twoje słowa. Cóż chcesz mu oznajmić?

— Proszę panienki, jeżeli można, żeby papienka takie rzeczy powtarzała, to niech mu panienka powie... — tu Józia twarz zakryła fartuszkiem, choć Kazia na nią nie patrzała — żeby on jakoś wiedział od panienki, czy od kogo innego, że ja będę na niego czekała... Ja panienkę przepraszam, że tak z nią mówię o tej rzeczy, ale my mieliśmy się pobrać. Od kiedy ten pan tu był, co do brata przyjezdżał...

— Dramowski? — wtrąciła Kazia.

— Tak; to pan Rajski zaczął mi mówić: „jak ten warjat myśli się żenić, to czemużbym ja nie miał, i niby ze mną się zaręczył...“

— Dobrze, Józiu; ja mu każę powtórzyć, coś mi powiedziała, ale nie prędko. Ja nie jadę w tę stronę. Może przyślę papie jego adres, by ci doręczył. Napiszesz sama do niego. Ty umiesz pisać?

— Troszkę się nauczyłam od Walka, — odpowiadała, całując ręce drogiej panienki. — Niechże panienkę Bóg szczęśliwie prowadzi!

Kazia ucałowała służącą serdecznie i zeszła na dół, żegnać matkę. Ogarnęła ją pewna czczość i niesmak na myśl o górnolotnych frazesach i minach, zgotowanych na jej intencję. Ale matka płakała cicho, całując córkę w policzki, to w czoło i słowa przemówić nie mogła. „Mój Boże, Boże!“ szeptała tylko, ubierając ją, drżąca cała, w podróżny płaszczyk i znów zalewała się łzami.

Powóz z kuferkami i Józią ruszył naprzód, rodzice z Kazią poszli pieszo do stacji kolei. Nikt słowa nie przemówił przez drogę. Nareszcie kupiono bilet, wyprawiono kuferki i czekano tylko na pociąg. Gwizd zbliżającej się lokomotywy dał hasło pożegnania stroskanej rodzinie. Rozpoczęły się znów uściski, płacz i błogosławieństwa, w końcu ruszono we czworo do wagonu.

— Unikaj tych nikczemnych! — wydobyła nareszcie pani sędzina, jako ostatnie upomnienie na drogę.

Tu dzwonek dał hasło do rozstania. Kazia z okna wagonu powtarzała swą prośbę o pielęgnowanie ogródka i o kaftaniki. Za trzecim dzwonkiem zawoła jeszcze: „Do widzenia!“ Widziała, jak szczęka pana sędziego zadrgała. Chciał jej widocznie coś powiedzieć i nie mógł. Już tylko Józia biegła za wagonem, wołając: „Niech Bóg prowadzi!“ — wreszcie pociąg minął platformę. Ka-

zia widziała jeszcze czas jakiś postacie rodziców i służącej, nakoniec znikli z jej oczu — została sama.

Zdawało się Kazi niegdyś, że lubiła samotność. Było to zapewne skutkiem nieodpowiedniego towarzystwa dwojga starych i ciasnych umysłowo ludzi. Teraz, gdy i tych jej zabrakło, opanował ją smutek i zwątpienie.

Tam, dokąd jedzie, nie ma nikogo blizkiego. Karol... Czy może nań liczyć? Wprawdzie Rajski musiał wydać o niej jak najpochlebniejsze świadectwo; rozmowa z Józią przekonała ją, że Karol rzeczywiście myślał o małżeństwie, ale mężczyźni zwykle żenią się pod wrażeniem jakiejś chwili czy uczucia, które ich opanowuje; im więcej mają czasu do namysłu, tem mniej jest prawdopodobieństwa, że zdecydują się na żeniaczkę. Widziała już to nieraz Kazia i na sobie doświadczyła czegoś podobnego. Na to wspomnienie spotęgowała się w niej chęć zdobycia wszelkimi siłami tak grubej ryby, jak Dramowski. Ta myśl opanowała ją wkrótce całkowicie: ogarnął ją niepokój, zdawało się, że pociąg nie toczy się dość prędko. że zbyt długie robi przystanki. A tymczasem godziny mijały, słońce zapadało za krawędź zielonej płaszczyzny, złocąc wierzchołki dalekich drzew, i strzechy okolicznych wiosek.

„Jutro o tej porze będę za granicą“ — my-

ślała Kazia, nie czuła na piękno letniego krajobrazu. — „Może uda mi się spotkać Karola w Krakowie?“

Postanowiła zatrzymać się dłużej w tem mieście. Gdy zapalono latarnie wagonu, pomyślała o kolacji: rozpakowała zawiniątko z zapasami żywności. Pani sędzina przygotowała dla „biednej tułaczki“ taki zapas jadła, jakby ta nie do Europy, ale do Sahary jechała. Ale Kazia pierwszy raz w życiu jadła sama jedna. Pomimo głodu, nie smakowały jej nadziewane kaszką kurczęta z porzeczkową galaretą, ani ulubione chlebowe mazurki. Napiła się sporo wybornego wiśniaku, którego dwie butelki wsunęła jej matka do kosza z jadłem, niebaczna na przestrogi i obawy stroskanego ojca. Po nalewce Kazia zrozumiała dopiero, że całych dziesięć dni przeżyła jak w gorączce, podniecona myślą o niespodzianym a tak upragnionym wyjeździe, że musiała cały czas tłumić doznawaną z tego powodu radość, udawać smutek i obawę i że ją to bardzo, bardzo zmęczyło. Oparła głowę o poręcz ławki, zaczęła rozmyślać coraz optymistyczniej: wszystko układało się jak najszczęśliwiej, spotkała Karola w Krakowie, już jej się oświadczył, już wracała do Wintowa na ślub, już... już... zasnęła. Słońce było wysoko na niebie, gdy ją zbudzono, żądając paszportu — była na granicy. Podniecenie, jakie doznawała w ciągu dni ostatnich opuściło ją całkowicie. Zaczęła rozmyślać trzeźwo, rozsądnie. Karol

może ją weźmie, a może i nie. Pędzić jednym tchem do Genewy nie przyda jej się na nic. Oto za chwilę będzie w Galicji. Zwiedzi wszystko, co godne widzenia w Krakowie, zatrzyma się także w Wiedniu, dalej pojedzie do Monachium, tam zabawi dni kilka, stamtąd do Szwajcarji; tej zwiedzać nie będzie: w razie, gdyby Karol po nią przyjechał, odbędą razem podróż po krainie Alp. Będzie to miało dla niej urok podwójny.

Tymczasem pootwierano wagony, wręczono podróżnym paszporty i pociąg ruszył dalej na austrjacką komorę. Tu urzędnik celny, Polak, uprzejmie zapytał ją, czy nie wiezie wódki lub tytoniu. Kazia ze śmiechem zapewniła, że nie pali i nie pije, jedzie na studja uniwersyteckie, otworzyła zresztą kuferki; urzędnik udał, że je przegląda, poczem naznaczył wszystko kredą, nawet kosz z butelkami wiśniaku i wskazał podróżnej pociąg, mający ją zawieść do Krakowa. Tu dopiero w wagonie trzeciej klasy, dokąd przeniosła się od granicy, chcąc parę guldenów zaoszczędzić, Kazia po raz pierwszy ujrzała wysłanego w jej ślady szpiega. Przypatrywał się jej bardzo uważnie. Ona także pragnęła twarz jego zapamiętać: był młody, o cerze delikatnej blondyn, powierzchowności raczej sympatycznej. Wydało się Kazi, że musi być nowicjuszem w swej roli; nie miał dostatecznego spokoju: wstawał, to siadał, to przysuwał się ku niej, so niby patrzał w okno ponad jej głowę... zapalał bezustannie papierosa, który mu gasł co

chwila... Kazię bawiła ta figura przywiązana do jej boku dla wykrycia kogoś, kogo ona nie szuka. Wkrótce jednak znudziła się obserwacją nad nim i wyjrzała oknem. Jest w Austrji. Wyobraźnia malowała jej niegdyś kraj całkiem różny od tego, jaki przed chwilą opuściła. Zdawało jej się, że pola, wsie, miasta, roślinność, zwierzęta, ludzie zwłaszcza powinni tu być całkiem odmienni, nie tacy, jak w Rosji. — Tymczasem nie dostrzegła żadnej różnicy: te same zboża, chaty, grusze na polach, chłop w rogatywce popędza marne koniki długim batem, taki sam żyd roznosi zapałki po platformie... Tylko konduktor wykrzykuje po polsku, a potem po niemiecku: „Dziesięć minut, zehn Minuten“. Zresztą wszystko to samo, ta sama polska ziemia. Kazia zrozumiała niepodobieństwo zmienienia tej strony kordonu na Niemcy, a tamtej na Rosję.

„To jest Polska“ powtarzala sobie w duchu i „Polską zostanie“. Naród można podbić, podzielić, opanować, ale zniszczyć go nie sposób. My żyjemy, za nami będą inni żyli i tak myśleli, jak ja, i to czuli, i to czytali, i tego pragnęli.

Przeszkodzić temu nie mogą ani Moskale, ani Niemcy. My żyjemy, w pień nas nie wyrżną, więc będziemy żyli, jak żyjemy — powtarzała sobie z zadowoleniem. Ani śniło się Kazi, że czuje to, co każdy Polak, przejeżdżający po raz pierwszy granicę między Rosją i Austrją. Ta Polska poza obrębem potężnego cesarstwa robi wrażenie jakiejś

rękojmi, że naród nie zginie, że potęga Rosji ani go ogarnąć, ani udusić nie zdoła.

Kraków zwiedziła Kazia skrupulatnie, by mieć o czem z Karolem rozmawiać. Zatrzymała się w małym hotelu koło stacji kolei i stamtąd robiła długie uciążliwe wycieczki na miasto. Upał był nieznośny, wracała do domu z bólem głowy, doznawała nieznośnego pragnienia, nie dawała jednak za wygraną, wychodziła znów, wypytując po ulicy o drogę do Sukiennic, do kościoła Panny Marji, na Skałkę, na Wawel. Pojechała do Kopca Kościuszki, za nią w pewnym oddaleniu szedł stale powiernik Litwickiego. Udawała, że go nie widzi, właściwie rada była, że nie jest całkiem już samotną w obcem mieście

Nareszcie wyruszyła do Wiednia. Tu brak znajomości niemieckiego języka onieśmielił naszą turystkę. Zatrzymała się w stolicy Austrji tylko do następnego pociągu, poczem puściła się przez Tyrol wprost do Szwajcarji, odkładając na później monachijskie galerje.

Kazia słyszała o tyrolskim kapeluszu, o tyrolskim typie, o krowach nawet, a nikt jej nigdy nie wspomniał o piękności samego kraju. Pomimo, że nie była zbyt wrażliwą, rozmarzył ją prawie widok gór pokrytych jasną majową zielenią, wąwozów głębokich, których dna nie mogła dojrzeć z okna wagonu, tej świeżości i barwności górskiej okolicy. Zdało się jej, że odmłodniała; pragnęła kochać i być kochaną gdzieś w takich górach w zie-

leni i chłodzie wiosennego poranku. Rzecz dziwna, przestała myśleć o Karolu. Nie wiedziała, kogo pragnęła mieć przy sobie wśród tej rozkosznej natury: kogoś ładnego, młodego, takiego, jakim wyobrażała sobie Dramowskiego, nim go poznała, ale nie jego, on był — koniecznością. Usunęła go ze swej pamięci, by módz się oddać cała wrażeniu piękna i tęsknocie za jakąś nieznaną jej miłością, miłością poetów i kochanków z opery. Kazia, ta praktyczna, trzeźwa Kazia na widok pięknego krajobrazu zapragnęła poezji w życiu, w miłości.

Nie trwało to długo. Proza życiowa pochwyciła ją znów w nieubłagalne swe kleszcze i przypomniała, że jedzie do Genewy, wrzekomo studjować medycynę, właściwie jednak dla wydania się za Karola Dramowskiego, redaktora „Siły narodu“, mającego fortunę na Podlasiu, sperandę na spadek po siostrze i bracie i gruby kark hreczkosieja.

Co spowodowało ten powrót do rzeczywistości? Kazia usłyszała po za sobą rosyjską rozmowę. Dwie młode kobiety utyskiwały nad tem, że tak późno wracają do Genewy i że do egzaminów pozostaje im zaledwie cztery miesiące.

Kazia wywnioskowała, że muszą to być studentki genewskiego uniwersytetu, oczywiście Rosjanki, kończące już studja. Postanowiła zapoznać się z niemi. Pożegnawszy swe marzenia o miłości w górach, lasach, nad strumieniami i t. d., zwróciła się do dwóch podróżnych, pytając ich po rosyjsku, czy jadą do Genewy.

Rosjanki rozgadały się szeroko: rozpowiadały jej o studjach, profesorach, kolegach, egzaminach, koleżankach... częstowały Kazię siomgą, kawiorem i piernikami, dostały gorącej wody na stacji, zrobiły herbatę... Kazia częstowała je mazurkami i cukierkami.

Tak dojechały wieczorem do Genewy. Rosjanki miały pokój zamówiony, zaprosiły więc Kazię do siebie, obiecując nazajutrz wyszukać dla niej pokoik i zaprowadzić do wszechnicy. Kazia przyjęła gościnę z wdzięcznością. Wszystkie trzy spały długo po nużącej podróży. Koło jedenastej dopiero, wypiwszy herbatę, wyszły we trzy szukać mieszkania dla Kazi. Nie uszły stu kroków, gdy usłyszały po za sobą syczenie, używane w celu zatrzymania osoby idącej przed nami.

— Sss... Sanina! Sss... poczekajcie! — wołano po rosyjsku.

Panny obejrzały się.

— Andrejewa!

— Sanina! Jak się macie, czemu tak późno. Co słychać?

Cztery panny zajęły całą szerokość trotuaru, rozmawiając głośno, śmiejąc się, giestykulując. Kazi cząs zaczął się dłużyć, oddaliła się nieco od towarzyszek.

— A propos — rzekła w końcu jedna z Saninych — my tu dla tej nowej szukamy pokoju. Czy nie znacie co odpowiedniego?

— I owszem! chodźmy razem!

Szły we cztery. Na skręcie ulicy znów uszłyszały!

— Sss... sss... Sanina! Andrejewa! Sss...

Tym razem przyłączyły się do nich trzy nowe koleżanki.

— Czemu tak późno przyjeżdżacie? Co słychać? Czy wiecie, co się stało? — Ten tej powiedział to, a ona mu tak... etc.

Nareszcie gromadka, złożona z siedmiu osób, pociągnęła wzdłuż ulicy Caronge, poszukując mieszkania dla Kazi.

Wtem jedna z Saninych jęła sykać gwałtownie. Dwaj studenci o semickich obliczach obejrzeli się za nią. Zaczęły się znów zapytania, czemu tak późno przyjechały, co słychać, czy wiecie, co się stało? Ja powiedziałem jej to. a ona mi na to odrzekła i t. d.

I dziewięć osób poszło szukać mieszkania dła Kazi, zajmując cały trotoar i połowę niemal ulicy.

Kazia szukała kartek w oknach domów. Po trzy, cztery i pięć zachodziło pytać o pokój, odpowiadano im jednak, że nie życzą sobie studentki lub damy, albo otwarciej — Rosyanki Kazia z łatwością się domyśliła, że właścicieli mieszkań przeraża liczba poszukujących. Gdy więc Sanine zauważyły, że jest po pierwszej i pora zjeść cokolwiek, Kazia postanowiła opuścić uprzejme towarzyszki i szukać sama pokoiku. Do wieczora znalazła, czego jej było potrzeba i przeniosła się ze wszystkiemi kuframi, paczkami i koszyczkami do

milutkiego pokoiku w małym domku przy zacisznej ulicy pełnej ogródków, kwiatów i bluszczów. Opuszczając moskiewki poprosiła je, by zechciały pójść z nią do uniwersytetu.

Przyszły więc po nią o wpół do jedenastej. Kazia porzuciła swoje graty, które właśnie zaczęła rozkładać i pospieszyła z niemi na wykład. Z pewnem zażenowaniem weszła do wielkiego audytorjum, przepełnionego słuchaczami płci obu. Towarzyszki jej nie żenowały się wcale, mówiły głośno, szukały próżnego miejsca, w końcu usadowiły ją obok drobnej, milutkiej blondynki i pożegnały, radząc, by się zaznajomiła z sąsiadką, ponieważ są na tym samym kursie, ta zapewne udzieli Kazi potrzebnych wskazówek i uścisnąwszy dłoń jej serdecznie, opuściły audytorjum.

Miła sąsiadeczka nie spojrzała ani razu na Kazię, udawała, że jej nie widzi. Ta natomiast przypatrywała się z pod oka delikatnym rysom koleżanki i doszła wkrótce do przekonania, że musi być Polką. Nie omyliła się: wchodzące co chwila do audytorjum studentki witały ją wesołem: „Dzień dobry!“. Kazia ośmieliła się wreszcie i przemówiła do sąsiadki w ojczystym języku.

— Pani jest Polką! — rzekła, rumieniąc się trochę. — Jakże jestem rada, że spotykam nareszcie choć jedną rodaczkę w Genewie!

— Tak, jestem Polką — odrzekła, blondynka dźwięcznym, dziecinnym głosikiem. — Tak dalece

Polką, że po rosyjsku z nikim nie mówię! — dodała, sznurując usteczka znacząco.

Kazia nie podjęła tej przymówki, zrobiła sobie w duchu uwagę, że koleżanka ma słuszność. Karol byłby prawdopodobnie także zgorszony, gdyby ją ujrzał w towarzystwie Rosyanek. Pytała więc, czy dawno studjuje, skąd jest, jak się nazywa i nawzajem wymieniła swoje nazwisko.

— Potulińska? czy córka sędziego? — spytała ją Bartska odrazu.

— Tak — odparła Kazia zmięszana. — I tu wiedzą! — pomyślała z goryczą.

Ale w audytoryum wszystko naraz ucichło; na katedrę wstąpił powoli i z wysiłkiem starzec wielkiego wzrostu, w miarę otyły i barczysty, mocno osiwiały. Rysy miał grube, nieregularne, z pod ciemnych brwi, których wiek nie zdołał ubielić, patrzyły wielkie, rozumne, piwne oczy. Wydał się Kazi, że te oczy ją badają i przenikają do głębi. Stary oddychał z trudnością, wreszcie zaczął coś mruczeć niewyraźnie. Kazia zdziwiona spojrzała na koleżankę.

— Czekajcie! szepnęła ta z uśmiechem.

W tem profesor odchrząknął i przemówił. Głos jego silny zalał naraz audytorjum: mówił wyraźnie, żywo, zajmująco, płynnie. Kazia nie rozumiała go, gdy wymieniał gatunki zwierząt lub rozpowiadał o organach, funkcjach, zmianach, przejściach jednych form w drugie.

Nie znała nomenklatury, przedmiot był jej obcy

najzupełniej; natomiast oceniała doskonale inną stronę wykładu niepospolitego pedagoga i uczonego zarazem. Vogt uczył swych słuchaczów—myśleć, uczył wyciągać wnioski z badań tej dziedziny świata zwierzęcego, którego człowiek jest ostatnim ogniwem. Kazia zrozumiała, że uczony Niemiec pragnie dla swojego audytorjum wolności ducha, chce wyzwolić go od wszystkiego, co myśl ludzką więzi w zamkniętem kole formułek, frazesów, dogmatów. Trzeźwość, obserwacja, badanie — zdawały się być hasłem niepospolitego badacza przyrody. Mówiąc o zjawiskach świata zwierzęcego, umiał potrącić trafnem słowem, a nieraz trywialnym dowcipem, właściwym germańskiej rasie, o palące kwestje dzisiejszej ludzkości i oświecać je ze swego punktu uczonego przyrodnika. Kazia słuchała go z podziwem. Jej trzeźwy, praktyczny umysł potrzebował tych poglądów, których istnienia domyślał się niejako, nie śmiejąc i nie umiejąc formułować ich należycie. Starzec pociągał ją ku sobie siłą i śmiałością rozumowań. Vogt w jej oczach był czemś stokroć więcej, niż zwykłym przyrodnikiem. Dla niej wykład ten był nauką życia.

Po skończonej prelekcji Bartska zaprosiła koleżankę do siebie na śniadanie. Kazia, ujęta miłem obejściem nowej znajomej, która nie chciała widocznie dać jej uczuć, co wie o jej ojcu, przyjęła zaproszenie z wdzięcznością. Poszły więc razem ku Place de Philosophes, gdzie Bartska od lat wielu zajmowała mały pokoik na trzeciem piętrze

jednej z eleganckich kamienic tego placu. Przez drogę Bartska mówiła prawie nieustannie milutkim, jak dzwoneczek głosikiem.

— Ja sama sobie obiad gotuję. Nie mogłabym jadać po tutejszych „pensions:“ wydaje mi się zawsze, że u nich źle zmywają talerze, w jednej wodzie tylko! To takie wstrętne! I serwetki stołowników składają wszystkie do jednego kosza. Wolę poświęcić chwilkę czasu i usmażyć sobie mięsa kawałek na lampce spirytusowej. Wiem przynajmniej, że wszystko świeże i czyste.

Bartska zaszła do rzeźni i kupiła dwa wołowe befsztyki.

— Poczekajcie! jeszcze wezmę sałaty i ciastek. Pijecie wino? Ja nic nie pijam, prócz wody i herbaty, ma się rozumieć, choć i tę pijam bardzo lekką. Nie pojmuję, jak kobiety mogą używać wyskokowych nąpojów. To ma najzgubniejszy wpływ na cały organizm, na charakter, na moralność nawet, — zacytowała, jak wyuczoną lekcję.

— Widzicie, wejście do domu jest nowiutko umalowane. Dlatego przez tyle lat trzymam się tego domu, że jest czysto utrzymany. Zobaczycie — mówiła, wbiegając na schody, jaki mam rozkoszny pokoik. Czysto u mnie, jak w szklance. Uważam, że nauka nie przeszkadza do staranności około swojej osoby i mieszkania. Sama sprzątam pokój i co rano łóżko zaścielam, ciągnęła, wprowadzając gościa do schlubnej izdebki. Nie znoszę, by obca ręka dotykała mojej pościeli. Cóż

chcecie? Taką mam naturę! — szczebiotała jednostajnie, z wdzięcznym uśmieszkiem na ustach.

Schowawszy kapelusy do szafki i zauważywszy, że wszystko na niej musi być świeżutkie, włożyła biały fartuszek, zapaliła lampkę spirytusową i postawiła na ogniu małą palewną patelnię, wrzuciwszy kawał masła.

— Ja się wam bardzo dziwię — zaczęła z innej beczki, że wy podtrzymujecie stosunki z Rosjankami. Ja do żadnej z nich pierwsza nie przemówię, chyba gdy się do mnie która wprost z czem zwróci, odpowiadam, poprosiwszy ją wprzód, by mówiła po francusku: niech wiedzą, że ich język został nam w szkole narzucony, po za szkołą znać go nie chcemy.

Kazia przyjęła to wiadomości i postanowiła pójść za przykładem starszej studentki.

— Widzicie, jaki mam maleńki pokoik, a zbiera się u mnie cała tutejsza młodzież, polska ma się rozumieć. Ja mam prawdziwy dar przyjmowania u siebie gości: każdemu umiem to powiedzieć, co dla niego jest przyjemnem lub zajmującem. Wszystkie koleżanki lubią mię niezmiernie. U Rwańskich czuję się jakby w kółku najbliższej rodziny: on jest mi bratem, ona siostrą!

— Cóż to są za jedni, ci Rwańscy? — zdołała wreszcie wtrącić Kazia.

— Rwańscy? Nie wiecie kto są Rwańscy?

— Nie. Nigdy o nich nie słyszałam.

— Oh! ja wyjeżdżajac z kraju miałam do nich

rekomendację od... jednego pana — dodała tajemniczo.

— Cóż to za ludzie? — spytała Kazia. Emigranci.

— To są ludzie — powiadam wam. To są ludzie! Nie emigranci, nie. Dobrowolnie tu się osiedlili. Ona właściwie nie jest Rwańska, ale Starocka. Opuściła pierwszego męża i z tym zamieszkała w Szwajcarji.

— Rozwiodła się?

— Nie. Wprost opuściła człowieka, z którym ją nic nie łączyło i zamieszkała z tym, kogo jej serce wybrało.

— Proszę was, jedzcie — dodała, podając gościowi mięso przybrane wianuszkiem fryzowanej sałaty. Ja lubię, żeby jadło wyglądało ładnie — zauważyła, by zwrócić uwagę Kazi na elegancki sposób podania.

Zasiadły do śniadania. Czas jakiś trwało milczenie.

— Ja uważam, że was to gorszy, co powiedziałam o Rwańskiej. Przerwała wreszcie ciszę Bartska.

— Ależ bynajmniej! — protestowała Kazia. — Wyznam tylko, że pierwszy raz słyszę o podobnym fakcie w polskiem towarzystwie.

— Dlaczegoż nie miałoby się to zdarzać w polskiem towarzystwie? uczepiła się Bartska do słowa. I owszem: wszędzie, gdzie są dozgonne śluby, zdarzać się to może i powinno.

— Nie przeczę temu! — śmiała się Kazia — ale dotąd nie zdarzało mi się spotykać podobnego faktu u nas. Między Rosjanami, wiem, że się to nieraz przytrafia.

— Dlaczegóż tylko między Rosjanami? — broniła Bartska, jakby Kazia potępiała postępowanie nieznanej pani. — To jest bardzo słuszne i naturalne: kobieta jest zmuszona prawem do pożycia z człowiekiem, który jej nie rozumie, który ma wręcz przeciwne poglądy, dążności, pojęcia, upodabania... znosi to, póki jej siły starczą, gdy jednak spotka takiego mężczyznę, który jej pod każdym względem odpowiada, nie jest obowiązaną pozostawać nadal z człowiekiem, dla którego nie ma ani sympatji, ani szacunku.

— Doskonale to pojmuję, — uspakajała ją Kazia, ale Bartska nie mogła sobie dać rady. — Mówicie, że postąpiła sobie, jak Moskiewska: dajmy na to! ale jeżeli Rosjanki są pod tym względem konsekwentniejsze, niż my, zgodzicie się, że nam nie pozostaje, jak tylko iść w ich ślady!

— Ależ zgadzam się! zgadzam! — zakończyła Kazia ze śmiechem i zwróciła rozmowę na inny temat; wyznała, że nie rozumie dostatecznie wykładu i wyraziła z tego powodu obawę o powodzenie swych studjów.

Bartska uspakajała ją, że i ona przechodziła podobne obawy, choć przyjechała na początek wykładów, nie dziw więc, że Kazia, trafiwszy na koniec drugiego półrocza, nie rozumie dość trudnej dla cudzo-

ziemki nomenklatury, że wkrótce oswoi się i przekona, jakie to wszystko jest jasne i proste.

Po obiedzie Bartska zaproponowała Kazi, że ją zaprowadzi do polskiej czytelni. Ubrały się więc i wyszły na miasto. W drodze Bartska nie przestawała oddawać sobie należnego uznania. Ona nie przyjechała tu dla dyplomu i karjery, ale po naukę; ona sama przygotowała się do studjów, ona potrafiła nakazać szacunek szwajcarskim kolegom.

Ją znają i wyróżniają profesorowie, do niej udają się koleżanki, gdy chodzi o przeprowadzenie jakiej drażliwej kwestji, pogodzenia zwaśnionych, wręczenia zapomogi stypendystkom i t. d. bez końca.

Kazia, znudzona jednostajnością głosu i rozmowy swej towarzyszki nie słuchała jej prawie. Rozglądała się po ulicach, by zapamiętać drogę do czytelni; samo miasto nie zajęło jej wcale — znalazła je banalnem. Taki teatr, takie domy, takie ulice widziała wszędzie. Genewa nie posiada osobliwego, oryginalnego piętna. Bartska mówiła jej o jeziorze, o widoku na Mont-Blanc i pokazała Salène. Góra ta leżała o milę od Genewy, ale wydawała się tak blizką, że Kazia postanawiała dojść do jej stóp dziś jeszcze przed wieczorną herbatą.

Tymczasem koleżanka wprowadziła ją do polskiej czytelni. Był to wynajęty przez polskie „Towarzystwo wzajemnej pomocy“ na spółkę z „To-

warzystwem młodzieży“ dość obszerny pokój, czysty, widny, z wejściem wprost z ulicy. Umeblowanie składało się z trzech szaf pełnych książek, dużego stołu, kilku ławek obitych ceratą, paru krzeseł, starej zielonej kanapy i żelaznego piecyka. Na ścianach wisiały portrety, rysowane węglem przez jakiegoś dyletanta. Kazia poznała Kościuszkę i Mickiewicza, inne twarze nie były jej znane. Oprócz kilku sztychów, przedstawiających sceny z ostatnich dwu powstań, zauważyła listy członków obu towarzystw, oprawne w ramy, wreszcie dzienniki wiszące na kołkach.

Bartska, wprowadziwszy ją i spytawszy, czy znajdzie drogę do domu, pożegnała ją serdecznie, przyrzekając wkrótce odwiedzić. Kazia sięgnęła po dzienniki. Przebiegła oczyma „Kurjerek“, przejrzała ryciny „Tygodnika ilustrowanego“. „Kurjer lwowski“ zainteresował ją, jako gazeta wychodząca za granicami Rosji; wreszcie znalazła rzecz najcenniejszą dla niej: „Siłę Narodu“, pismo samego Karola. Czytała z wielką uwagą. Do czytelni zaczęły schodzić się koleżanki. Każda wchodząc rzuciła okiem na Kazię, potem wzięła jedno z pism i zasiadała do czytania. Między sobą witały się krótkiem „dzień dobry“, a czasem milczącem ręki ściśnieniem. Było ich już pięć, każda siedziała z poważną miną nad dziennikiem. Podawano sobie z rąk do rąk jakąś ćwiartkę, której Kazia przedtem nie zauważyła. Wreszcie jedna ze studentek spytała coś swej sąsiadki półgłosem, ta

jej odpowiedziała tak samo, trzecia spytała: co? czwarta coś dodała, piąta zrobiła uwagę i zaczęła się pogawędka, zrazu urywana i cicha, potem coraz głośniejsza, wreszcie bardzo już ożywiona.

Kazia przysłuchiwała się, i nie rozumiała nic, ale to co się nazywa nic zgoła — zaledwie ogólnikowo domyśliwała się, o czem mowa: Głosowanie powszechne, głosowanie na listę, przedstawicielstwo proporcjonalne, głos mniejszości, większość absolutna... a cytaty, nazwiska, tytuły, dzieła, pisma perjodyczne wypływały na wierzch i przygniatały biedną Kazię całym ciężarem głębokiej wiedzy, spadającej jak grad pocisków na głowę biednego nieuka.

Jak one mówiły! Co za argumentacja, wiele faktów, wiele przytaczały powag, jak dyskutowały! To były światłe, wyższe kobiety! Te przyjechały tu po naukę! Taką chciał ją widocznie znaleźć Karol i dla tego radził jej wyjazd do Genewy. Jakże maluczką i głupią wydawała się sobie, słuchając tych przewodniczek wiedzy i postępu. Nie, ona im nigdy nie dorówna w erudycji. Na to trzeba było tych sześć lat, które tak marnie straciła, przesiedzieć nad dziełami poważnemi, dziennikami, encyklopedjami... ona nie rozumiała nawet wyrażeń, których używały te panie z łatwością, jakby najzwyczajniejszych słów potocznej mowy! Ona ogromnie straci w oczach Karola, gdy ją spotka w tem otoczeniu wyższych niewieścich umysłów. Jakie to szczęście, że jeszcze za

nią nie pośpieszył. Wyrzekłby się niezawodnie myśli o małżeństwie z taką gęsią z pensji panny Anny!

Ale oto miała w ręku jego pismo. Nauczy się jego poglądów, zapozna się z faktami, jego obchodzącymi, przejmie się jego kierunkiem, przeczyta książki, które on zaleca. Studjowała więc dalej drogocenny dziennik, szukając ciekawie podpisu Karola. Były tam jednak same pseudonimy, wstępny artykuł podpisany był: Rwański. „Czy nie ten co tu mieszka?“ — pomyślała Kazia. — „W takim razie warto się z nimi zaznajomić“. — Postanowiła prosić Bartskę, by zaprowadziła ją do nich. Ani jej się przyśniło, że Rwańska już o niej słyszała i to jaknajniepochlebniejsze rzeczy.

Bartska, pożegnawszy Kazię w czytelni, pośpieszyła do Rwańskich z nowiną:

— Wiecie, kto się jeszcze wyrwał do nas na studja? — Wołała od progu, nie witając nawet serdecznej przyjaciółki — Wyobraźcie sobie, kto? Kotulińska! Córka sędziego z Wintowa! Ni mniej ni więcej! No, jak wam się to podoba?

— Bardzo mi się podoba! — odrzekła poważnie gospodyni domu — widać, że pomimo takich rodziców, zdołała wyrobić w sobie kierunek zupełnie odmienny. To jest fakt dla nas pocieszający.

— Ależbo o niczem pojęcia nie ma, wykładów nie rozumie, całkiem nie przygotowana...

— Moi drodzy! Przygotowanie to rzecz do zdobycia — odpowiadała Rwańska, pochylając się nad mikroskopem — wierzcie mi, że i ja nie przyjechałam tu z odpowiednim zasobem wiadomości, ani wy, o ile pamiętam, ani żadna z nas zresztą.

— Dajmy na to — oponowała Bartska — Ale ona na wszystko ma poglądy nie mędrsze, jak jej szanowny ojczulek zapewne; jest wprost przedpotopowym okazem; wypowiada zdania z siedemnastego stulecia, słyszała jeszcze o was w kraju i powiada, żeście sobie postąpili „*à la russe*“ porzucając Starockiego.

Mocny rumieniec oblał policzki i czoło, a nawet szyję pochylonej nad mikroskopem kobiety. Bartska dostrzegła to. Zrozumiała, że dotknęła drażliwego dla przyjaciółki przedmiotu. Nastało kłopotliwe milczenie. Rwańska nie prędko ochłonęła ze wzruszenia.

— Na wszystko was upraszam, moi drodzy — wyrzekła wreszcie, nie odrywając się od mikroskopu — nie powtarzajcie nikomu tego, co ta panna miała już czas wygłosić o mojem życiu prywatnem.

Tu Rwańska oderwała się od swych badań i spojrzała na Bartską wzrokiem tak czystym, dziewiczym z pod gładkiego, pięknego czoła o marmurowych kolumnach, że wyglądała na świętą, na Minerwę, na coś niepokalanego, nieziemskiego prawie. To oblicze czyste, szlachetne, pełne rozu-

mu i godności, mówiło za nią bez słów, było najlepszą jej obroną, było dowodem czystości duszy i wzniosłości uczuć tej kobiety.

— Nie uwierzycie, jak to boli, być tak źle rozumianą przez ludzi — ciągnęła dalej ze spokojem i godnością. — Gdybyż to ta jedna Potulińska, wychowana wśród ogłupiającego otoczenia, w najzacofańszych pojęciach, wyrażała się o mnie w ten sposób! Wierzcie mi, nie obeszło by mię to ani na chwilę, czy porównała mię z rozuzdanemi Rosjankami moskiewskich romansistów, czy z rozpustnemi Fracuzkami pani Gyp, czy z Turczynkami, Chińkami lub Hottentotkami wreszcie, ale wy wiecie, jak mnie sądzi wiele innych koleżanek, które mogłyby rozumieć mię lepiej, gdyby chciały...

— One przez zawiść tylko! — dzwoniła Bartska srebrzystym, wzruszonym głosikiem.

— Nie wiem, czego mają mi zazdrościć, bo ja się przecie nad nikogo nie wynoszę i nie przypisuję sobie ani większych zasług, ani osobliwszych zdolności. Wiem jednak, że wypowiedziane niebacznie przez Potulińską wyrażenie, pochwycą skwapliwie i obrócą w śmieszność tę stronę mego życia, która najmniej na śmiech zasługuje. Żebyście wy, żeby ta sama Potulińska nawet, kimkolwiek ona jest, mogła się domyśleć, jakie walki przeżywałam ja co dzień, co godzinę przez całe lata, wahając się między tem, co przyjęto ogólnie nazywać obowiązkiem, a tem, co sama za obo-

wiązek uważałam. Nie mówiąc już o stronie serca, o samej miłości...

Tu Rwańska spuściła oczy, jakby zatopiona w głębokiem cierpieniu.

— Trzeba być samej matką, by zrozumieć, jak to strasznie kosztuje opuścić dzieci na łaskę i niełaskę człowieka, z którym się samej wyżyć nie mogło.

Rwańska otarła oczy chusteczką i mówiła dalej z uczuciem.

— Ja nic nie mogłam dla moich synów uczynić: ani ich ochronić od gburowatego obejścia, ani wpajać w nich swoich zasad, ani wlać moich uczuć. Każde moje słowo było komentowane z sarkazmem, każde zdanie ośmieszone w oczach tychże dzieci. Woli własnej mieć nie śmiałam: był tylko rozkaz bez apelacji. „Bez babskich rozumowań!“ To było hasło władzy mężowskiej. Ach: babska sentymentalność; babska wyobraźnia, babskie pojęcia, babska polityka... Wszystko u mnie było babskie, więc godne tylko pogardy. I to wszystko mówiło się przy synach! Mówiono im, że nie są babami, gdy się który ze mną chciał popieścić. Ten człowiek nie znosił żadnej woli, żadnej myśli, żadnego uczucia, które nie odnosiło się do jego świętej osoby. Nie miałam prawa zajmować się dziećmi, wadziła mu sympatja, którą okazywałam jego rodzonej matce, nie znosił, bym się domem zajmowała — „od tego jest klucznica. — Po co to się uczyło literatury, muzyki i wszelkich mą-

drości, żeby po tem z kluczami latać i ze służbą się ujadać". Siądę do fortepianu. — „Baby, jak nie mają nic do roboty, bębnią w ten nieszczęśliwy fortepian, aż głowa człowiekowi pęka." Wezmę książkę. — „Co ty tam znajdujesz w tych głupich romansidłach?" Jemu powinnam była pomagać, o nim myśleć, jemu usługiwać, być na jego zawołanie... Sądziłam, że może nie umiem klucza dobrać do jego serca, że nie dość mu okazuję przywiązania, czułości. Próbowałam w końcu ująć go pieszczotami, serdecznością, wylaniem... Nie było to z mojej strony komedją; zdawało mi się, że go kocham, on umiał być tak miłym, rozumnym, szlachetnym, gdy chciał... Zdawało mi się nieraz, że to ja nie potrafię dostroić się do jego niepospolitej natury... On miał rzeczywiście nieposledni talent. Płótna jego nabiorą z czasem ogromnej ceny. Ale dziś powodzenia niema, nie umie dać się poznać. Każda moja rada lub uwaga w tym przedmiocie służyła tylko na to, by wszystko zrobił wręcz przeciwnie niż ja pragnęłam. — Jak my, kobiety, zwłaszcza w wieku, w którym zazwyczaj zamąż wychodzimy, mało znamy życie, jak mało mamy instynktu do ludzi, jak nie umiemy odgadnąć człowieka poza maską salonowych konwenansów! Moja matka do ostatniej chwili sprzeciwiała się temu małżeństwu. Póki żyła staruszka, ukrywałam jak mogłam torturę mojego z nim pożycia. Jeden Rwański wiedział o wszystkiem. Był codziennym gościem, przyjacielem, pozował mu

nieraz. Starocki, nie żenował się przy nim. Przebyłam ciężką chorobę. Przez pół roku z łóżka nie wstawałam. Małżonek z początku pielęgnował mię bardzo czule, w końcu jednak widocznie mu się sprzykrzyło, zajrzał czasem do mojego pokoju, skrzywił się na zapach lekarstw, kazał służącej okno otworzyć i wracał do swej pracowni. Już tutaj dowiedziałam się od Andrzeja, że znalazł był sobie pocieszycielkę podczas mojej choroby. Nie tail się z tem przed Rwańskim.

— Gdy zaczęłam do zdrowia przychodzić, wyglądałam widocznie niebrzydko, zaczął mię malować. — Widzieliście może jego „Rekonwalescentkę?“ Nie. Pozowanie ogromnie męczy, a ja byłam świeżo po chorobie.

Kiedyś poprosiłam go w obecności Rwańskiego o chwilową pauzę. Zmęczyła mię nieruchomość. Starocki ofuknął mię, nazwał głupią niezdarą...

Rwański ujął się za mną nareszcie: „Jeżeli pan będziesz w ten sposób żonę traktował — to ją panu zabiorę — boś jej nie wart“ — rzekł mu stanowczo.

— „A bierz ją pan! — Daję wam krzyżyk na drogę i moje błogosławieństwo w dodatku!“. odparł Starocki. — Dziwny człowiek; — zazdrościł, gdy chodziło o dzieci, o matkę rodzoną jego i moją; o przyjaciela był spokojny. Ja dla Rwańskiego czułam wielką wdzięczność za współczucie, jakie mi okazywał. Pragnęłam mu wynagrodzić,

ofiarę, jaką poniósł dla mnie opuszczając kraj i karjerę, która mu się otwierała i przenosząc się tu, by mię ochronić od sądów takich Potulińskich et consortes...

Mam tu stanowisko, wyrobioną opinję, sympatję i uznanie wielu, choć nie wszystkich koleżanek... Ta panna sama sobie najwięcej szkodzi, odzywając się o mnie ubliżająco! Może narazić sobie wszystko, co dla mnie ma choć trochę sympatji. Tym sposobem zamiast miłych wspomnień z czasów studenckich wywiezie stąd niechęć i żal do osób, które sama dotknęła lekkomyślnym swym sądem.

Pani Kamila umilkła. Słodki wyraz łagodnego smutku rozlany był na jej drobnej twarzyczce. Wyglądała na zmęczoną, cierpiącą. Bartską ogarniało coraz większe wzruszenie.

„Taką kobietę porównywać z namiętnemi moskiewicami, oburzała się na Potulińską, zapominając, że sama wyciągnęła z niej to zdanie i zwiększyła nadmiernie jego doniosłość“. Trzeba pokazać tej gęsi, że my szanujemy Rwańską, jak na to zasłużyła!“.

Wstała, ucałowała szlachetne czoło męczennicy i wyszła z oznakami silnego wzruszenia. Szła z wielką nowiną na końcu języka, śpieszno jej było, potrącała przechodniów po ulicy, nie widziała nic i nikogo przed sobą. Najbliżej Rwańskich mieszkała koleżanka Parczewska, do niej więc zwróciła się najsamprzód Bartska. Tu roz-

powiedziała z największem oburzeniem o niejakiej Potulińskiej, która śmie rzucać kamieniem na taką kobietę, jak Rwańska, nazywać ją wyuzdaną i rozpustnicą, dwumężną i t. d. Z Parczewską poszły do Grinberg, z nią do Żarowskiej, tu rozdzieliły się na dwie partje, z których każda biegła w inną stronę rozgłaszać o potwornym fakcie. Ostatnia wersja obejmowała mianem nierządnic wszystkie koleżanki odwiedzające dom upadłej kobiety, jaką jest Rwańska-Starocka, czy Starocka-Rwańska, tak miała wyrazić się Kazia.

U każdej koleżanki odnawiało się niezachwiane postanowienie nie znać Kazi i okazywać, że się jej znać nie chce: „Niech się trzyma swoich moskiewic — wyrokowała Bartska. — Polska na tem nie straci, a Moskwa nie zyska!"

A Kazia z całej duszy pragnęła zbliżyć się do tego koła światłych, wyższych, w jej mniemaniu, kobiecych umysłów. Czuła się wobec tych uczonych, wybranych, młodych niewiast, poświęconych wiedzy, walce o równość z mężczyzną, wobec tych szczytnych, dumnych, hartownych charakterów, nieskończenie maluczką ze swemi wiadomościami z pensji panny Anny, ze swoim planem zdobycia Dramowskiego i ze swoim tatusiem Potulińskim, osławionym za sprzedajność i tchórzostwo. Bo też wszystkie te panie wyglądały na Minerwy, gdy wchodząc do czytelni i zastawszy tam Kazię wie-

cznie studyującą „Siłę narodu“, podnosiły dumnie głowę, rzucając na córkę sędziego pogardliwe spojrzenie. Parę razy biedna dziewczyna, próbując zbliżyć się do której, zapytała o jaką informację... ale zagadnięta zbywała ją lakonicznem: „tak“ lub „nie“, najczęściej jednak „nie wiem“. Bartska, która ją tak uprzejmie na wstępie przyjęła, okazywała jej lodowatą obojętność, zaledwie raczyła się skłonić. Okazywano jej wyraźnie, że znać jej nie chcą. Rwańską natomiast otaczano, wyróżniano ostentacyjnie, chodziła jak królowa wśród niewieściego dworu, sadzana na pierwszem miejscu, witana z entuzjazmem, fetowana, uwielbiana. Ciśnięto się do niej, patrzano w nią, jak w tęczę, słuchano z nabożeństwem niemal, cytowano ją, jak wyrocznię.

Drzwi domu Rwańskich nie zamykały się teraz. Zawsze ją miano o coś spytać, o czem pomówić.

Długi czas jedynym punktem, koło którego kręciła się rozmowa w salonie Rwańskich, była, rozumie się Kazia. Powstawano na nią za wszystko: „Mówi po rosyjsku“, choć Kazia nigdy od rozmowy swej z Bartską słowa po rosyjsku nie przemówiła. „Nie czyta „Robotnika“. — „Chodzi do kościoła“. To ostatnie mówiono z uśmiechem politowania.

Rwańska broniła jej uparcie:

— To przecie nikomu nie szkodzi, że się ktoś modli. Przeciwnie, niech się modli! To jest także

pewien środek pedagogiczny — raz w tydzień, czy dwa razy na dzień chociażby wejść w głąb własnego ja i rozejrzeć się, czy wszystko jest tak, jak być powinno! Pewna kontrola nad samym sobą nikomu nie zawadzi! Że my nie potrzebujemy dla tej operacji padać na kolana i powtarzać kabalistyczne formułki, to jeszcze nie dowodzi, żeby religijność stanowiła ujmę dla takiej Potulińskiej!

— Przepraszam! — protestowała, szepleniąc, Grinberg. — Według mnie wiara w rzecz nie dającą się dowieść, ani wyrozumować, dowodzi braku zmysłu krytycznego i nie najlepiej świadczy o doniosłości umysłowej danej jednostki.

— Temu nie przeczę — mówiła Rwańska dobitnie.

— Pierwsza rzecz, — mówiła dalej Rwańska — którą wszelkiemi siłami starałabym się obalić, byłaby z pewnością — wiara i kościół, a z nią wpływ duchowieństwa, które utrzymuje lud świadomie w błędzie, ciemnocie i bierności; ale mieć komuś za złe, że tak wierzy, jak go nauczono, jest niesprawiedliwością, a tej wystrzegam się zawsze, a najbardziej już względem ludzi, osobiście dla mnie niechętnych. Potulińska przedstawiła się na wstępie bardzo niesympatycznie, ale mogłaby o nas to samo powiedzieć, gdyby wiedziała, że się z jej nabożeństwa naśmiewamy, lub gorszymy tem, co czyta, albo czego nie czyta. Dobrze, że cokolwiek czyta, i to już coś warte.

— „Siłę narodu“ studjuje od deski do deski, — wtrąciła Żarowska.

— Nawet anonse! — żartowała Parczewska.

— To bardzo szczęśliwie! — broniła Kamila — może przestanie bratać się z Rosjanami. Nie wymagajmy od każdego, żeby był takim, jak my.

— Jednakże zgodzicie się, — oponowała któraś, — że kto ma pretensje do wyższego wykształcenia...

— Ależ moi drodzy, — dźwięczała obrona — każda z nas przyjechała z pretensjami do wykształcenia, ale nie z wykształceniem. Taką rzecz trzeba zdobyć!

— Zgodzicie się, że żadna dotąd nie wygłaszała takich pojęć, jak Potulińska!

— Bośmy wyrosły w innem otoczeniu i prawdopodobnie posiadamy więcej samodzielności umysłowej. Mnie to dziwi, że w ogólności przyjechała po naukę?

— A gdybyśmy ją przyciągnęły do naszego grona? — wtrąciła Bartska, poczuwająca się po trochu do winy względem Kazi. — Możeby się dała z czasem wyrobić..

— Wy jedni ją znacie, — odparła sucho gospodyni domu, — moglibyście się podjąć tej misji. Co do mnie, nie mogę tak rok rocznie oddawać się wyrabianiu nowo przybyłych koleżanek. Wreszcie wątpię, żebym zdołała mieć na nią wpływ kiedykolwiek. Ale wy spróbujcie. Nie należy nikogo pomijać, ani gardzić żadnym materjałem.

— Wyznam wam, że nie mam wielkiej ochoty po tem, co mi mówiła.

-- Wierzę wam! — odparła Kamila, dziękując jej długiem, czułem wejrzeniem.

Nastało lato, zbliżyły się wakacje. Studentki opuszczały stopniowo Genewę: jedne wynosiły się na wieś, inne wracały do kraju.

Kazia od pewnego czasu zastawała co dzień w czytelni młodego mężczyznę o powierzchowności nieznaczącej, ale bardzo według niej sympatycznej. Czytał, lub przezierał tylko dzienniki, potem spojrzawszy na zegarek, opuszczał czytelnię.

Pewnego razu, gdy miał już odchodzić, zwrócił się do niej uprzejmie.

— Czy pani nie życzy sobie książek z bibljoteki?

Kazia była bardzo zdziwiona i zapytaniem i samym już faktem, że do niej tu, w Genewie ktoś pierwszy przemówił i to w sposób niezdradzający najmniejszej nieżyczliwości. Biedaczka tak się zmieszała, że nie odrazu mogła się zdobyć na odpowiedź.

— Wyznam panu — ozwała się nareszcie, że jestem nadzwyczaj niekompetentną w wyborze książek. Nie chciałabym czytać, jak dotąd to czyniłam, pierwszą lepszą rzecz, która mi w ręce wpadnie. Potrzebuję pewnego kierunku: planu,

wedle którego mogłabym się kształcić. Kazia zakończyła przemowę mocnym rumieńcem.

Rwański, gdyż on to zastępował bibljotekarza podczas wakacyj, jak najchętniej, ze skwapliwością niemal podjął się wytknięcia dla Kazi pewnego programu samokształcenia, tymczasem wydał jej tomik Spencera: „Wstęp do socjologji". Gdy Kazia zapisała swe nazwisko w książce regestrowej, przeczytał je i nie spytał Kazi, czy jest córką sędziego. Ona zrozumiała to w ten sposób, że Rwański nie wie o złej sławie ojca, i że, skoro się dowie o wszystkiem będzie jej unikał, jak czyniły to dotąd koleżanki. Chcąc temu zapobiedz, dodała, wkładając bibułę do regestru:

— Jestem córką sędziego z Wintowa.

— Ja jestem Rwański. Bardzo panią przepraszam: Do mnie należało zaprezentować się pierwszemu.

Kazia podała mu rękę na pożegnanie i z wielką radością w sercu powróciła do domu. Teraz już uważała uprzedzenia koleżanek za rzecz minioną. Przecież ten człowiek musi mieć wpływ na sposób myślenia wszystkich tych panien, których kształceniem zajmuje się prawdopodobnie równie gorliwie, jak uświadamianiem jej, córki człowieka osławionego... Nowy duch wstąpił w Kazię na myśl, że ma tu, na obczyźnie, choć jednego człowieka, który nią nie pogardza, i to człowieka, który nie jest pierwszym lepszym, ale samym Rwańskim, co pisuje wstępne artykuły

do „Siły narodu!“ Gdy się z nim bliżej zapozna, złoży wizytę jego żonie, a wtedy te panie inaczej będą ją traktowały. Tymczasem musi czytać bardzo uważnie i krytycznie, by mieć o czem mówić z nim oddając przeczytaną książkę. „Niech widzi, że ja myślę o tem, co czytam“.

Tak też czyniła Kazia, wiele razy skończyła wydaną jej przez Rwańskiego książkę. Prosiła o wyjaśnienie wątpliwych, czy nie dość zrozumiałych ustępów, robiła swoje uwagi, bardzo zazwyczaj trafne, dała mu się wkrótce poznać z właściwej strony swego umysłu, strony trzeźwości i praktyczności. Zauważył w niej także wielką niezależność sądu. Umysłowość Kazi wydała mu się niepospolitą, obiecywał sobie nie mało ze zdobycia jej dla swej sprawy.

Rwański był socjalistą...

Sprawie klasy wydziedziczonej, robotnika przeciw kapitaliście, bezrolnego chłopa przeciw właścicielowi wielkiej własności ziemskiej, bezdomnego przeciw kamienicznikowi, sprawie uciśnionych, wyzyskiwanych, biednych, skazanych przez wadliwy ustrój społeczny na wieczną nędzę, nędzę coraz cięższą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie wraz z nieustanną wyczerpującą i ogłupiającą pracą — poświęcił ten człowiek wszystko: cały swój czas, myśl każdą, wszystkie siły, upodobania, osobisty interes, nawet antypatje, urazy, nieraz to, co nazywają miłością własną, czy ambicją. Rwańskiego ambicja wyżej sięgała. On na

małostki, zajścia nie zważał, o pierwszeństwo z innymi się nie ubiegał. Pracował dla lepszej przyszłości z tem przekonaniem, że praca jego przyspieszy upragniony przewrót społeczny. Obok prac publicystycznych, obok poważnego dzieła czysto teoretycznej treści, nad którem już od lat kilku pracował, nie zaniedbał żadnej zręczności jaka mu się nadarzała, by wpływać żywem słowem i odpowiednim doborem dzieł na każdego, z kim zbliżył go przypadek. Rwański apostołował, nawracał na swą wiarę, jak niegdyś uczniowie Chrystusa. Żona pomagała mu po mistrzowsku w tem zadaniu. On umiał przekonywać, nauczać — ona organizowała, tworzyła coś w rodzaju partji osób oddanych pewnemu określonemu hasłu, uczyła solidarnego działania — posłuchu, karności. Umiała więcej, niż przekonać, umiała nastroić każdą jednostkę, podciągnąć ją pod sztandar i utrzymać przy nim, umiała wmówić szlachetność, poświęcenie, obowiązkowość, wyższość, niepospolitość, zdolność, potrafiła przeniknąć rodzaj umysłu, charakter, wyzyskać nawet wady, słabostki i pretensje, wszystkich ożywić swym zapałem, swą wiarą, łączyć przygotowane przez męża jednostki w jeden zastęp, którego sama była rozumnym i wdzięcznym przewódcą. Cały zastęp dziewic stał pod jej komendą, gotowy do boju, tylko przeciwnik był daleko... Z kim tu, w Genewie, mogły walczyć, kogo przekonywać, na kogo działać młode bojowniczki? Tu miały

możność tylko się uczyć, uczyć jaknajwięcej, by tam w kraju służyć idei.

Działo się jednak coś szczególnego w tym kole światłych, poświęconych wysokim celom niewiast. Z roku na rok musiała wypłynąć na wierzch jakaś intryga, jakieś nieporozumienie, jakaś wojna czy właściwie obława na kogoś, za coś co zrobił, lub powiedział, a nawet nieraz i nie zrobił i nie powiedział, a tylko był niesłusznie oskarżony, jak to widzieliśmy już z Kazią, na którą z chwilą przyjazdu jej do Genewy rozpoczęło się szczwanie za słowa, których nie mówiła i myśli, których nie miała. Rwański nie przykładał nigdy ręki do tych bezcelowych uganiań za „nieprzyjacielem“. O nagance za Kazią nie wiedział nawet wcale. To też gdy pewnego razu wszedłszy wraz z żoną do czytelni, zastał tam Potulińską, zagłębioną w czytaniu, przywitał ją serdecznie i rzekł, zwracając się do żony:

— Nie znasz, Kamilko, o ile mi się zdaje, koleżanki?

— Znam ze słyszenia — odrzekła spiesznie, przechodząc na drugą stronę pokoju i odwracając się do Kazi plecami.

Rwański patrzył na obie ze zdumieniem: Kazia schylona nad dziennikiem napróżno starała się ukryć rumieniec, który zalał jej twarz, czoło, uszy a nawet szyję. Nie wiedział, co to wszystko znaczy, przykro mu jednak było niezmiernie. Wyrobił sobie o Kazi wcale pochlebne zdanie i sam

sprowadził tu Kamilę, by ją z nową koleżanką zaznajomić i ani mu na myśl nie przyszło, że narazi dziewczynę na niegrzeczność ze strony własnej żony. Podał coprędzej ramię swej połowicy i skłoniwszy się Kazi uprzejmie, opuścił spiesznie czytelnię. Na ulicy zapytał żony, co ma przeciwko Potulińskiej? Kamila odpowiedziała ogólnikowo, że Kazia miała „w najwstrętniejszy sposób“ odzywać się o ich związku. Wobec tego Rwański, choć z żalem, postanowił nie znać więcej Kazi, a raczej unikać jej, dopóki swego postępowania pod wpływem książek i otoczenia nie zmieni. W tym celu oddał klucz od biblioteki w ręce gospodyni lokalu, prosząc, by go trzymała do rozporządzenia panny Potulińskiej, gdyż on wyjeżdża na wieś na czas jakiś.

Kazia po wyjściu Rwańskich wpadła nareszcie w gniew. Rwańska według niej przebrała miarkę. Dziecko nie powinno odpowiadać za winy rodziców: taka osoba jak Rwańska, powinna to przecież rozumieć! Niech tylko Dramowski przyjedzie, wtedy zobaczy ta jakaś pani, co ona, Kazia, jest warta. Wtedy wyjdzie na jaw jej udział w manifestacji 3 Maja i ratowanie Rajskiego! Przekonają się te panie, kim pogardzały tak długo, a wtedy... ona niemi pogardzi — nie będzie ich znała! żadnej! nawet i Rwańskiego! On najwięcej zawinił, bo przecież miał sposobność się przekonać,

że ona jest całkiem przeciwnych zasad, niż osławiony sędzia, jakież więc miał prawo... „właściwie on nie okazał jej nic“, reflektowała sama siebie, ale wydało jej się, że odtąd i Rwański zerwie z nią niezawodnie. Nazajutrz gospodyni lokalu potwierdziła jej przypuszczenie, pytając, czy nie potrzebuje klucza do biblioteki, gdyż pan Rwański na wieś wyjechał i jej klucze od szaf powierzył. Miała więc dowód. Chęć zdobycia Karola opanowała ją znów gwałtownie; ona musi im wszystkim pokazać co warta! Tylko Dramowski nie spieszył jakoś po nią. Musiał przecież słyszeć o tem, żę uratowała Rajskiego i była na manifestacji: ale czy wie, że do Genewy pojechała? O tem mógł nie wiedzieć. Dawniej Kazia nie pragnęła rychłego jego przyjazdu: chciała, by ją zastał bardziej oczytaną, wykształconą, wygadaną... teraz jednak, gdy spotkały ją tu same przykrości, zapragnęła co rychlej wydać się za niego, by odpłacić wzgardą za lekceważenie, którego tu doznała.

Zrazu postanowiła napisać do Karola, wpadła jednak na szczęśliwszy pomysł: oto zaprenumeruje „Siłę narodu“. Prenumeratę poszle na imię redaktora i w ten sposób zawiadomi go o swej bytności w Szwajcarji bez kompromitacji. Tak też uczyniła niezwłocznie i czekała. Tygodnik nadszedł do jej mieszkania pod jej nazwiskiem i nic więcej. Przyszedł drugi, trzeci i czwarty z kolei numer, wakacje miały się ku końcowi, Kazia zwąt-

piła o przyjeździe Karola i zamierzała przenieść się do Zurychu. W tym celu kupiła sobie niemiecko-francuski słownik, rozmówki pod tytułem: „Sprechen sie deutsch“ i zaczęła uczyć się po niemiecku, licząc, że do Nowego Roku będzie mogła jako tako rozumieć wykłady w tym języku.

Jesień nadeszła cicha, pogodna, piękna... Kazia wyrzekłszy się myśli o Karolu uspokoiła się znacznie. Wychodziła codzień błądzić nad brzegiem jeziora, patrząc na cudną toń przeźroczystej szafirowej wody, na dalekie góry Sabaudji, na mgłą niebieską owite brzegi Lemanu. — Wszędzie cisza i spokój... i ona już się nie troska, nie pragnie, nie czeka, już odpoczywa po naprężeniu w jakiem przeżyła ostatnie miesiące. Co ma być niech będzie, ona żadnych starań i zabiegów przedsiębrać więcej nie myśli. Życie samo jakoś się ułoży i przeminie... Ona nie jest w stanie zmienić swego losu, wyrwać się z fatalnego koła, które ją od innych odgradza niechęcią i uprzedzeniem... Po co walczyć, gdy się to na nic nie zdało?... Jest słońce, niebo, woda, jest chwila spokoju... to ma na dzisiaj — niechże choć tego użyje. Jutro niepewne... nie trzeba myśleć o jutrze. Tak nastroiła Kazię piękna jesień nad brzegiem Lemanu — i było jej z tem dobrze. Ale nie długo to trwało.

Koleżanki zaczęły się zjeżdżać potrosze. Jedna z pierwszych wróciła Bartska. Wykłady nie rozpoczęły się jeszcze, koleżanek zastała niewiele, po-

szła parę razy do Rwańskich, odwiedziła kogo mogła i zaczęła nudzić się widocznie, gdy ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie Kazię i zlecenie Rwańskiej, by tę biedaczkę spróbowała „uspołecznić“. Wybrała się więc pewnego dnia do Potulińskiej; ułożyła sobie naprędce, jak ma traktować koleżankę, której wypadało okazać łaskę i przebaczenie w imieniu swojem i towarzystwa. Zamierzyła przyjąć z odcieniem chłodu radośne powitanie, o którem nie wątpiła, dać jej uczuć, jak bardzo zawiniła względem całej „kolonji“, okazać jej wyrozumiałość przez wzgląd na mały stopień rozwoju, czy dojrzałości umysłowej, a potem dopiero przypuścić ją do łaski na widok skruchy i zmiany w zapatrywaniach, którą obiecywała sobie wysnuć z usprawiedliwienia się Potulińskiej.

Na wstępie jednak przekonała się, że wyrachowanie ją zawiodło. Kazia przyjęła ją nadzwyczaj chłodno, zaledwie tyle, że bez wyraźnej niegrzeczności:

— Usiądźcie proszę! — rzekła po obojętnem przywitaniu i milczała.

Bartska czuła się odrazu zakłopotaną.

— Cóż tam u was słychać — spytała wreszcie — nic nowego?

— Nic. Przynajmniej nic takiego, coby panią mogło zajmować — odparła jej Kazia lodowato.

— Jakże wam się podoba w Genewie? — zaczęła Bartska z innej beczki.

— Piękne jezioro... cudna barwa wody... góry...

— Ależ życie, ludzie, koleżanki?

— Życie jest drogie, kuchnia zbyt od naszej odmienna.

— I nie czujecie się tu osamotnieni?

— Bynajmniej: nie przyjechałam tu dla zawiązywania towarzyskich stosunków, tylko po naukę.

Bartska zrobiła minkę, która miała znaczyć, że przyjmuje do wiadomości.

Nastąpiła pauza. Kazia z obowiązku gościnności spytała wreszcie:

— Jakże pani spędziła wakacje?

— O! ja wybornie! Trzeba widzieć, gdy która z nas wraca do kraju po paru latach studjów! Rozchwytują nas, ugaszczają, urządzają przyjęcia. I nie dziw: my im przynosimy tyle życia, nadziei, światła... Uważają nas za przewodniczki postępu i...

— Jednak powróciła pani dość wcześnie — zauważyła Kazia.

— Ach! ja tak zatęskniłam za Rwańską! za nimi obojgiem zresztą. To są tacy wyjątkowi ludzie! ona zwłaszcza. Wy powiadacie, że wam stosunki towarzyskie niepotrzebne, niepożądane...

— Przepraszam panią — przerwała Kazia. — Tego nie powiedziałam, gdyby nawet tak było, nie wyznałabym czegoś podobnego gościom.

— Tak czy owak, pojęcia nie macie, co to

za strata, mieszkając w Genewie, nie poznać takiego domu, jak ich. Okazaliście na wstępie lekceważenie kobiecie, która zasługuje na największe uznanie, której wpływ uszlachetnia i oświeca dziesiątki innych, która skierowuje dążności całej masy młodzieży na właściwą drogę, która nie cofa się przed żadną ofiarą...

— Ależ pani! — przerwała Kazia. — Powiada pani, że ubliżyłam kobiecie, której wcale nie znam, chyba z opowiadania pani samej, do której nigdy jeszcze słowa nie przemówiłam!

Bartska zmieszała się na razie.

— Widzicie: nie przemówiliście do niej ani słowa, jak powiadacie, a ona zajmuje się wami, od kiedyście przyjechali, w sposób najprzychylniejszy, cieszy się z waszego tu przybycia, jako z objawu bardzo pomyślnego, poleca koleżankom zająć się wami, byście oprócz fachowej wiedzy, po którą przyjechaliście wyłącznie, jak powiadacie, wywieźli stąd wiadomości ogólniejszego znaczenia i równie wielkiej, jeżeli nie większej wagi dla społeczeństwa.

— Nie wiem, czemu to przypisać — odparła Kazia poważnie — ale widzę, że pani jest w błędzie i mnie z kolei w błąd chce wprowadzić. Pani Rwańska nie zajmuje się mną wcale, a jeżeli się zajmuje, o czem nie wiem, to w sposób wręcz przeciwny, niż pani twierdzi. Dziwię się, że będąc w tak blizkich z nią stosunkach, może pani coś podobnego utrzymywać.

— Nie rozumiem! — oburzyła się Bartska — za kogo wy mnie macie? Wiem przecie, co mówię i na jakiej zasadzie!

— Upewniam panią, że i ja wiem, na jakiej zasadzie odmawiam wiary temu, co tu słyszę.

— Jeżeli tak, jeżeli przychodzę, by panią oszukać, nie wiem, w jakim celu, to nie mam po co tu dłużej pozostawać.

Kazia milczała.

— Bądźcie zdrowi! życzę powodzenia! — rzuciła koleżanka, zawiązując z nerwowym pośpiechem woalkę i, pochwyciwszy parasol, wybiegła bez pożegnania.

Tchu jej brakło z oburzenia, pędziła jednak pod górę do Rwańskich, wbiegła na drugie piętro i szarpnęła za dzwonek. Raz, drugi. Nikt nie nadchodził. Muszą być w czytelni. Biegła do lokalu. Wpadła zaperzona do czytelni, spodziewając się zastać tam Rwańskich. Ale ich tam nie było: przy stole siedziała koleżanka Zajdlówna. Bartska potrzebowała się wygadać, zbliżyła się więc do siedzącej i podała jej rękę, potrząsając nią po przyjacielsku.

— Jak się macie; — przywitała ją poufale — już żeście przyjechali?

— Jak widzicie — brzmiała odpowiedź. — Cieszy was to, czy smuci? bo nie dziwi chyba?

— Ach, ja się martwię, gdy przyjeżdżają takie kreatury, co myślą tylko o sobie, o swoim dyplomie, bo nie o nauce nawet, i nic innego ine

umieją, jak innych nicować, że są niemoralne, fałszywe, kłamliwe, hipokrytki.

Małe, błyszczące oczki Zajdlówny śmiały się złośliwie. Domyślała się jakiejś plotki i chciała dać koleżance wygadać się.

— Przyjeżdżają najrozmaitsze typy: po trochu wszystkiego, co jest w kraju. Martwić się tem nie należy.

— Martwię się, że są w kraju podobne typy, do których nic dobrego, nic ogólniejszego nie przylgnie, które nie wierzą nawet w istnienie u innych czegoś wyższego, szlachetniejszego, czegoś poza najbliższym interesem, poza ukochanem „ja“, poza karjerą i stanowiskiem.

— Nie bierzcie tego zbytnio do serca: takich jest większość. Takiemi za lat kilka będą i te, co dziś składają na ołtarzu ludzkości... szumne frazesy.

— Ja rozumiem, że wy, coście mieli jakieś zajście z Rwańską, możecie, czy chcecie sądzić ją niesprawiedliwie...

— Ah! Obraza majestatu! tak mówcie odrazu! Któż się ośmielił?

— Obraziła nas wszystkich: mnie naprzód, zadając mi w oczy kłamstwo i chęć tumanienia jej nie wiadomo po co.

— Ależ kto? — Kto jest ta zuchwała?

— Żebyż to jeszcze k t o! ale ta córka sprzedawczyka, tego sędziego z Wintowa, co uwalnia

od kary moskiewskich łotrów, a Polakom najmniejszego przewinienia nie przepuści!

— Potulińska? No, mniejsza z tem, czyja córka, ale żeby miała pierwsza porywać się na potęgi tego świata, temu ja, choć nigdybym nie śmiała o kłamstwo was posądzać, wierzę z nadzwyczajną trudnością.

Bartska, przejęta oburzeniem, niezauważyła zawartej w tych słowach ironji.

— Powiedziała mi wprost, wołała z oburzeniem, że nie życzy sobie bywać w domu kobiety, co znajduje się „à la russe“ porzucając starego męża dla młodego kochanka, że ja chcę ją w błąd wprowadzić, zapewniając o dobrych intencjach Rwańskiej, względem przybywającej tu rok rocznie młodzieży; że nareszcie nie życzy sobie wchodzić do takiego towarzystwa, jakie tu zastała. Nie jesteśmy godne takiej Potulińskiej. Jak się wam podoba? — Zakończyła wreszcie oskarżenie Bartska.

— To już jest niesłychane zuchwalstwo! — rzekła Zajdlówna z komiczną powagą. Nie wiecie, kogo ona tu poznała? Was? Kogo jeszcze?

— Nie wiem. Może kogo z waszej paczki — odcięła jej koleżanka złośliwie, bo z tych, — co bywają u Rwańskich nie zna nikogo.

— I tak powiedziała? „A la russe?“.

— Proszę was: nie powtarzajcie tego słowa. Jako Polka nie powinniście tego porównania, choć tak niewłaściwego, podnosić.

— Pocóż wy to robicie?

— Ja was upraszam, przez życzliwość dla mnie, nie powtarzajcie tego wyrażenia!

— Ależ to bardzo dowcipne! — śmiała się Zajdlówna.

— Ja uważam, że bardzo głupie. A gdyby nawet było dowcipne, jest w każdym razie nie na miejscu.

— Zapewne! Rwańskiej przyjemności to nie zrobi.

— Przyrzeczcie mi, że nie powtórzycie!

— Ależ dobrze! Wy wiecie, że co się tyczy miłości, jestem za absolutną swobodą rozporządzania swoją... ręką etc. i tego rodzaju zarzutów, jak Potulińskiej, nie pochwalam.

Bartska uspokoiła się na razie i miała się już ku wyjściu, gdy do czytelni, jak codzień o tej godzinie weszła Kazia i podążyła wprost ku dziennikom.

— Chodźmy stąd! — szepnęła Bartska Zajdlównie — nasze towarzystwo nie jest pożądane.

— To idźcie! — odrzekła wesoło. — Mnie tego nie powiedziano.

— Jak chcecie! Ja tu nie zostanę.

Poszła rozpowiedzieć Rwańskiej, jakoby Kazia poznajomiła się z Zajdlówna, i zaraz zaczęła wobec niej, Bartskiej, nicować wszystkie koleżanki: mówiła, że nikogo znać nie chce z kliki tej pani, „à la russe“ itp.

A Kazia tymczasem czytała najspokojniej „Ku-

rjerka", nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność Zajdlówny. Ta pierwsza przerwała milczenie.

— Pozwólcie, koleżanko, że się wam narzucę ze swoją znajomością, chociaż, o ile mi wiadomo, nie życzycie sobie stosunków z koleżankami. Jestem Zajdlówna; mogliście o mnie nie słyszeć. A wy Potulińska? Słyszałam już o was.

— Bardzo miło mi was poznać. Nie wiem tylko, dlaczego macie mię za takiego odludka? Przeciwnie — jadąc tu, obiecywałam sobie zaznajomić się ze wszystkiemi Polkami, studjującemi wraz ze mną. Przekonałam się jednak, że to rzecz niełatwa.

— Kogoż poznaliście dotąd?

— Bartskę tylko; i ta rewizytowawszy mię po półrocznem zapomnieniu, wyszła odemnie bez pożegnania.

— Kapitalna! cóżeście jej powiedzieli tak okropnego?

— Nic takiego, coby aż obrażać ją mogło.

— Ale cóż mianowicie? Że nie pragniecie żadnych tu znajomości?

— Nie mówiłam tego.

— Więc, że uważacie ją za osobę nieprawdomowną, alias łgarza?

— Tego niezdolna byłabym powiedzieć komuś we własnym domu.

— Ale to, że Rwańska znalazła się „à la russe" musieliście przecie powiedzieć!

— To już najmniej: nawet mi przez myśl nie przeszło! Z jakiegoż powodu miałam się wyrazić w podobny sposób?

— Z powodu jej powtórnego małżeństwa.

— Ani mi w głowie nie postało; upewniam was. Związek legalizowany, czy nie, jest dla mnie zawsze prawnym, skoro został zawarty pod wpływem uczucia.

— Zawsze jednak musieliście wyrzec coś w tym rodzaju. Skądżeby Bartska to wzięła?

— „A la russe?“.. Dawniej, jeszcze w pierwszych dniach mojego tu pobytu, Bartska mówiła mi o tem małżeństwie i ja rzeczywiście wówczas powiedziałam, że słyszałam o podobnych faktach wśród Rosjan; ale przedewszystkiem nie użyłam wyrazu: „à la russe“; powtóre dziśbym i tego nie powiedziała.

— To jest paradne! Więc ona własny swój pomysł głupim nazywa! Cóż dzisiaj między wami zaszło.

— Ach! teraz dopiero rozumiem, dlaczego wszystkie koleżanki tak mię wyraźnie unikały, dlaczego Rwańska wyrządziła mi wprost zniewagę i Rwański ze mną zerwał. Bartska musiała im rzecz po swojemu przedstawić.

— Nie myślcie znów, żeby jej tam tak już ściśle wierzono, chyba wtedy, gdy im to na rękę.

— Jakiż cel, proszę was, jej kłamać, a im — przyjmować świadomie kłamstwo za prawdę?

— Cel? Ona kłamie bezwiednie, tak, jak sło-

wik śpiewa, lub żaba skrzeczy. Jest histeryczką, potrzebuje wrażeń i awantur.

— Ależ oni? wszystkie one nakoniec? Poco jej słuchają, poco przedewszystkiem kierują się wedle jej słów?

Zajdlówna parsknęła śmiechem.

— Poco? Dla podtrzymania aureoli!

— Nie rozumiem.

— Bardzo wam wierzę; to jest dość skomplikowane: pani Rwańska opuściła męża, przyjechała tu z kochankiem... bardzo pięknie! Znalazło się spore gronko osób, które okazało jej z tego powodu przesadną admirację, w imię idei wolnej miłości. Pani Kamila polubiła swą rolę admirowanej, podziwianej itd. Ale wkońcu oswojono się z tym faktem i przestano składać jej hołdy za to jedynie, że męża porzuciła. Otóż trzeba jej, dla podtrzymania się na stanowisku bożyszcza, by ktoś od czasu do czasu cisnął na nią kamieniem za ów czyn bohaterski, za ideę, za poświęcenie. Bo trzeba wam wiedzieć, że ona dla idei opuściła Starockiego. Otóż wyświadczyliście jej ogromną usługę, dając pretekst do pozowania na ofiarę, męczennicę idei, bohaterkę.

— Wytłómaczcie mi, ponieważ tak ich znacie, poco Bartska przyszła mi oznajmić nie dalej, jak przed godziną, że Rwańska troskliwie się mną zajmuje i poleca mię innym koleżankom?

— A wy jej co na to?

— Powiedziałam wprost, że jest w błędzie,

rzecz ma się całkiem przeciwnie, że wiem o tem napewno.

— Ależ to nieocenione! Rwańska chciała was przywrócić do swej łaski, przebaczyć, zapomnieć krzywdy w imię ogólnego celu, dla waszego własnego dobra... A wy odrzuciliście niebacznie wspaniałomyślną dłoń, czy skrzydło. Toście sobie nabyli nieprzejednanego wroga i to wroga potężnego, Napoleona na maleńką skalę...

— Bardzo mi przykro...

— Pocieszcie się tem, że mnie bardzo przyjemnie. Chodźcie do mnie! Przyjechało już kilka koleżanek, które nie wezmą wam za złe tego, co zaszło. Zbiorę je dziś do siebie i ubawimy się wybornie.

Poszły obie ku mostowi, przecinającemu rzekę Arwę. Po drodze Zajdlówna wstąpiła do kilku domów, zapraszając mieszkające tam koleżanki na herbatę. To samo czyniła i po drugiej stronie rzeki. Widocznie koleżanki, nieżyczliwe Rwańskiej, obierały sobie siedzibę po obu stronach Arwy, w blizkości Zajdlówny, która była niejako głową opozycji. Zwołane przez koleżankę, stawiły się w liczbie siedmiu; wiedziały, że miano im coś zabawnego rozpowiedzieć, wypytywały więc ciekawie Zajdlównę, co zaszło nowego.

— Czekajcie! — mówiła gospodyni — Hela jeszcze nadejdzie.

Nareszcie zjawiła się oczekiwana, nie sama, lecz w towarzystwie studentki karykaturalnie

brzydkiej, co tembardziej biło w oczy, że Hela Kołowiczówna była, a raczej mogła być prawie piękną, gdyby nie straszliwa chudość, która zmieniała ją w rodzaj szkieletu, ubranego w czarną szatę i obdarzonego czarnemi iskrzącemi gorączkowo oczami.

— Chwała Bogu! są i suchoty... kieszonkowe. — Witała ją wesoło gospodyni. — No siadajcie. Proszę o wybór przewodniczącej i proponuję na ten urząd ze wszech miar godną tego zaszczytu koleżankę Zajdel. Posiedzenie otwarte, koleżanka Zajdel ma głos.

— Panie i panowie! (zawsze w naszej myśli i sercu obecni). Oto do grona naszego zapukała dziś nieszczęsna koleżanka Potulińska, prześladowana za przestępstwo obrazy majestatu, popełnione przeciwko osobie pani Rwańskiej nie uczynkiem lub mową, ale tylko myślą. Wyjęta z pod praw, odtrącona, oszkalowana i zgnębiona wyciąga ku nam błagalne dłonie prosząc ratunku, schronienia, opieki i bratniego uścisku. Przyjmijmy ją do naszego koła i niech nam będzie siostrą we wspólnej niedoli!

Koleżanki otoczyły Kazię i zaczęły ją wypytywać, Zajdlówna jednak nie dopuściła do tego i komentując po swojemu rozpowiedziała całą rzecz w formie sądowego oskarżenia przeciw Kazi. Wtedy ogłosiła, że oficjalna część posiedzenia skończona. Panny, ubawione całem tem zdarzeniem, znów jęły Kazię wypytywać, skąd przy-

jeżdża? co studyuje, gdzie mieszka? Kazia po raz pierwszy od przyjazdu uczuła się w otoczeniu jeżeli nie życzliwem, to przynajmniej nie wrogiem, jak dotąd. Toteż chętnie odpowiadała na pytania, wyznała nawet, czegoby w innych okolicznościach z pewnością nie uczyniła, że za granicę wypędził ją z domu przypadek: tu rozpowiedziała o nieudanem aresztowaniu Rajskiego, korespondenta „Siły narodu“, jak go ostrzegła, jak zaczęto ją śledzić, otwierano listy, badano i t. d. Ubarwiła całą sprawę bardzo zręcznie, cytując rozmowę z sędzią śledczym po ucieczce Rajskiego.

— Co? Jak powiadacie? — Podchwyciła Zajdlówna. — Uratowaliście kogoś z „Siły narodu?“ Byliście prześladowani? Słuchajcie! Wyście chyba tego Bartskiej nie mówili?

— Nie. Ona tak się z całej siły chwaliła sobą, że ja nie miałam ani czasu, ani ochoty podnosić swojej maleńkiej zasługi.

— No, to się Rwańska złapała! Wyobrażam sobie, jaką zrobi minę, gdy się rozgłosi, że wyście się tak gracko spisali! Wiecie co, moje panie! Zdobędźmy się raz w życiu na bohaterski wysiłek, i przemilczmy o historji tego Rajskiego aż do zjazdu, a wtedy puścimy wiadomość pomiędzy facetów. Toż dopiero Rwańszczyzna będzie się wściekała, gdy Potulińską będą chłopcy wyróżniali!

— Przysięgamy! — ozwały się głosy — będziemy milczały do zjazdu!

— Ale!... sam redaktor „Siły narodu“ przyjeżdża podobno na zjazd w tym roku — ozwała się któraś.

— Powiedzieć mu na wstępie, że jest Potulińska.

— Skąd wiecie, że przyjedzie?

— Bartska się z nim widziała.

— No, to jeszcze niepewne!

— Przyjedzie. Zapowiedział się z pewnością.

Sprzeczka trwała dość długo. Nikomu przez myśl nie przeszło, że Kazia słucha ich z bijącem sercem i niewymowną radością.

Nareszcie rozmowa wzięła inny obrót, zaczęto mówić poważnie i spokojnie o egzaminach, tezach, o przyszłej pracy dla kraju.

Zajdlówna roznosiła herbatę i ciastka, Hela Kotowicz zapaliła papierosa i puszczając kłęby niebieskiego dymu patrzała gdzieś w dal własnej zadumy, nie mięszając się do rozmowy. Szpetna jej towarzyszka nie spuszczała z oczu tej twarzy, którą straszliwa chudość odarła z miękkich linij i zaokrągleń właściwych temu wiekowi! a nieznany jakiś smutek powlókł przedwczesną żałobą.

Rozmowa przeszła na wielce interesujący temat małżeństwa: jedna utrzymywała, że stara panna, to coś w rodzaju ślepo urodzonego lub głuchoniemego. Inna zapewniała, że w celibacie nie dochodzi się do pełni sił intellektualnych. Je-

szcze inna, że odradzanie się wyczerpuje właśnie te siły. Zajdlówna zauważyła, że cnota zestarzała traci niepowrotnie swą wartość. Szpetna koleżanka zakończyła, cytując jakiegoś autora: *Elles sont useés sans avoir servi.* Kazia zaproponowała porównać wartość umysłową panien i mężatek, jakie się w życiu znało.

— Ach! po co? — protestowała Zajdlówna — mędrsze czy głupsze, świat inaczej traktuje mężatkę, niż pannę, jak inaczej gada z kapitalistą, niż z wyrobnikiem. Toteż radzę wam, panny, kończcie coprędzej studja i wynoście się za mąż. Fach w ręku... to posag. Człowiek, gdy ma pewność, że chleba w domu nie zbraknie, to się i żenić nie boi. Kobieta, co potrafi zarobić na swoje utrzymanie, jest już partją.

Kazia słuchała bardzo uważnie rozmowy w kwestji tak żywo ją obchodzącej. Powoli wydało się, że każda prawie z tych pań jest zaręczona i po ukończeniu studjów zaraz za mąż wychodzi. Nie chciała dla siebie tak długiej zwłoki; miała już lat dwadzieścia dwa z górą. Za cztery lata będzie starą panną. Według niej powinno się młodo za mąż wychodzić, póki się jest świeżą i ładną. I tak już się bardzo spóźniła. Ale Karol przyjedzie i... weźmie ją zapewne, nim ona skończy nauki...

Tę miłą nadzieję wyniosła z bytności u Zajdlówny, wraz z pocieszającem przeświadczeniem, że nie wszystkie koleżanki nią gardzą, że przeciwnie,

umiała wzbudzić w tym kółku pewną dla siebie sympatję.

Zaczęły się bardzo miłe czasy dla Kazi. Nowe znajome wyróżniały ją demonstracyjnie, wkrótce wszystkie nazywały ją po imieniu, zapraszały do siebie i u niej bywały gromadnie. Ośmielona takiem postępowaniem starszych koleżanek nie zważała już na demonstracje „Rwańszczyzny“, wchodziła do czytelni z podniesioną głową, siedziała tam, wiele jej się podobało, żądała książek od Bartskiej, nie zwracając uwagi na suchy ton bibliotekarki i znaczące jej minki.

Bartska, a za nią i inne koleżanki donosiły Rwańskiej o „zuchwalstwie“ Potulińskiej, która nietylko do winy się nie poczuwa, ale wprost lekceważy sobie opinję publiczną, i stawia się wobec nich wszystkich „wyzywająco“.

Rwańska brała ją stale w obronę:

— Cóż ma robić? Trudno, żeby się przed nami w mysią dziurę chowała. Może choć tyle zrozumiała, że my nikogo za jego opinje nie prześladujemy: nie zbliżamy się do takich osobników, których poglądy zbyt się od naszych różnią, by mogło nastąpić porozumienie, ale też nie rzucamy kamieniem na każdego, kto myśli odmiennie od nas.

Taki wyrok Rwańskiej spowodował pewnego rodzaju złagodzenie w objawach niechęci skierowanych przeciwko Kazi; nie trwało to jednak długo.

Przy końcu listopada Rwański otrzymał list

od Dramowskiego. Karol zapowiadał swój przyjazd na koniec grudnia. Rad był, że może oderwać się na parę tygodni od zajęć:

— „Mam wielką pomoc w Rajskim, który mi spadł jak z nieba: miano go aresztować w Wintowie dzięki przełapanej korespondencji panny Potulińskiej. — Musieliście ją poznać w Genewie“.

— Patrz, Kamilo! — zawołał Rwański uradowany. — Ta Potulińska pisała korespondencje do „Siły narodu“. — Nie spodziewałaś się tego po niej! — Tu podał żonie list Dramowskiego.

Kamila czytała bardzo uważnie, zastanawiając się nad każdem słowem: gdyby rzeczywiście pisywała do tego dziennika, niezawodnie pochwaliłaby się z tem przed kimkolwiek. Wprawdzie toby wyjaśniło przyczynę pobytu jej za granicą: oczywiście przyłapanie takiej korrespondencji narażało ją na badania, śledzenia, stały nadzór policji, więc wolała wyjechać za granicę. — Ależ gdyby tak było, głosiłaby o tem niezawodnie całemu światu. — Zatem widocznie Rwański się myli.

— Ja z tego wcale nie widzę — rzekła do męża, żeby ona pisywała do „Siły narodu;“ dziwię się nawet, że w ten sposób rozumiesz słowa Dramowskiego, musiała do jakiejś przyjaciółki, czy kuzynki pisać pod wielkim sekretem, że zna, a może tylko widziała korespondenta zagranicznego pisma, list został na poczcie otwarty i Rajski omal tego więzieniem nie przypłacił.

— A może! Spytamy Dramowskiego, jak przyjedzie — odrzekł z roztargnieniem. — Do wieczora zapomniał o całej sprawie.

Rwańska nie zapomniała.

— Miejcie się trochę na baczności wobec Potulińskiej — nakazywała koleżankom. — Nie wiem, jakim sposobem naraziła jednego z korespondentów „Siły narodu“ na rewizję; miano go nawet aresztować, ale umknął szczęśliwie. Zapewne stało się to przez nieostrożność tylko, sądzę jednak, że lepiej nazwisk przy niej nie wymieniać, zwłaszcza Dramowskiego — on ma w rosyjskim zaborze majątek.

Zaszumiało jak w ulu między studentkami: biegały jedna do drugiej, wieść krążyła z ust do ust: „Wydała korespondenta“, „Zdradziła korespondenta“, „Naraziła“, „Wykryła“, „Wskazała korespondenta“. A stąd: „Ostrożność“, „Uważać“, „Wystrzegać się“, „Unikać“.

Koleżanki Hofenberg, Hazenflus i Perlenstein zaczęły się troszczyć o swoje osoby i postanowiły usunąć listę członków „Towarzystwa wzajemnego kształcenia“ z czytelni, choć towarzystwo nie było tajne. W audytorjum zbierano się gromadkami i szeptano, popatrując na Kazię, gdy wchodziła do czytelni, urywano raptem rozmowę, potrącano się łokciami, wskazując ją wzrokiem, nareszcie postanowiono ostrzedz Zajdlównę i jej „paczkę“ o niebezpieczeństwie zbliżania się z Kazią. Bartska z wyskokiem podjęła się posłannictwa.

Zajdlówna wysłuchała poważnie całej plotki, udała, że wierzy, dopytywała, czy to jest pewne, czy Rwańska może ręczyć, że tak było, poczem serdecznie podziękowała Bartskiej za przestrogę, przyrzekając ostrzedz resztę koleżanek. W obawie jednak, by się cała prawda przed zjazdem nie wydała, przemilczała o całej sprawie. „Niech się złapie na własnej intrydze“, myślała złośliwie.

Bartska rady sobie dać nie mogła, widząc jak koleżanki z paczki Zajdlówny traktują Kazię po dawnemu, nawet, jak się jej zdało, serdeczniej i poufalej. Spróbowała powtórzyć Heli Kołowiczównie historję o wydaniu korespondenta, ale ta cisnęła jej w oczy:

— To łgarstwo — i to jeszcze paskudne łgarstwo!

Bartska nie rozniosła tej odpowiedzi po swej parafii. Hela była znaną między koleżankami z tego, że mówi tylko to, czego jest całkiem pewną. Bartska sama zawahała się w swem przekonaniu wobec kategorycznego zaprzeczenia Heli, ale nie chciała, by inne zaczęły wątpić o winie Potulińskiej.

Demonstracje przeciwko Kazi nie ustawały, tylko odbijały się jak groch o ścianę o obojętność tej, dla której były obmyślane. Bartska wysilała się na coraz to nowe pomysły.

Przy końcu grudnia zaczęto szeptać w obecności Kazi:

— Wiecie, N. przyjedzie! Wiecie O. P. będzie

z pewnością na zjeździe. Ma podobno być... — resztę szeptano do ucha, oglądając się na nią, jakby w obawie, że mogła dosłyszeć.

— W poniedziałek przyjeżdża Dramowski! — krzyknęła naraz Bartska, wpadając zdyszana do czytelni.

— Szsz... — ozwano się zewsząd i wszystkie oczy zwróciły się na czytającą przy oknie Kazię.

Ona drgnęła na te słowa. „Więc przyjedzie!“ Złożyła śpiesznie gazetę i wyszła, nie patrząc na resztę towarzystwa.

Koleżanki czas jakiś pozostawały w osłupieniu.

— Widzieliście! — ozwała się jedna.

— Co za nieostrożność! — ubolewała druga!

— Ach, ta Bartska! ta Bartska!

— Nie zauważyłam jej! — tłomaczyła się Bartska.

— Co teraz z nami będzie? — biadała Hofenberg.

— Czy to na nią w razie czego nic się nie znajdzie? Prenumeruje „Siłę narodu“, czyta „Czerwony sztandar“ — uspokajała Perlenstein.

— Możeby lepiej poznajomić się z nią, żeby nam nie szkodziła — proponowała Kazenflus.

— Ależ, broń Boże! Cóż znów! Nam nic nie będzie — opamiętywała je Bartska. — Tylko Dramowskiego może to narazić. Powiem Karolowi, koro przyjedzie, żeby się miał na baczności.

Całe zdarzenie doszło tegoż wieczora do uszu Rwańskiej.

Ta zrozumiała scenę doskonale: Kazia musiała znać Dramowskiego i musiała rzeczywiście pisać do „Siły narodu“. Nie pozostawało, jak wycofać się z poprzedniej insynuacji. Zaczęła więc ubolewać nad nieoględnością koleżanek, że nie mając wyraźnych dowodów przeciwko Potulińskiej, okazywały jej nieufność, traktowały ją jak osobę podejrzaną. Nie mogłaby sobie nigdy darować, gdyby się okazało, że podała kogoś w niesłuszne podejrzenie i czułaby się w obowiązku nagrodzić tej osobie za jakąbądź cenę, doznaną wskutek podobnego nieporozumienia przykrość. Uprasza więc koleżanki, by nie dały niczem uczuć Potulińskiej. że jej nie ufają, lub kryją się z czem przed nią. Co innego jest zachować ostrożność względem kogoś, kto przyjechał bez żadnych z kraju poleceń, a co innego ubliżać mu „bez podstawy“. Takie postępowanie koleżanek zmusi ją, Rwańską do zrobienia pierwszego kroku, do zbliżenia się z Potulińską, która skądinąd nie zasłużyła na to oczywiście.

Panny podziwiały szlachetność i delikatność uczuć tej niepospolitej kobiety. Każda obiecywała sobie w duchu zagładzić swe winy względem Kazi, nie było to jednak rzeczą łatwą: Potulińska nie zjawiała się więcej w czytelni.

Wobec zbliżającego się zjazdu niebywałe ożywienie panowało wśród wszystkich studentek.

Zbierano składki na przyjęcie delegatów i innych towarzystw, szukano sali dla posiedzeń, obliczano gości, zamawiano pokoje dla przyjezdnych, obiady, a obok tego kupowano bluzki, płaszczyki, kapelusze, rękawiczki, trzewiki. Szyto, przerabiano, odświeżano się, jak kto mógł. U Rwańskich utworzyło się coś w rodzaju rady nieustającej. Kamila należała do komisji przyjęcia zjazdu, a właściwie była sama komisją: o wszystkiem myślała, wszystko przewidziała, wszystkiem kierowała. Co chwila przychodził ktoś po radę lub rozporządzenie: kogo z przyjezdnych można lokować po dwóch w jednym pokoju? która z koleżanek kogo ma zapraszać na kolacje? kto z kim ma siedzieć przy wieczerzy? komu wysłać zaproszenia na zjazd? Rwańska wszystkich znała, na wszystko znalazła stosowną odpowiedź, o nikim nie zapomniała. Pamiętała też i o Kazi.

— Należałoby ją zaprosić. — Mówiła z odcieniem wahania w głosie.

— Ja nie widzę potrzeby! — protestowała Bartska. Posiedzenia nie są wprawdzie tajne, ale nie ma racji wprowadzać na zebranie osób niesympatyzujących ze zjednoczeniem.

— Przepraszam Was — odrzekła Rwańska poważnie: my nie wiemy wcale, czy ona zë zjednoczeniem sympatyzuje, czy nie — nie mówiła nam o tem nigdy. O ile mi wiadomo, nie aprobuje mojej osoby, a ja tego przy rozdawaniu kart wstępupod uwagę brać nie mogę. Przeciwnie,

sądzę, że jest to naszym obowiązkiem, dać jej możność poznania ducha obecnego pokolenia. Wyrządzilibyśmy jej wprost krzywdę, pozbawiając ją takiej sposobności. Byłoby nawet lepiej nie posełać karty pocztą, a wręczyć jej osobiście w czytelni.

— Nie przychodzi tam od pewnego czasu.

— Widzicie! Pewnieście ją czem obraziły? Kto wie — może najniesłuszniej! Ależ nie: to, od kiedy dowiedziała się o przyjeździe Dramowskiego.

— Andrzej może pójść do niej. Mój drogi — ozwała się do męża, siedzącego w przyległym pokoju nad pliką papierów, zdaje mi się, że wypada pójść do Potulińskiej i namówić ją, by przyszła na wigilją. Obawiam się, że inaczej nie przyjdzie. Może zechcesz zanieść jej kartę wstępu.

Rwański z wielką radością podjął się zlecenia. Idąc, rozmyślał, jaka ta Kamila nieskończenie dobra i szlachetna: oto w obawie, że Potulińska straci sposobność zbliżenia się do ludzi, których za sól ziemi niejako uważa, odłożyła na bok osobistą urazę i pierwsza wyciąga do niej dłoń pojednania. Jak cieszył się, że może nareszcie puścić w zapomnienie urazę osobistą i pociągnąć tę dziewczynę ku swoim ideałom. On dawno czekał takiej sposobności, ale przez wzgląd na żonę nie mógł zbliżyć się do Kazi, aż oto ona sama, ta droga Kamila — przebaczyła wreszcie przez wzgląd

na dobro Potulińskiej. Ach! Kamila! Kamila! Co to za skarb, co za szczęście dla niego!

Taka kobieta! Kochał ją tak żywo, jak gdyby się wczoraj pobrali. Wzruszał się na myśl o niej, rozrzewniał na wspomnienie krzywd, jakich niegdyś doznawała od Starockiego. Kochał, kochał bez granic, uwielbiał, tonął w tem uczuciu i był szczęśliwy nad wyraz. Kamila! dźwięczało mu w sercu radośnie, gdy wchodził do pokoiku Kazi. Jakże był wdzięczny tej Kamili za siebie i za Kazię i za ludzkość całą...

Kazia nie wiedziała o tem, że bez karty wstępu nie mogła w zjeździe brać udziału. Była nieskończenie wdzięczną Rwańskiemu za pamięć o niej, poszła też zaraz pochwalić się przed Zajdlówną, że sam Rwański na zjazd ją zaprosił.

— To doskonałe! — zaśmiała się Zajdlówna. Wam się zdaje, że im o Was chodzi! W tem coś jest: musieli coś zwąchać, czegoś się dowiedzieć i obracają chorągiewkę. Ktoś im musiał o was pisać, lub mówić, ktoś, z kim oni się liczą. Teraz będą was wkrótce na ręku nosili.

— Ależ Rwański zawsze był dobry dla mnie, broniła Kazia dawnego swego mistrza.

— Dobry? Pantofel! Nie śmiał spojrzeć w waszą stronę, gdy mu żona zabroniła. On nie odważy się nawet być dobrym bez wyraźnego upoważnienia Kamili! Ach, jak ja ich znam! Przekonacie się, że was ktoś popiera: oni! wyobrażam sobie, coby gadali, gdybym ja naprzykład

prosiła komisję, o kartę dla was! Nie! Musiał Rajski o Was pisać.

— „Dramowski, nie Rajski“ — myślała Kazia z radością. „Jutro przyjedzie!“ Była prawie przekonaną, że się wkrótce oświadczy. Wróciła do domu i czekała nie oddalając się na krok z mieszkania.

Oczekiwała go również i Bartska, w tem przekonaniu, że Karol o nią się stara, czy się nawet w niej kocha. Zkąd powstało podobne przekonanie? Oto miała zwyczaj, wracając z wakacji zatrzymywać się przez parę dni w Chamowie. Zaglądała podczas swego tam pobytu do redakcji „Siły narodu“. Tych wakacyj po raz pierwszy udało jej się widzieć z samym redaktorem, wręczyła mu nawet dość interesującą korespondencję, którą Karol z wdzięcznością przyjął i milutką korespondentkę w rączkę ucałował. Dla niej było to aż nadto wystarczającem, by wysnuć cały romans. Zwierzyła się przed Rwańską ze swemi nadziejami. Ta, jako rozporządzająca przygotowaniami do wieczerzy naznaczyła jej miejsce obok Karola. Bartska protestowała niezbyt szczerze przeciwko podobnemu narzucaniu się, wkońcu jednak przystała, i uściskawszy przyjaciółkę serdecznie, wróciła do domu ubierać się. Miała podbić Karola za pierwszem wejrzeniem, musiała więc naradzić się ze zwierciadłem. Ono jej powiedziało, że blondynkom najładniej w czarnem. Włożyła czarną skromną sukienkę, wielki czarny

kapelusz ze strusiem piórem, czarną aksamitną pelerynkę i boa ze strusich piór okręciła wkoło alabastrowo białej szyi — wyglądała rzeczywiście uroczo. Mała jej twarzyczka o delikatnych rysach zarysowywała się wdzięcznie na tle wielkiego skrzydła kapelusza. Przypominała portrety z ośmnastego wieku, białe, wymuskane, ale w swoim rodzaju ładne. Zadowolenie dodało jej słodkiego wyrazu. Karol nie będzie mógł oprzeć się urokowi jej osoby, chodziło więc tylko o to, by ją spotkał na ulicy tak ubraną. Wyszła z domu i zaczęła się kręcić po całej dzielnicy od koleżanki do koleżanki. zajrzała parę razy do czytelni, nareszcie wpadła na myśl zdobycia opłatków do wieczerzy.

Goście zjeżdżali się powoli. Jedni oznaczali dzień i godzinę przyjazdu, tych oczekiwał Rwański na dworcu kolejowym, inni, znający Genewę udawali się wprost do czytelni, gdzie koleżanki, wybrane przez komisję, witały gości i wskazywały każdemu przeznaczone dlań mieszkanie. Dramowski udał się wprost do Rwańskich, nie zastał ich w domu: ona doglądała z Ćwierciakiewiczową w ręku, przyrządzania „barszczu z uszkami“. on poszedł po sztandar „towarzystwa polskiego“ dla przyozdobienia niem sali. Karol zawrócił do czytelni. Tu koleżanka Perlenstein przyjęła go z wielką powagą, oficjalnym tonem, jak świeżo awansowany urzędnik i wskazała adres najętego dlań pokoju. Dramowski poszedł wypocząć po drodze; wchodząc na ulicę Petits Philosophes natknął się

niemal na pędzącą drobnym kroczkiem, zdyszaną i zarumienioną Bartską, która wracała ze zdobytemi u zakrystjana opłatkami.

— Ach! Dramowski! nareszcie! — witała go, siląc się na swobodę. — Widzicie, co zdobyłam — zagadywała. — Opłatki! To przypomni każdemu z nas kraj i rodzinę.

Karol mimowoli wspomniał o swem rodzeństwie. Zazwyczaj usuwał ich z myśli, starał się zajmować rzeczami obojętnemi, w ten tylko sposób utrzymywał swe nerwy w pożądanej równowadze.

Słowa Bartskiej dotknęły zapomnianej, a zawsze bolącej rany.

— Pragnęłam bardzo zobaczyć się z wami... — dzwoniła dalej srebrnym głosikiem — boję się, czy nie powiedziałam czego niepotrzebnie... Uważacie, ja wiem, że nie można tak przed pierwszym lepszym wymawiać waszego nazwiska...

— Tu, między członkami zjednoczenia, nie sądzę, żeby mi to w interesach szkodzić mogło.

— Jednakże jest tu niejaka Potulińska, gdy powiedziałam raz przy niej: „Dramowski przyjedzie“, zerwała się, wyleciała z czytelni cała czerwona i więcej nie przychodzi... Nie wiem, coby to miało znaczyć?

— I ja nie wiem — odrzekł z uśmiechem — ale w każdym razie dziękuję pani stokrotnie za ostrzeżenie. — Tu wycisnął pocałunek na malu-

tkiej rączce. — Gdzież ona mieszka ta Potulińska? — spytał wesoło.

Dziewczyna wskazała mu adres i pomknęła, uszczęśliwiona z pocałunku i z wrażenia, jakie uczyniła swem ostrzeżeniem i swemi opłatkami.

Karol szedł do Kazi, rozmyślając po drodze o bracie i siostrze, osadzonych w domu obłąkanych, grożącem mu niebezpieczeństwie i o żeniaczce, jako o środku, zabezpieczającym go od smutnego końca, jaki spotkał tych dwoje. Przyjechał z zamiarem oświadczenia się Kazi, nie myślał jednak uskutecznić tego zamiaru pierwszego dnia bytności swej w Genewie. Nie pomyślał nawet, przyjechawszy, że może zaraz złożyć wizytę swej wybranej. Ale Bartska powiedziała mu coś bardzo miłego, coś, czemu się dziwił, i z czego cieszył się zarazem. Przypuszczał, że się Kazia w nim kocha. Bo czegóżby inaczej czerwieniała i uciekała na wspomnienie o nim? Oczekuje go zapewne z niecierpliwością. Miłe, kojące uczucie wlewało mu się w duszę, na myśl, że jest ktoś, kto na niego czeka, pragnie go, tęskni za nim... „Stanowczo jestem stworzony do życia rodzinnego“, myślał. Zaczął rozmyślać o Kazi: „będzie mi recytowała rozmaite programy, cytowała powagi i powtarzała wyciągi z moich własnych artykułów“. Dawniej na tę myśl uczuwał pewien niesmak, dziś jednak nie wadziło mu to oczekiwane politykowanie studentki: „Dla niej wszystko jest rzeczą nową, cóż dziwnego, że zechce się przedemną po-

chwalić z tem, co zdobyła, jak niegdyś z kwiatkami!“ W miarę, jak zbliżał się do jej mieszkania, wypogadzało mu się coraz bardziej w duszy. Tak doszedł aż do Chemin du Cygne. Maluczki zaułek z kilku niewielkiemi domkami teraz nawet, wśród zimy, przedstawiał się malowniczo; bluszcze. tuje i cyprysy przysłaniały białe ściany domków i płoty maluczkich ogródków, cicho tu było i uroczo. Oto wśród wysokich świerków szemrze fontanna w formie łabędzia, naprzeciwko niej ogródek pełen kwiatów: białe i blado-liliowe hebbory zapełniają spóźnionem swem kwieciem małą grządkę przed oknem, w oknie na piętrze wspaniały storczyk zwiesza bladawe liście ku ziemi. „Tu musi mieszkać Kazia Potulińska“, pomyślał i spojrzał na numer domu. „Tak, numer czwarty. Zawsze wśród kwiatów! To bardzo miło!“ Kwiaty były dlań prawdziwą niespodzianką. Zadzwonił. Staruszka gospodyni otworzyła mu drzwi i wskazała ręką w górę, domyślając się, że przychodzi do lokatorki. Karol wszedł powoli i zapukał.

— *Entrez* — usłyszał głos z wewnątrz.

Wszedł więc do panieńskiego pokoiku. Miły zapach wiosennych kwiatów obudził w nim jakieś nieokreślone wspomnienia. Kazia witała go wdzięcznie i z prostotą, podała mu rękę, on ją podniósł do ust i, nie czekając zaprosin, usiadł naprzeciwko dziewczyny. Przyglądał się jej z przyjemnością. Znalazł ją ładniejszą, niż pozostała w jego pamięci: cerę miała białą i świeżą, sta-

ranne uczesanie nadawało jej pewien typ eleganckiej kobiety, różowa, fałdzista bluzka z szerokiemi rękawami czyniła ją mężniejszą i podnosiła okrągłość kształtów. Była bardzo ponętną w tej chwili. Karol, na myśl, że ta kobieta w nim się kocha, doznawał pewnego wzruszenia, odurzający zapach tuberozy wytrącał go z równowagi, chciał jej wyjawić, że mu się podoba, chciał prawić jej komplementa.

— Zawsze wśród kwiatów: niby uosobienie wiosny. Mówił jej z charakterystycznym uśmiechem mężczyzny, który pragnie podobać się kobiecie prawiąc pochlebne słówka. Kazia zaraz wpadła w ton odpowiedni:

— Nie pozbyłam się tej słabostki, pomimo poważnej pracy umysłowej, której się poświęciłam. — Odrzekła z komiczną powagą.

— Nie przestała pani być kobietą z całym urokiem swej kobiecości.

— Nie przestałam przedewszystkiem być sobą. Pomimo najszczerszych chęci zmienić się nie mogę.

— Niechże pani tak zgubnych chęci nie miewa! Panno Kazimiero! Czyż mogłaby pani być równie... dobrze?

— Zdaje się jednak, że przydałoby mi się to czasem, być inną niż jestem.

— Tylko nie w moich oczach. — Upewniam Panią.

— Dobre i to! — zaśmiała się Kazia.

— I to!... żartował Karol. To nie wiele! Tak sobie Pani mało waży moje zdanie o jej osobie! A ja się spodziewałem, że pani przez wdzięczność dla człowieka, który ją wyrwał jak perłę z kamiennych więzień podwodnej muszli, ma tyle względów, że zdanie jego po nad innych opinją ceni, a pani, widzę, przyjmuje moje uznanie au pis aller.

Nie spodziewałem się, że trafię na „niewdzięczne serce“ — jak mówi Sienkiewicz.

— Przeciwnie — jestem panu bardzo wdzięczną, — odrzekła Kazia poważnie. — Namówił mię pan na krok, którego prawdopodobnie nigdy żałować nie będę.

— Zbywa mnie pani zapewnieniem swojej wdzięczności? A ja oczekiwałem jakiejś wspaniałej nagrody...

— Nagrody? — nie wiem — jaka może panu dogadzać.

— Najwyższa, jaką pani rozporządza.

— Medal ratunkowy, lub premium Montjona... żartowała Kazia, udając, że nie chce go rozumieć. Czy widział pan już kogo z naszej kolonji? Zwróciła rozmowę na inny temat.

— Jeszcze nikogo... — odrzekł z roztargnieniem. — To jest... — owszem: — koleżankę Diamantenperl, czy coś podobnie drogocennego... Ach! i Bartskę nadewszystko!

— Dlaczegoż to: „Ach“ i „nadewszystko“?

Spytała Kazia, zaniepojona tem spotkaniem konkurenta z osobą wrogo dla niej usposobioną.

— Nadewszystko dlatego, że mi wskazała adres pani i dała mi do zrozumienia, że mię tu czeka owa nagroda, o którą daremnie się dobijam!

— O jakiej nagrodzie mogła panu Bartska wspominać?

— O tej właśnie, po którą przyjechałem.

Kazia wobec zbliżającej się stanowczej chwili uczuła, jak zimna fala przebiegła jej po plecach, zalała uszy i usta. Zbladła, w oczach jej pociemniało. Cała doniosłość tak ważnego kroku stanęła przed nią. Choć przygotowana oddawna do tego, co miało nastąpić za chwilę, zawahała się prawie. Zamiast radości czuła strach tylko. gdy Karol pochyliwszy się nieco ku niej, usiłował w oczy jej spojrzeć i pytał przyciszonym głosem.

— Więc cóż, panno Kazimiero, czy jestem godzien tej nagrody, którą się daje wraz z rączką na całe życie? Czy przyjmuje mię pani na dozgonnego towarzysza?—Kazia milczała jeszcze przez chwilę.

— Tak, — wyrzekła wreszcie, podnosząc nań oczy nieśmiało.

— Dziękuję pani — rzekł — całując jej rękę z powagą.

Potem nastało kłopotliwe milczenie. Karol z kolei uczuł jakąś obawę i nie umiał jej zwalczyć narazie. Oto związał się słowem z kobietą.

której nie znał prawie i stało się to tak niespodzianie, bez uprzedniego porozumienia, nie zajrzawszy jej w duszę, nie wyczytawszy w niej tego słowa, które każdy ukrywa w głębi swojego serca, a które stanowi treść jego istoty, i jej wartość moralną. Czuł wyraźnie, że ta kobieta pozostała mu obcą, że jej nie przeniknął, nie przejrzał jej do głębi.

Kazia odgadła stan jego duszy z właściwą kobietom intuicją. Zaczęła go wypytywać o drobne szczegóły jego życia, o rodziców, przyjaciół i obudziła w końcu coś w rodzaju ufności do siebie, rozproszyła chwilową obawę. Karol wpadł nareszcie w ton swobodny, narzeczona zaczęła mu się podobać, rad był z niej, z siebie i z całego świata. W tak miłym nastroju pożegnał swą przyszłą małżonkę i pośpieszył do Rwańskich. Tym razem zastał ich w domu. Witał się serdecznie, męża uściskał, żonę w rączkę ucałował, poprosił gospodarza o cygaro, wkońcu oświadczył ze śmiechem, że jest bardzo wzruszony, potrzebuje laurowych kropli, czy w ostateczności uczciwej szklanki herbaty z kawałem wędliny, bo przeżył tak ważną chwilę w życiu, po której musi popokrzepić się na siłach.

— No? Nie pytacie mię nawet, co zaszło? Zgadnijcie, gdzie byłem od drugiej godziny.

— To prawda! Gdzieżeście przepadli?

— „Przepadłem“ u panny Kazimiery Potulińskiej.

— Znacie ją? — spytała Rwańska trochę zmięszana.

— Nawet nieźle znam. Jakże się ona wam wydaje?

— Z przykrością wyznam, że tu zaprezentowała się raczej niesympatycznie.

— Czy tak? to szkoda! Na mnie zrobiła jak najdodatniejsze wrażenie.

— Na nas przeciwnie.

— Masz tobie! A ja mam niewzruszony zamiar ożenienia się z nią.

Rwańska podskoczyła na swym fotelu.

— Na miły Bóg! nie róbcie tego! — wykrzyknęła.

— Aż tak! — zaśmiał się Karol.

— Wiecie, że wam dobrze życzę... nie ostrzegałabym was, gdybym nie była przekonaną, że ten związek szczęścia wam nie przyniesie.

— Cóż wy tak dalece przeciwko niej macie? Jest bardzo rozsądna, z charakterem dziewczyna... Miałem sposobność przekonać się o tem.

— Ja was nie rozumiem: sądziłam dotąd, żeście raczej Bartską zajęci. To już byłoby znacznie odpowiedniejsze!

— Bartską! Zmiłujcie się! Nigdy nie myślałem i myśleć nie mogłem o niej. Robi na mnie wrażenie histeryczki, a ja chcę kobiety zdrowej i normalnej. Zresztą już się stało: oświadczyłem się i zostałem przyjęty.

Karol z pewnem zadowoleniem przejrzał się

w zwierciadle, wiszącem na przeciwległej ścianie.

— To bardzo zdolna i rozsądna dziewczyna — wtrącił nareszcie Rwański. — Ma wiele praktycznego zmysłu i równowagi. Nie dziwię się Dramowskiemu, że ją wybrał. Nie wiem, doprawdy, Kamilo, co ty sobie do niej uroiłaś.

— Wyznam szczerze, sądziłam ją głównie ze słów Bartskiej i jeżeli jestem w błędzie, mocno tego żałuję.

— Przyprowadźcie nam ją, pójdziemy razem na wieczerzę! — zaproponował Rwański.

— Zaczekajcie! — ozwała się Kamila. — Ona u nas dotąd nie była. Pójdę ją sama poprosić.

Zarzuciła pelerynkę na plecy i wyszła.

— Nie wiecie, co wasza żona ma przeciwko mojej narzeczonej? — spytał Karol Rwańskiego.

— Teraz już wiem: jest to widocznie plotka Bartskiej, oczywiście interesowna. Kamila potrafi tę sprawę wyświetlić i nie wątpię, że się te panie porozumieją ze sobą.

Kazia rada była z odejścia narzeczonego. Potrzebowała uspokoić się po doznanem wzruszeniu, oswoić się z nowem położeniem w życiu, myśli zebrać, opamiętać się, ochłonąć. Nowe życie, nowy świat zaczął się dla niej przed chwilą: była narzeczoną, ona, Kazia. Jest ktoś, kto ma do niej prawo i ona do niego... ktoś, kto dba o nią, co będzie jej obroną, opieką... Błogość nieznana dotąd rozlała się po jej duszy. Teraz już wyjdzie

za mąż z pewnością. Nie zostanie starą panną. „Kazimiera Dramowska“ dźwięczało w jej uszach rozkosznie. „Pani Dramowska! Pani redaktorowa!“

Wydawała się sobie jakąś nową istotą, myślała o sobie samej w trzeciej osobie: „Narzeczona Dramowskiego“ i przejrzała się zaraz w lusterku. Tak, to ona jest tą narzeczoną! Nie wierzyła swojemu szczęściu! Upewniała samą siebie, przypominała sobie każde słowo rozmowy, każdą chwilę krótkiej z Karolem znajomości. W miarę, jak oswajała się z rzeczywistością, wszystkie uprzednie troski i obawy wydały się jej tak błahe, jak zły sen jaki, z którego się ocknęła i który już nie wróci. Zaczęła wystawiać sobie, że oto już jest mężatką, nastroiła twarz poważnie. „Karolowa Dramowska“ myślała, wyobrażając sobie, że wygląda na poważną matronę. „Może ja śnię?“, przemknęło jej raz jeszcze przez głowę. „Ależ nie: tu siedział; krzesło jeszcze tak pozostało, jak je wysunął siadając. Potrącił kwiaty; oto parę kropel wody na stole. Tak. Niezawodnie. Jestem po słowie“. Błogi spokój wlewał się w duszę, a zarazem czuła potrzebę wypoczynku. Chciała zasnąć. Oparła głowę o poręcz fotela i oczy przymknęła. „Narzeczona“, szeptało jej w głowie, a serce biło drobniutko, trwożnie — nie mogła zasnąć!

Lekkie pukanie wyrwało ją z zadumy. „Karol!“ pomyślała.

— Proszę! — wyrzekła zmięszana.

W progu ukazała się smukła, wdzięczna postać Kamilli.

Kazia zarumieniła się i zmięszała jeszcze bardziej.

— Pani Rwańska... — wyrzekła zdumiona.

— Ależ tak: Rwańska! — odrzekła Kamila swobodnie. — Przychodzę was za cudze winy przeprosić i zabrać was ze sobą do nas, a stamtąd na wieczerzę.

— Dziękuję pani — odrzekła Kazia nieśmiało.— Po mnie ma tu przyjść... pan... narzeczony.

— To się wie — zaśmiała się Kamila. — Ale „narzeczony“ jest u nas w tej chwili i nie wątpię, że miło mu będzie oglądać was w naszym domu. Zrobi pani, jak zechce — dodała, widząc wahanie Kazi — spodziewam się jednak, że zechce mię pani wysłuchać: pragnę wyjaśnić dotychczasowe zachowanie nas wszystkich względem jej osoby. Usiądźcie! — dodała, siadając pierwsza na krześle, które przed godziną zajmował Karol.

Kazia usiadła i patrzała na gościa uważnie. Przypominiała sobie słowa Zajdlówny, że ją ktoś u Rwańskich popiera. Ale ton i cała powierzchowność Kamili wzbudzały największe zaufanie.

— Takie rzeczy najlepiej jest odrazu wyjaśnić, inaczej, przechodząc przez rozmaite usta, zostają bardzo zmodyfikowane, a co najmniej znacznie przesadzone...

— Jeżeli pani to rozumie — przerwała Kazia — pocóż było dawać wiarę doniesieniom osób trzecich?

— Nie wiem, o czem pani mówi! O czem mówicie — poprawiła się. — To, co stanowiło dyrektywę postępowania z wami, nie było mi powtórzone przez trzecie usta. — Miała, mówiąc to, wyraz tak prawy, tak szlachetny, że Kazia z góry wszystkiemu uwierzyła.

— Doszedł nas list, na nieszczęście zbyt pośpiesznie pisany, w którym była mowa, że korespondencja panny Potulińskiej, bawiącej obecnie w Genewie, wydała, czy coś w tym rodzaju, niejakiego Rajskiego w ręce policji.

— Ależ przeciwnie — to on mię naraził...

— Teraz wszystko się wyjaśniło. Inaczej, wyznam szczerze, nie byłabym tu w tej chwili. Nieostrożność, o jaką, ku wielkiej mojej przykrości, byłam zmuszoną was posądzać, wśród osób nieświadomych tego wszystkiego, co się robi tajnie poza plecami szpiclów, jest zjawiskiem dość częstem i my dla własnego bezpieczeństwa musimy unikać jednostek, którym się podobna rzecz przytrafi. Wy, przyjechawszy nie wypowiedzieliście się, nie zaprezentowali dość wyraźnie. O znajomości z Dramowskim n. p. nie wspomnieliście, o ile wiem, nikomu. To jedno nazwisko zapewniało wam u nas wszystkich bez wyjątku najserdeczniejsze przyjęcie. — Zamilkła.

— Dziękuję pani... — ozwała się Kazia.

— Dziękuję wam — poprawiła ją tamta.

— Dziękuję wam za wyjaśnienie. Wierzcie mi, najmniejszej urazy chować do was nie mogę.

Prawdopodobnie sama nie inaczejbym postąpiła na waszem miejscu.

Wyznaję, że to zagadkowe zachowanie koleżanek względem mnie, było mi nadzwyczaj przykrem.

— Nie dziwię się wam. Toteż nie uwierzycie, jaką radość sprawiło mi przeświadczenie, żeśmy się myliły. Milsi jesteście memu sercu obecnie, niż gdybym odrazu jaknajlepszą miała o was opinję.

Tu wzniosła kobieta uściskała tę kochaną, spotwarzoną najniewinniej Potulińską, poczem udały się obie do mieszkania Rwańskich, a stamtąd na Wigilją, która była pierwszym aktem zjazdu młodzieży „Zjednoczenia".

W sali jednego z umiarkowanie drogich hoteli Genewy zebrała się młodzież płci obojga w liczbie około pięćdziesięciu osób.

Młodzieńcy byli to delegaci towarzystw, należących do „Zjednoczenia młodzieży", lub goście, sami studenci, ludzie młodzi, bardzo nawet młodzi po większej części: panny — studentki genewskiego uniwersytetu, przeważnie dobiegające fatalnej dla dziewcząt trzydziestki.

Towarzystwo rozdzieliło się na dwa obozy: męzki i żeński, przedzielone długim stołem, na którym kelnerzy rozstawiali z hałasem nakrycie. Chłopcy w czarnych ubraniach i białych krawatach skupili się koło drzwi zamkniętych i zastawionych drewnianą dębową ławką, panny, w ciemnych spodnicach i jasnych bluzkach, z bukietami u staników, otaczały otwarte pianino.

Z jednej i z drugiej strony stołu rozmawiano półgłosem.

Studentki zerkały w stronę przeciwnego obozu i prostowały się, zachowując poważną minę, chłopcy rozmawiali wesoło, śmiali się dyskretnie, wogólności znajdowali się swobodnie i naturalnie. Nikt z nich nie zbliżył się do damskiego obozu.

Chwile uroczyste, a do takich każdy przywykł zaliczać wigilją Bożego Narodzenia, mają w sobie coś niemiłego, coś nie odpowiadającego sceptycznemu nastrojowi umysłów. Każdy czuł jakąś sztywność, jakiś niesmak wobec ceremonii, którą przejąć się nie był zdolny, a którą szanował dotąd jako oznakę polskości, nie wkładając weń naiwnego uczucia i rodzinnej serdeczności swych dziadów. Ostentacje i uroczyste chwile! któż z młodych lat tem się przejmuje? Kto nie doznaje pewnej nudy, czczości, zażenowania nawet przy łamaniu tradycyjnego opłatka, który kiedyś oznaczał tak wiele, a dziś — jest wyobrażeniem tego, czego już niema właściwie — uczuć rodzinnych i rodzicielskiej powagi. Kogo dzisiaj rozczula łamanie się opłatkiem? Zakochanych najczęściej, a wiadomo, że miłość wpływa ujemnie na władze umysłowe, inaczej mówiąc, ogłupia na czas jakiś genialne nawet osobniki, co im ułatwia zresztą tak trudną rzecz, jak uczucie szczęścia.

Bartska była widocznie zakochaną, chodziła bowiem od koleżanki do koleżanki, pytając, gdzie umieścić opłatki tak, by musiano niemi się łamać.

W końcu domyśliła się sama. Zaczęła rozkładać po opłatku przed każdą parą nakryć, zaczynając, rozumie się od siebie i Karola. Kartki ich z rozporządzenia Rwańskiej oznaczały dwa sąsiednie miejsca. Szła dalej nie spiesząc i każdej parze rzucała krągły opłatek z odpowiedniem w sercu życzeniem: „aby się pokochali i pobrali“. Bartska była wielką zwolenniczką małżeństwa. Miejsce Kazi pominęła rozmyślnie. „Nie godna jest łamać się z nami opłatkiem“, mówiła sobie w duchu i rozkładała dalej, rada, że oczy męskiego obozu spoczywały na niej ciekawie. Nie skończyła jeszcze swej roboty, gdy do sali wszedł wolno i poważnie jakiś staruszek w towarzystwie kilku emigrantów 1863 roku, którym Rwański przeznaczone miejsce wskazywał. Było to hasłem zasiadania do stołu: wszczęło się zamięszanie, panowie szukali przeznaczonych sobie sąsiadek i prowadzili je do przeznaczonych miejsc. Rwańska prześlizgnęła się niespostrzeżenie do miejsca, przeznaczonego dla Karola i uprzątnęła co prędzej kartkę Bartskiej, by ją na przygotowanem dla Kazi miejscu położyć. Zaczęła szukać jej wśród koleżanek, ale Bartska, nie czekając, aż Karol ramię jej poda, podążyła ku przeciwnej stronie stołu, gdzie zastała siedzącą obok Karola Potulińską.

— Koleżanko! — zwróciła się do niej słodziutko. — To pomyłka...

Ale Kazia nie słyszała. Przełamywała właśnie

z narzeczonym opłatek i choć nie zakochana, nie wiedziała z radości, co się dzieje wkoło niej.

Rwańska tymczasem szukała Bartskiej w przedpokoju, znalazł ją jednak przeznaczony poprzednio dla Kazi sąsiad, obywatel Kosa, człowiek lat czterdziestu, dostatni i dobry, którego jednak studentki ku wielkiemu jego utrapieniu, do epuzerów nie liczyły. Kosa miał przeszłość niewyraźną, służył za młodu w wojsku, nie wiedziano dokładnie, jakiem, dużo umiał, ale nie gruntownie, mówił niepoprawnie, był jednak patrjotą, dawał corocznie sto franków do Kasy „Zjednoczenia“ i kochał się kolejno potrosze we wszystkich studentkach, z któremi zbliżał go przypadek. Wysługiwał się im poczciwy, jak umiał, pożyczał pieniędzy, przysyłał bukiety, torty na imieniny, wodził do teatru, urządzał wycieczki, panny traktowały go poufale, ale żadna nie brała go na serjo, a najmniej Bartska, która sięgała myślą, aż po Karola.

— Panno Jadwigo! — rzekł do niej, ofiarowując jej ramię sztywnym ruchem byłego kaprala.

— Pan się myli, ja mam już oznaczone miejsce — odrzekła głośno, by zwrócić na siebie uwagę Karola.

— Ma pani: obok Kosy. Niech się pani przekona!

Widząc jej wahanie ujął przemocą ramię swej sąsiadki i pociągnął ją ku drugiej stronie stołu.

— Pan się mylisz, napewno! — protestowała wyrywając się Bartska.

— Jakżeż mógłbym się mylić! Niechże pani spojrzy: widziałem, jak pani Rwańska umieściła tę kartkę, pośpieszyłem zobaczyć, kogo los mi przeznacza i jakże byłem uszczęśliwiony, widząc, że najmilsza osóbka, jaką dotąd znałem... Niechże pani siada. Już wszyscy są przy stole! — Posadził ją, jak kapryśne dziecko, i starał się zagadać niezadowolenie swej damy.

— Widzi pani! nie dano nam nawet opłatka! Niby to Kosa i tego już nie wart, żeby się z panną Jadwigą opłatkiem przełamać? Zapomniano o nas: to dobry znak podobno...

— Rwański! — rzucił swemu vis á vis! — dajcież nam tu kawałek opłatka! — Po czem dostawszy opłatek, podał Bartskiej do przełamania, ta jednak odtrąciła jego rękę, nazywając zwyczaj łamania opłatka — przestarzałym i śmiesznym, dobrym dla starych, co już nic nowego nie wymyślą.

Kosa nie obrażał się. Musiał się czegoś domyślać i chciał oderwać swą sąsiadkę od przykrych wrażeń, które ją trapiły.

— Sam zjem opłatek. Cóż robić? Panna Jadwiga widocznie mną gardzi! Wolałaby zapewne kogoś młodszego, co potrafi nowe systemy obchodzenia wilji wymyślać....

— Ach! Przez litość! — zawołała — dajcie mi spokój, proszę was!

— A pani ma litość nademną? Czy ja mogę mieć spokój, od kiedy znam pannę Jadwigę?

— Piła jesteście, nie Kosa! — odcięła Bartska, odwracając się od niego impertynencko.

— Panno Jadwigo! Bo mi się serce kraje! — żartował, robiąc minę żałosną i komiczną zarazem.

— Podłość ludzka przechodzi wszelkie granice!

— Panno Jadwigo! Co za silne wyrażenie wypadło z tak wdzięcznych usteczek! Niechże pani się tak odemnie nie odwraca, bo pomyślę, że się to i do mnie stosuje, co pani powiedziała, a ja przecie nie zasłużyłem na podobne miano! Niechże pani je, bo przez panią i ja nie mogę rozpocząć tego barszczu, co pani Rwańska tak cudownie przyrządziła!

— Ach! ten barszcz przyprawiony jest kłamstwem, niegodziwością i zdradą!

— A to musi być ciekawa potrawa! — zakończył Kosa, zabierając się do jedzenia. Przykro mu było jednak, że się dziewczyna dąsa i wieczór sobie psuje, zaczął więc z innej beczki:

— Bywają ludzie niedobrzy, panno Jadwigo, i to jest prawdziwa przykrość, jeżeli się na kogoś podobnego natrafi, ale nie należy z tej przyczyny stawać się samej gniewną i rozczarowanie swoje odbijać na tych, co pani w niczem nie zawinili, co radziby jej najmniejszej przykrości oszczędzić, co nigdy nie byli ani fałszywymi, ani zdradzili nikogo, co panią kochają nareszcie! Niech mi pani wierzy: gdyby pani zechciała zapomnieć

o złem, które ją spotyka, a szukać tego dobrego, co ją spotkać może, nie gardziłaby pani tak moją osobą. Ja jestem człowiek dobry, cierpliwy, wyrozumiały na wszystko i choć nie posiadam wielkiej nauki, dużo jednak wiem i rozumiem. Nie byłoby pani źle ze mną, gdyby pani o złych i fałszywych chciała raz na zawsze zapomnieć. Ja to pani dziś mówię, a jutro pani się namyśli i da mi odpowiedź. Niechże pani je! — dodał, nabierając jej rybę na talerz.

— Nie! nie! dziękuję!

— Ależ panno Jadwigo! W imię Jezusa i dwunastu apostołów!

— Na miłość Boga i dwunastu apostołów, nie mówcie już do mnie, bo wstanę od stołu.

Kosa posmutniał. Sądził, że chwila nadawała się do oświadczyn. Domyślał się jakiegoś serdecznego zawodu i chciał wyzyskać sytuację. Pocieszył się jednak wkrótce tem, że Bartska zdecydowała się jeść nareszcie. Oczywiście nie uważała małżeństwa z nim za rzecz całkiem już niemożliwą i to go uspokoiło. Cieszył się, poczciwiec, że dostanie za żonę osobę ładniutką, Polkę i wysoko ukształconą. Dosięgał celu gorących swych marzeń.

Skromna uczta dobiegała do końca, rozmawiano coraz swobodniej, ufniej, serdeczniej, usta się uśmiechały, głowy pochylały ku sobie, oczy świeciły, zarysowywały się sympatje, nie jedno miłe wrażenie lub serdeczne uczucie zrodziło się

w sercach, nie jedna para miała się skojarzyć pod wpływem tego zbliżenia dwu obozów przy staroświeckiej wieczerzy z opłatkiem na czele. Co rozpoczęła wilja, to miały dokończyć posiedzenia zjazdowe, wspólne obiady i herbatki u koleżanek. Przy deserze miły nastrój doszedł do swego apogeum, chłopcy obierali pannom pamarańcze, żartowano z upodobania płci pięknej do jabłek, popisywano się dowcipem, panny odcinały się zręcznie, wrodzona zalotność przeważyła niewzruszone zasady studenckiej sztywnej powagi, wszystkie były milutkie, odmłodniały, wyładniały niemal.

Wtem jeden z gości powstał z kielichem w ręku i poprosiwszy o głos, przemówił do zebranych:

— Rodaczki i rodacy! Za tych, co padli ofiarą tyraństwa, tych, co za wolność walcząc, włożyli kajdany, tych, co w ciemnościach więzień, co w Sybiru minach cierpią za sprawę prawdy i ludzkości, co wspominają ten kraj ukochany, gdzie zostawili co sercu najdroższe, za tych, co już nie wrócą, lub wrócą — złamani — wnoszę ten pierwszy toast: cześć im! Niech żyją!

Powiedział to wszystko głosem dźwięcznym, głębokim, ciemne oczy świeciły z pod czarnych równych brwi, usta poruszyły się wdzięcznie, dodając mu wyrazu i uczucia. Pięknym był w tej chwili, uosobieniem zapału, natchnienia. Patrzały nań koleżanki z zachwytem. Unosiły się nad nim i nad wzniesionym przezeń toastem, kielichy pod-

nosiły się, jak na komendę, ze wszystkich ust ozwało się chórem: „Niech żyją!“

Mówca usiadł, usiedli wszyscy nareszcie, panie patrzały jeszcze na młodzieńca. Bartska już się w nim kochała, Kazia mimowoli porównywała z nim Karola i znalazła, że jej narzeczony nie jest tak ładny i zajmujący, że brak mu najzupełniej — wdzięku. Oto w parę godzin zaledwie po zaręczynach uczuła smutek i coś w rodzaju niezadowolenia z wyboru. Bo też ona nie wybierała: wzięła, co się wziąć dało i powinna Bogu dziękować za to, że jest ten Karol, co zechciał się z nią żenić! Cóż stąd, że jest ktoś przystojniejszy, smuklejszy i bielszy. Takich spotka w życiu wielu, a taki, który się jej oświadczył, był dotąd jeden. Chciała spytać Karola o nazwisko młodego mówcy, ale po namyśle i tego zaniechała: „Po co jej ta wiadomość?“ Nie chce i nie powinna o nim myśleć.

Rwańska także patrzała na tego, co przemawiał przed chwilą. Patrzała okiem znawcy. Ona wielu w życiu widziała i słyszała i znała zwłaszcza, ze wszystkiemi ich zakulisowemi sprawami. Mężatka tylko może znać się na mężczyznach. Panna sądzi ich jedynie z wrażenia, jakie na niej czynią. Tam, gdzie Bartska i Kazia widziały szlachetność, ona dostrzegła pozy, gdy one przejmowały się jego zapałem i uczuciowością, ona przeczuwała kobieciarza, Lowelasa. Nie mniej przeto znalazła go przystojnym, nawet zajmującym. Ko-

bietom kobieciarz zawsze się podoba, co zresztą jest słuszne i sprawiedliwe.

Tylko kobieciarz potrafi ją ocenić, zrozumieć, dogodzić potrzebom jej serca, jej próżności... On jeden zna kobietę i znając, lubi ją z całą jej słabością i wdziękiem i siłą uczucia i wrażliwością umysłu. Rwańska, robiąc w duchu uwagę, że Leszcz musi być kobieciarzem, jednocześnie mówiła sobie, że nie uległaby mu, że musiałby ją wyróżniać od tych wszystkich, które padają ofiarą Donżuanów, potrafiłaby go przekonać, że ona jest wyjątkową kobietą, nie taką, jak wszystkie inne. Nie pomyślała tylko o tem, że już zwróciła na niego uwagę, już postawiła sobie w myśli możność ubiegania się tego człowieka o nią, że już chciała go przekonywać o czemś, że jednem słowem robi w tej chwili to, co każda inna kobieta na widok kobieciarza: zajmuje się nim i chce go u stóp swoich oglądać.

Teraz przemówił drżącym od starości głosem, zacinając się i szukając słów stary weteran dwóch powstań, pułkownik Zygmunt Miłkowski.

— Pozwolę sobie wznieść ten kielich, za tych, co z bronią w ręku za ojczyznę walczyli i polegli, poszli na wygnanie i na tułaczkę, byli nahajami smagani, knutem bici, katowani, wieszani, rozstrzelani... Poproszę zebraną tu młodzież, by na cześć tych bohaterów powstała. Za ojców waszych i dziadów, panowie: Niech żyje pamięć ich w sercach młodzieży!

— Niech żyje!

Powstano. Każdy pośpieszył trącić swój kielich o szklankę jedynego tu przedstawiciela tych ojców, co jeszcze broń w ręku trzymali. Nie było ani jednej osoby, prócz Kazi może, któraby nie miała kogoś z dalszych lub bliższych wśród tych, do kogo odnosiło się wzniesione przez pułkownika zdrowie. Zdawałoby się, że wszyscy powinni mieć cześć dla tych, co nie paktowali, nie uchylili szyi pod nogę zwycięzcy, co broń chwycili, walczyli i polegli.

Działo się jednak inaczej. Głos zabrał gość przybyły z Zurychu, człowiek bardzo młody, chudy, wysoki, o twarzy kościstej, rysach bardzo niepospolitych, niemal dziwnych. Składała się z samych linij prostych: prosta linja odcinała włosy od równobocznego czoła, druga prosta, ciemna i równa oznaczała brwi, pod nią podłużne, głębokie, ciemno siwe oczy równoległe do brwi tych i czoła i ust wązkich, co jeszcze wąsa nie znały i kwadratowo ściętego podbródka. Wszystko to stanowiło jakiś typ ponury i zajmujący. Imponował tą twarzą i silnym swym twardym głosem i śmiałą, a płynną wymową:

„Zdrowie tych, co pracują i giną — nie dla przywrócenia praw jednej, uprzywilejowanej klasy, ale dla wywalczenia klasie wyzyskanej prawa do życia i światła. Za tych, co nie w osobistych widokach za broń chwycili — a poszli uświadamiać uciemiężonych o tem, że są niewolnikami kapita-

listów. Za tych, co nie dla siebie, a dla innych, nie dla szlachty, a dla robotnika, nie dla jednego narodu, a dla ludzkości walczą! Za tych, co nie poświęcili bytu swojego, życia i wolności lekkomyślnie i bez celu, a dążą wytrwale do tej rewolucji społecznej, która świat cały obejmie i napisze krwawemi głoskami od końca do końca ziemi wielkie, jedyne słowo: „Sprawiedliwość!“ Za tych działaczy i za to słowo podnoszę puhar ten, bracia: Niech żyją!

— Niech żyją! Niech żyją! — rozbrzmiewało długo po sali, a w końcu posypały się rzęsiste oklaski.

Starzec, uczestnik dwóch powstań, spojrzał smutnemi oczyma po rozjaśnionych twarzach młodzieży, usta mu się ścisły boleśnie, pokiwał głową, jakby chciał wyrzec coś bardzo gorzkiego, w końcu wstał, uścisnął rękę Rwańskiego i Karola i chwiejnym krokiem opuścił miejsce biesiady.

— Zdrowie młodzieży! — ozwał się mały, mocno kędzierzawy młodzieniec, ze ściągłemi rysami czarnej kozy, nie czekając, aż schylona postać starca zniknie za drzwiami.

I znów się wzniosły kieliszki, pito wesoło, nie dbając o boleść zadaną człowiekowi, co stojąc nad grobem, nie przestał wierzyć w sprawę, której służył za młodu.

— Niech żyje wolna i niepodzielna Polska! — wzniósł Kosa, tak, by staruszek mógł jeszcze słów jego dosłyszeć.

— Niech żyje! — ozwano się chórem.

— Kochajmy się! — zakończył Karol wesoło i pełnym kieliszkiem o szklankę Kazi uderzył.

Poczęto wstawać z hałasem. Rwański pospieszył do otwartego pianina i zaintonował: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Kosa zawtórował mu mrukliwym basem, przytupując nogą i wymachując w takt ręką. Powoli przyłączały się inne głosy i cały chór śpiewał z zapałem dawną pieśń legionów!

Śpiewano długo: „Gdy naród do boju“, „Boże coś Polskę“, „Naprzód Warszawo!“ W końcu nieznany jeszcze Kazi „Czerwony sztandar“ zabrzmiał dobranym chórem męskich i kobiecych głosów.

„Bo na nim robotników krew!“ A w tej krwi, w tym sztandarze, w tej pieśni — widziano ludzkości zbawienie.

Cała gorąca wiara młodzieży brzmiała w tej „pieśni młodego pokolenia“: Robotnik! Tylko robotnik! Nic poza nim, nic bez niego!

Po „Czerwonym sztandarze“ nie śpiewano nic więcej — to było ostatniem słowem uczuć i myśli zgromadzenia.

Poczęto rozchodzić się gromadkami; Karol okrył Kazię peleryną, włożył jej kaptur na głowę i poprowadził pod ramię do domu. Rozmowa szła im łatwo, czuli się swobodniejsi po tej wieczerzy z opłatkiem. przypominającej każdemu z nich chwile rodzinnej serdeczności. Karol wdzięczny był Kazi za miłość, w którą na podstawie słów Bartskiej uwierzył.

Ona czuła dlań także — wdzięczność... za tytuł narzeczonej, który ją w oczach innych i jej własnych, podnosił. Uścisnęła mu serdecznie i długo dłoń na dobranoc, on jej rękę ucałował z uczuciem i rozstali się jak dwoje przyjaciół. Żalu zakochanych ani marzeń i rozmów układanych na jutro nie poniosło żadne z nich do samotnego pokoiku. Karol zasnął natychmiast, skoro głowę do poduszki przyłożył, Kazia rozkoszowała się jeszcze czas jakiś uczuciem dawno niedoznawanego spokoju duszy. Tak jej nic nie martwiło, nie trwożyło, tak było jej nieskończenie błogo! Cisza zapanowała w skołatanej głowie — nie myślała. Ów stan niemyślenia sprawiał jej niewysłowioną rozkosz. Oto zaraz, zaraz zaśnie; już zasypia, śpi i we śnie jeszcze czuje spokój i błogość.

Sen bez troski! Nikt prawie nie zna go z ludzi dojrzałych. Śpią niektórzy bez czucia, bez pamięci, ale bez troski śpią dziatki chyba... Kto z dziecięctwa wyszedł, tego odleciał anioł spokoju i nawet we śnie nie wróci, chyba na chwilę, jak oto teraz do Kazi. Na długo? Nie! Troska nie wypuści z rąk swych zabójczych raz posiadanej ofiary. Był podobno człowiek na świecie, co cień swej postaci zagubił. Tej towarzyszki nie zdołał nikt zakląć, odegnać. „Zgiń i przepadnij!“ — wołasz znużony śmiertelnie, a ona stoi przed tobą, zawsze ta sama, zawsze niewzruszona z twarzą kamienną, pobladłą i szepce usty białemi znaną serdeczną obawę... powolną duszy truciznę!

Nazajutrz Kazia zbudziła się z jakiemś trwożnem uczuciem; wiedziała, że zaszło coś bardzo ważnego w jej życiu. Aha! to ona się wczoraj zaręczyła. Dzięki Bogu! Czegóż ma się dziś lękać? To z przyzwyczajenia już tylko! Tyle lat budziła się z wieczną obawą staropanieństwa! Już! już ma pewność! Teraz dopiero zaczyna się dla niej życie! Dotąd nie żyła wcale. „Nie żył, kto żył frasobliwie“. Przypomniała sobie cytatę pewnego staruszka, co kiedyś, dawno, bywał w domu jej rodziców. Zrozumiała, że każda jej myśl, uczucie, wszelkie czynności aż do dnia dzisiejszego skierowane były wyłącznie do jednego punktu — zamążpójścia! Teraz nie pozostało jej żadnego pragnienia, celu, żadnego w życiu interesu. Jakże bardzo zmęczyły ją te lata wyczekiwania i łapania męża! Jest jakby po długiej, ciężkiej chorobie. Czuła wyczerpanie i niemoc pełną słodyczy, nie pragnęła żadnych wrażeń, żadnego towarzystwa, żadnych wiadomości... Była rekonwalescentką po gorączce, znanej wszystkim bez wyjątku osobom w jej położeniu, a której nawet przed sobą żadna wyznać się nie waży. Jest w tem coś poniżającego. Czuła to Kazia doskonale. Oto wyszła z poniżającej roli pragnienia zamążpójścia. Bo Kazi nie chodziło o męża, tylko o tytuł mężatki.

Ubrała się, uczesała bardzo starannie, wypiła kawę, pokój uprzątnęła, i... nie wiedziała, czem się zająć, co robić? Czytać? — Już jej to niepotrzebne! Zapewne, będzie się dalej kształciła, ale

teraz chce wypocząć od czytania. Pracowała dotąd zbyt usilnie nad swem wykształceniem, i już osiągnęła cel, do którego dążyła. Robótka? — I to nie! Przy robótce zwykle myślała o... o tem, co już ma. Robótka — dla robótki... to jej myśli nie pochłonie. Usiadła przy oknie i zaczęła dziwnie marzyć. Oto zdawało jej się, że wszystko wkoło niej jest bardzo szczęśliwe i spokojne. Te cyprysy nieruchome z błyszczącemi od słońca igłami, ten bluszcz, rozwieszony wdzięcznie na ścianie przeciwnego domu, i ten łabędź schylony nad wodą i strumyczek fontanny szemrzący z jednostajnością spokoju... Spokój! Spokój wkoło niej i w niej samej! Onaby chętnie całe życie spędziła tu, przy tem oknie, bez żadnej troski, bez żadnych potrzeb, bez wrażeń! Chciałaby zasnąć, jak owa królewna z wrzecionem i... i nie zbudzić się nigdy... Zatonąć w spokoju, nazawsze!

Na uliczce dały się słyszeć lekkie kroki Karola. Pierwszą myślą Kazi było cofnąć się od okna i udawać zajęcie, pracę. Po co ten przymus? Opamiętała się w następnej chwili: wszak już jest zaręczoną! Dość już tego wiecznego pozowania! Dotąd czuła nad sobą zawsze i wszędzie jakąś siłę, jakby konieczność jaką, która zawsze utrzymywała ją w stanie naprężenia, nakazując uważać nieustannie na każdą swą czynność, ruch każdy, słowo i myśli nieledwie. Dotąd nigdy nie była sobą!

Tak myśląc, witała z niekłamaną radością narzeczonego, który znając gust jej do kwiatów, przyniósł jej doniczkę z rozkwitłym w cieplarni bzem. Dziękowała mu bardzo serdecznie i szczerze. Odłamała jedną gałązkę, przypięła ją do stanika po lewej stronie, włożyła kapelusz, pelerynę i rękawiczki i znów pod rękę z narzeczonym szła oto po ulicy wolno i poważnie, wyobrażając sobie, że jest całkiem różną od tej Kazi, co wczoraj o tej porze kupowała bukiety na kwiatowym rynku. Była Kazią — narzeczoną, osobą ze znaczeniem, z którą każdy musiał się liczyć, która reprezentowała jego rodzinę, dom, jego pismo poniekąd... Wszak prawdopodobnie będzie pisywała do dziennika.

Szła z pewnem namaszczeniem na owo pierwsze posiedzenie zjazdu. Tu dopiero zrozumie ducha, ożywiającego tę najlepszą cząstkę młodzieży polskiej, wypowiedzą się, pokażą się jej ze swemi celami, dążnościami, pracami..., jak okazali się wczoraj z sympatjami swemi i poglądami.

Posiedzenie już było od kilku minut otwarte, gdy narzeczeni weszli do sali i miejsce przy jednem z okien zajęli.

Kazia słuchała z wielką uwagą sprawozdań. Dla niej, jako nowicjuszki i ta część posiedzenia była do pewnego stopnia zajmującą. Delegat każdego z poszczególnych towarzystw wyliczał: liczbę członków, stan kasy, biblioteki, liczbę posiedzeń, zapadłe na nich uchwały, tytuły odczytów etc.

Kazia słuchała i dziwiła się. Jedno z towarzystw zaczęło rok z 42 członkami, z których usunęło się dwudziestu! Drugie, przeciwnie, wzrosło w dwójnasób! Jedno postanowiło płacić 10 ct. od członka miesięcznie na Skarb Narodowy, inne znów zniosło ustanowioną poprzednio na ten cel składkę. Jedno wykazywało w kasie — dług, inne posiadało kapitał. Jedno zabraniało palić papierosy na posiedzeniu, inne uchwaliło kupienie pieca, trzecie sprzedało lampę, czwarte najęło pianino, piąte ustanowiło karę za nieprzygotowywanie odczytów, szóste za nieprzychodzenie na posiedzenia, inne jeszcze urządzało wspólne herbaty... genewskie wreszcie zmieniało ustawę na wzór niemieckich korporacyj, z obowiązkową przyjaźnią członków między sobą, obowiązkiem niepodawania ręki nikomu poza towarzystwem, ktoby o korporacji lub o którym z jej członków wyraził się w sposób, zdaniem towarzystwa, ubliżający.

Tyle zapamiętała Kazia z czytanego jednostajnie przez delegatkę projektu nowej ustawy. Na zakończenie sprawozdania przeczytano wniosek na zjazd, przedstawiony przez towarzystwo, przyjęcia podobnej ustawy przez wszystkie towarzystwa zjednoczenia.

— Nie wie pani, czyj to koncept? — spytał Karol narzeczonej.

— Nie wiem: nie należę do towarzystwa.

— Baby widocznie potrzebują, by je ostro w ręku trzymano — mruknął niezadowolony.

— W mojej obecności niewolno mówić „baby“ i nie wspomina się o trzymaniu w ręku.

— Przepraszam! Myślałem...

— O czem pan myślał?

— O Rwańskiej.

— Dlaczego?

— Bo to jej pomysł niezawodnie.

Przeprosił narzeczoną i przysiadłszy się do Rwańskiej, spytał ją poufale:

— Skąd się wam to wzięło zaprowadzać burszowskie statuty do zjednoczenia.

— Ach, wiecie — odrzekła zmięszana — może to i nie we wszystkich towarzystwach jest potrzebne, ale w naszem podobna ustawa byłaby nadzwyczaj korzystną: nie macie pojęcia, jakie u nas panują stosunki: co chwila ktoś się o coś obraził, co dzień to nowa plotka krąży wśród koleżanek, co raz to się kogoś poza oczy obmawia! Sądziłam, że odpowiednią ustawą możnaby koniec temu położyć, nakazując wprost, jak dzieciom, żeby się zgodnie bawiły! Ja nie mogę wyżyć z moją prostą i szczerą naturą w atmosferze ciągłych waśni, niezadowolenia i uganiania się za kimś, Bogu ducha winnym najczęściej.

Jednocześnie Zeidlówna zerkając radośnie małemi oczkami, tłómaczyła jednemu gościowi:

— To Rwańska chciała dobić Potulińską, którą jak psami szczuła od przyjazdu i razem mnie z towarzystwa wysadzić: wiedziała, że ja na jej rozkaz nie będę z uczciwą dziewczyną zrywała

stosunków. To szczęście, że ten Dramowski przyjechał i sytuację uratował: byłyby się panny pozajadały, jak wygłodzone szczury.

— Wie pani, nie przyszłoby mi na myśl nigdy w życiu porównywać panny do szczurów, zwłaszcza wygłodzonych!

— Ach! bo to wszystko anioły! Patrz pan, z jakim niebiańskim wyrazem pani Rwańska tłómaczy Dramowskiemu zapewne, że ciągłe niesnaski spowodowały ją do takiego rozporządzenia! Ciekawa rzecz, kto wiecznie wichrzy w towarzystwie, jeżeli nie ona.

— Pani nie należy do przyjaciółek pani Rwańskiej!

— Ach, ona nie ma przyjaciółek, tylko adoratorki!

Kazia w zasadzie zgadzała się z projektem Rwańskiej: według niej jedna, powszechna ustawa, nadałaby zjednoczeniu charakter organizacji jednolitej z wyraźną barwą i określonem znaczeniem społecznem.

Tak się jej ten frazes podobał, że poprosiła o głos i, ku wielkiemu zdziwieniu kolegów i koleżanek, wygłosiła go bez zająknienia, tonem głębokiego przekonania.

Karol uśmiechał się pobłażliwie i z kolei o głos poprosił.

— „Widzę — rzekł z odcieniem żartu w głosie, — że koleżanka Potulińska jest przesiąknięta zasadami centralistycznemi i ma skłonność do

absolutyzmu, co mię nawet ze względów osobistych do pewnego stopnia zatrważa, dodał nawiasem. Owa jednolita powszechna ustawa nie zgadza się z duchem zjednoczenia, którego urządzenie federalistyczne wyrabia do pewnego stopnia przybywającą tu młodzież w kierunku samorządu. Z punktu praktycznego podobne ujednostajnienie jest niemożliwem do wykonania. W Genewie np. łatwo jest nakazać każdemu z członków, by raz na tydzień, wedle projektu obywatelki Rwańskiej, stawił się o ósmej wieczorem w lokalu towarzystwa. W Paryżu, przy tak wielkich odległościach, stałoby się to nadzwyczaj uciążliwem; w Lozannie, gdzie towarzystwo składa się z czterech członków, mieszkających w dwóch sąsiednich domach — wprost zbytecznem. Ustawa każdego poszczególnego towarzystwa odpowiada warunkom lokalnym lub składowym tegoż. Genewskie, o ile uważałem, ujawnia potrzebę ciągłych zmian, gdyż oto czwarty rok przyjeżdżam na zjazdy i czwarty raz słyszę o zmianie ustawy towarzystwa w Genewie".

— „La donna e mobile!" — rzucił ze śmiechem kędzierzawy Izraelita.

Kazia tymczasem siedziała bardzo zażenowana i nie słyszała nawet, co się wokoło niej działo. Karol pochylił się ku niej i rzekł jej półgosem coś, czego nie dosłyszała. 'Uczuła tylko bliskość jego twarzy i ciepło oddechu i drgnęła. Było jej nadzwyczaj przykro. Nie chciała go.

Gdyby nie obecność kilkudziesięciu osób odsunęłaby się z krzesłem, lub nawet odeszła, a tu Karol kończył wesoło rozpoczęty frazes:

... synów naszych wyślemy także na parę lat za granicę.

Wzmianka o synach dobiła biedną Kazię. Nie myślała dotąd wcale o realnej stronie małżeństwa. Teraz zdrętwiała z przykrości na tę myśl samą. Zamiast, swoim zwyczajem, poczerwienieć po oczy, zbladła bardzo, w uszach jej zaszumiało, jednocześnie myślała, a raczej wyobrażała sobie coś, co się jej wydawało potwornem, niemożliwem, przeciwko czemu wzdrygała się cała jej natura.

— „Zerwę!“ — zabłysło jej w pierwszej chwili. ale zaraz się upamiętała: „Kto ją potem weźmie? Już tę partję musiała zdobywać sobie z największym trudem“. — Wspomnienie Waluni, zżółkłej, zwiędłej przedwcześnie, stanęło jej żywo w pamięci, ach! i tej studentki z czytelni dla kobiet, której widok przejął ją niemal grozą w swoim czasie. „Nie! nie cofnie się!“ Ileż to kobiet wychodziło i wychodzi nietylko za niekochanych, ale za starych, wstrętnych, chorych, kaleki, głuchoniemych, idjotów... Znoszą to dość łatwo nawet. Są przytem wesołe, a przynajmniej zadowolone. Zresztą nikt im tego za złe nie bierze: otoczone są szacunkiem, sadzane na pierwszych miejscach, prowadzone do stołu przez poważnych panów, całowane po rękach przez młodzież i panienki. Jej ciotka wyszła za idjotę i podobno niezbyt na-

wet przestrzega szóstego przykazania... i wszyscy mają taką osobę za wytłomaczoną, najpierwsze panie z okolicy bywają u niej z córkami, te ją po rękach całują, ubiegają się o jej łaski... Prawda, że u ciotki bywa sporo młodzieży i to bogatych paniczów. Ciotka nie jedną już pannę wyswatała. Boże! Są nawet tacy, co się nad ciotki losem litują! A ona, Kazia? Któżby jej pożałował, gdyby przez wygórowaną uczciwość Karola odrzuciła i potem starą panną została. Jak opinja ogółu wynagrodziłaby jej prawość? Unikanoby jej obecności, szydzono poza oczy. Zepchnięta na szary koniec światowych stosunków, pomiatana, nikomu niepotrzebna, wszędzie zbyteczna, zamiast uznania, otrzyma wzgardę i osamotnienie. Nie! Lepiej już wyjść za Karola, za jego brata nawet, za potwora nawet, byle nie zostać starą panną. To szczęście, że się znalazł ten Karol; jaki on jest, ale przynajmniej nie idjota, nie kaleka, człowiek ze stanowiskiem, a w dodatku majętny. Przemoże się, jak już dojdzie do „tego“... a tymczasem najlepiej nie myśleć o takich rzeczach. Ot, użyteczniej słuchać obrad, by wiedzieć, co myśli śmietanka dzisiejszej młodzieży, by się czegoś od nich nauczyć... Ale myśl uparta wracała raz po raz do fatalnego tematu. Kazia chciała płakać, chciała posiedzenie opuścić, zamknąć się w swoim pokoiku i... co? wszak nie przestanie być narzeczoną Dramowskiego i nie pozbędzie się uczucia wstrętu!

Głos, słyszany już raz przez nią, wyrwał ją z przykrej zadumy. Przemawiał ów delegat z Paryża, który pierwszy wzniósł był toast podczas wilji. Kazia słuchała nie słów, ale dźwięcznego organu mowy, patrzała na piękną, delikatną twarz i uspokajała się stopniowo, wreszcie zainteresowała się tem, co mówił:

„Czy zobowiązanie ustne, piśmienne, zaprzysiężone nawet, może być rękojmią dla rady muzealnej, jeżeli dana jednostka i bez podpisów i bez stypendjów nie poczuwa się do obowiązku służenia krajowi? Jeżeli stypendja będą udzielane takim właśnie, co tylko siebie, karjerę tylko na celu mają, to rada muzealna sobie przedewszystkiem winę przypisać musi: bo dla tych, co nie rozumieją życia inaczej, jak w walce o dobro społeczeństwa, a tem samem i kraju, żądanie takiego podpisu jest obelgą, a podpisanie zobowiązania — hańbą! Takie żądanie rady muzealnej zawiera w sobie ubliżające nam wszystkim przypuszczenie, że my nie poczuwamy się do obowiązków obywatelskich, że tylko pomoc materjalna, udzielona pod danym warunkiem, że tylko przyrzeczenie na piśmie wyrażone zmusić nas może do niesienia służby publicznej; że bez rady muzealnej nie postałaby nam w głowie nawet ta służba; że nawet korzystając z publicznego grosza, nie pomyślelibyśmy o obowiązkach naszych względem społeczeństwa, gdyby nie ów podpis, wymuszony przez radę muzealną, który ona trzyma w ręku, jak

cyrograf na duszę. Rada muzealna nie rozumie, lub nie chce rozumieć, że my wszyscy, wielu nas tu jest, i bez niej i bez stypendjów i bez podpisów służymy sprawie narodowej, bo służymy sprawie wszystkich ludzi i wszystkich narodów. Dlatego tu jesteśmy. Dlatego nie szukamy łatwej karjery po Petersburgach, Moskwach, Charkowach i Kazaniach, że nie na carską służbę iść chcemy, a na stokroć twardszą i mniej płatną. Rada muzealna nie rozumie, że służyć Polsce — to służyć ogólnej idei; że pracować dla kraju, to pracować dla ludzkości. Że bez przewrotu społecznego, bez ogólnej, wszechświatowej rewolucji — Polska swych praw narodowych nie odzyska. Że my musimy tę rewolucję gotować, wszędzie! W kraju i poza krajem, w Rosji, czy w Syberji, wśród Włochów, czy Lapończyków. Rada muzealna chce zapomocą tego podpisu i tych kilkunastu franków miesięcznie wtłoczyć nas w ciasne ramy przedpowstaniowego demokratyzmu lub patrjotyzmu szlacheckiego. Koledzy! Zjednoczenie nie powinno, nie może przystać na podobny warunek. Między nami niema i nie będzie takich, których dopiero rada muzealna zapomocą datków i zobowiązań miałaby skłonić do pracy społecznej. Zjednoczenie wskazuje radzie swego kandydata do stypendjum. Opinja Zjednoczenia jest i powinna być dla rady muzealnej wystarczającą rękojmią. Zjednoczenie odpowiada za swego kandydata. Niech rada muzealna szuka stypendystów poza Zjednoczeniem.

Przekona się, co ma większą wartość, czy podpis karyerowicza, czy poczucie obowiązku, które tkwi w sercach każdego z nas, odkąd wyrósł z dziecka na człowieka i obywatela!“

Rzęsiste oklaski odpowiedziały na pełną zapału przemowę; dyskusja jednak nie była skończona.

Głos zabrał chudy, nikły blondyn i odezwał się śpiewnym, ślamazarnym akcentem Litwina:

— „Ja nie widzę przeszkody żadnej w tym podpisie: dlaczegoż ja nie mam służyć krajowi tak, jak ja rozumiem. Nic mi to nie szkodzi, że zobowiążę się na piśmie do takiej działalności, do jakiej i bez podpisu uważam się za obowiązanego. A jeżeli nauk nie skończę, to się i w kraju nie na wiele przydam, bo nie będę miał fachu, ani nauki, a to mi więcej ubliża, niż to, że tam starzy nie wydają pieniędzy bez podpisu. Na to oni są starzy. Ja tyle już zdobyłem pracą i trudem i miałbym nie dokonać niczego, bo odemnie zażądano nic nie znaczącej formalności. Ja będę pracował na polu naukowem; to dla wszystkich krajów zarówny pożytek. Też i dla Polski, to im słowa czy chcący, czy nie chcący dotrzymam, to i podpiszę!“

— Ja się swego stypendjum zrzekam! — huknął mu w odpowiedź rosły kolega, czarnooki i czarnobrewy jak kozak z ukraińskiej pieśni.

— Posypały się oklaski, wołano: „Niech żyje Ataman, wiwat Ukraina!“

— Proszę o głos!

— Rwański nie przemawiał we właściwem tego słowa znaczeniu; mówił tonem zwykłej potocznej rozmowy cicho, spokojnie.

— „Zdaje mi się — rzekł — że kolega Woszczatyński zbyt pośpiesznie oświadczył o swem zrzeczeniu. Naprzód nie powzięliśmy jeszcze żadnego postanowienia, powtóre, gdyby nawet wniosek kolegi Leszcza został uchwalony, to żadne prawo wstecz nie obowiązuje, więc ani Rada muzealna nie będzie żądała od kolegi Woszczatyńskiego owego podpisu, ani zjednoczenie nie może wymagać, by kolega zrzekał się stypendjum, które już od roku pobiera. Zresztą, jak słusznie zauważył kolega Sipajłło, każdy z nas ma zamiar czem zdoła i jak rozumie, służyć krajowi, może zatem bez skrupułu zobowiązanie podpisać. Stanowiłoby to może ujmę dla młodzieży, gdyby się miało do czynienia z ludźmi tych samych, co my zapatrywań. Tymczasem rada jest złożona z ludzi wiekowych, którzy nowego kierunku, jaki nas ożywia, nie rozumieją i nie są w stanie zrozumieć. Do tego trzeba im przyznać, że pierwsze egzemplarze młodzieży, jakie tu przed paru laty przybyły, usprawiedliwiły poniekąd, a właściwie nawet wywołały podobne wymaganie ze strony rady muzealnej.

Byli to faceci w czerwonych bluzach, armiakach niemal, idący ręka w rękę z podobnego wyglądu Rosjanami, mówiący czystym moskiew-

skim djalektem, śpiewający „Utios na Wołgie“ i głoszący całemu światu, że kwestja polska dla nich nie egzystuje.

Takie rzeczy oczywiście emigrantom 63 roku wydawały się wprost czemś potwornem. Obecnie kierunek młodzieży zjednoczenia jest całkiem inny. Zdaje się, choć tej kwestji na porządku dziennym nie mamy, że właściwem byłoby na tem miejscu, gdyby Zjednoczenie zaznaczyło swe stanowisko do kwestji polskiej. Należy przypuszczać, że opinja Zjednoczenia będzie dla rady muzealnej rękojmią. Stawiam wniosek, by Zjednoczenie wypowiedziało się czy odbudowanie Polski jest jednym z punktów programu Zjednoczenia“.

Leszcz nastawał, by jego wniosek pierwej był głosowany, zgromadzenie poparło go większością głosów, dyskusja została zamkniętą, wniosek sformułowany przez Leszcza przeszedł ogromną większością. Przewodniczący zaproponował zawieszenie posiedzenia na dziesięć minut.

Młodzież otoczyła Woszczatyńskiego, który powtarzał z wymuszonym uśmiechem, ale tryumfująco:

— Zrzekłem się! Niema o czem mówić. Niech inni zasługują się u emigracji; ja się im kłaniać nie będę.

Woszczatyński urósł na bohatera: nie dawano mu spokoju. Każdy chciał z nim choć parę słów zamienić, panny wciągały go do rozmowy, rozpytywały o Ukrainę, tę czułą strunę każdego uro-

dzonego na Rusi Polaka. Woszczatyński, wzruszony i zażenowany odpowiadał niezgrabnie, za każdym ruchem kogoś potrącił, przepraszał, ocierał pot z czoła, śmiał się głośno, widać było, że to zrzeczenie nie przyszło mu tak łatwo, że go ta ofiara kosztuje.

Rwański przysiadł się do Sipajłły.

— Teraz muszę wystąpić ze Zjednoczenia — mówił Litwin zbiedzony, — bo ja przyjechałem, licząc na stypendjum. Inaczejbym nie przyjeżdżał. To jak Woszczatyński się zrzeka, to ja muszę się podać.

— Wiecie co? Jest projekt utworzenia koleżeńskiego stypendjum...

— To ono będzie dla Woszczatyńskiego, ta i to raz będzie, a drugi raz nie będzie, a i zobowiązanie w takim razie jest, choć nie piśmienne. Będzie musiał iść za wszystkimi. A ci wszyscy co rok są inni i idee co rok inne. Ci, co na przyszły rok przyjadą, może właśnie będą sami patrjoci. Mnie to nic, ale Woszczatyński właśnie mówił, że dla niego kwestja narodowościowa nie egzystuje... Jak chce, a ja wolę już podpisać zobowiązanie Radzie muzealnej, to tak mi się zdaje, że dotrzymam.

— Ale w ten sposób zrywacie ze wszystkimi kolegami.

— A cóż ja poradzę...

Kazia otrząsnęła się z przykrego wrażenia, któ-

rego poprzednio doznała. Dzieliła się z Karolem wyniesionemi z obrady wrażeniami.

Wszak Rwański proponował taki logiczny punkt wyjścia z całej tej trudności, i odrzucono go dla czczej formalności, że jego pomysł należy do wniosków osobistych. Toż przecie sensu nie ma!

— Jest sens, ale nie ten, o którym pani myśli. Tu jest walka o pierwszeństwo.

— Między?

— Zobaczy pani. Zresztą może ja się mylę, ale tak mi się zdaje, że to stara sztuka z nowymi aktorami.

Kazia postanowiła uważać.

— Posiedzenie otwarte. Wnioski osobiste. Wniosek kolegi Leszcza.

Kolega Leszcz proponował Zjednoczeniu, by założyło własny organ. Dowodził, że Zjednoczenie postawione jest w bardzo korzystnych warunkach dla wyrobienia sobie poglądu na sprawy krajowe, że jego rolą jest kierować opinją młodzieży pozostającej w trzech zaborach, że jest świecznikiem i solą ziemi etc.

Rwański popierał wniosek, na tej zasadzie, że każde stowarzyszenie winno dążyć do wypowiadania swych opinij. Zwrócił jednak uwagę zgromadzenia na brak sił w jego gronie i na tę okoliczność, że kierunek młodzieży zmienia się z roku na rok, pismo więc Zjednoczenia albo będzie musiało zmieniać barwy, albo nie odpo-

wiadać stale panującemu wśród młodzieży kierunkowi.

„Sześć lat już jestem w ciągłej styczności „z młodzieżą, przybywającą tu na studja i nie wi„działem, żeby choć jeden rok był do drugiego „podobny. Każdy zjazd jest od drugiego całkiem „różny, czemu dziwić się nie można, gdyż oczy„wiście młodzież na miejscu nie stoi. Organ taki, „o jakim mówi kolega Leszcz, musiałby wziąć „na się kierowanie opinją Zjednoczenia, a na to „trzeba takich sił, jakich Zjednoczenie, jak dotąd, „w swem łonie nie posiada“.

Karol tymczasem o głos poprosił i nim Rwański skończył rachował szybko na kartce pugilaresu.

— Zdaje mi się — rzekł, gdy kolej nań przyszła — że Zjednoczenie nie posiada dostatecznych środków dla wydawania własnego organu, że nie może liczyć na wielką ilość prenumeratorów, że młodzież, bawiąca za granicą czasowo powraca po upływie określonego czasu do zaboru rosyjskiego przeważnie, i oczywiście od prenumeraty odpada, czy zaś rok rocznie będzie ich tyle przybywać, by mogli aż pismo podtrzymywać, jest rzeczą wątpliwą, a w każdym razie niepewną.

Kamila przez ten czas siedziała jak na szpilkach: ona zrozumiała Leszcza lepiej, niż Rwański. Zaraz po przemowie męża dała znak przewodniczącemu, wznosząc wdzięcznym ruchem dwa cienkie paluszki, że zamierza wypowiedzieć się także.

— Nie rozumiem — zaczęła, rzucając mężowi znaczące spojrzenie — dlaczego kolega Rwański zwątpił o umysłowych siłach Zjednoczenia. Ja przypuszczam przeciwnie, że w naszem gronie niejeden znajdzie się taki, co nadaje się najzupełniej do podobnej pracy. Zdaje mi się, że kolega Rwański nie docenia sił, jakiemi Zjednoczenie rozporządza.

Kamila oczywiście miała na myśli, że Rwański swojej osoby niedocenia, gdyż on jeden nadawał się na redaktora takiego pisma, jako człowiek głębokiej nauki, władający wprawniej piórem niż słowem, dojrzały latami i głową, i obserwujący od lat wielu ruch umysłowy młodzieży w kraju i za granicą, mógł kierować naprawdę jej organem, jak kierował dotąd całym duchem Zjednoczenia. Kamila dostrzegła z przerażeniem, że Leszcz swą piękną wymową i niepospolicie dźwięcznym głosem zaczyna spychać Rwańskiego z pierwszorzędnego stanowiska, jakie dotąd w Zjednoczeniu zajmował.

Nikt więcej do głosu się nie zapisał. wedle przyjętego zwyczaju wnioskodawcy pozostawało ostatnie słowo, znów zatem Leszcz przemówił: Nie zbijał zdania Rwańskiego, nie podniósł przemówienia Kamili i Karola praktyczną uwagę pominął milczeniem, ale mówił bardzo długo i pięknie o ewolucji pojęć, o historji ruchu rewolucyjnego, o roli, jaką młodzież w nim odgrywała i dotąd odgrywa, i o zadaniu najnowszej emi-

gracji polskiej, której ogniskiem jest Zjednoczenie. Sformułował wreszcie wniosek w krótkich słowach i nastąpiło głosowanie. Ogromna większość ręce w górę podniosła.

„Byle tylko nie wyznaczano natychmiast składu redakcji“, myślała strapiona Kamila. Ale któryś delegat z Zurychu zaproponował wyznaczenie komisji, któraby kandydatów podała i do składu komisji wskazał rozumie się w pierwszym rzędzie Rwańskiego obok paru starszych kolegów. Leszcza ominął, naznaczając go w myśli na redaktora.

Ale Kamila nie łatwo dawała za wygranę.

— Proponuję kolegę Leszcza! — wyrwała się nie zapisując do głosu. — Jako projektodawca powinien należeć do komisji.

Leszcz jednak wymówił się grzecznie, uważając skład wskazany przez delegata z Zurychu za odpowiedni i wystarczający.

Oczywiście Rwański jako członek komisji, nie przyjmie na się roli redaktora i pierwszy Leszcza zaproponuje. Gdyby i ten był wśród wyborców, musiałby mówić za Rwańskim, dwaj zaś pozostali koledzy mogliby poprzeć i prawdopodobnie jako starsi obraliby bliższego im wiekiem i lepiej znanego Rwańskiego.

Kamila nastawała na głosowanie i sprawę przegrała. Głosowanie potwierdziło pierwszy projekt: komisja miała w swym składzie Rwańskiego bez Leszcza. Nie ulegało wątpliwości, że ten ostatni zostanie redaktorem organu związku. Kamila

zbladła, spuściła powieki i twarz jej stała się bardzo niełądną: miała jakiś wyraz okrutny i spokojny.

Pragnęła zgnębić Leszcza i nie znajdowała sposobu. Poczęła snuć rozmaite kombinacje, mające na celu zdyskredytowanie Leszcza w oczach kolegów przed następnym zjazdem... miała rok czasu... Parę oczu, utkwionych w twarz jej uparcie przymusiły ją do podniesienia wzroku. Zajdlówna wpiła się w nią swemi małemi, żarzącemi nienawiścią ślepkami. Złośliwy uśmiech igrał na wązkich, złych ustach nienawistnej koleżanki. Kamila odpowiedziała zimnem spokojnem wejrzeniem; w tej chwili już postanowiła: z Leszczem zawrze przymierze i uderzą na Zajdlównę.

Na porządek dzienny wypłynął wreszcie wniosek Rwańskiego o zaznaczeniu stanowiska wobec kwestji polskiej. Podczas, gdy ten za swym projektem przemawiał, obsługujący na sali kelner podał przewodniczącemu na tacy list. Przewodniczący odczytał i z kwaśną miną podał go sekretarzowi. Ten wzruszył ramionami i zaczął coś kreślić na kartce z wypisanym porządkiem posiedzenia. Zaciekawiło to zgromadzonych. Mało kto słuchał wywodów Rwańskiego. Gdy skończył, ozwała się zaraz Kamila:

— Ponieważ Zjednoczenie zakłada swój organ, będzie miało możność wypowiedzenia się wyczerpująco w tej materji.

Zdanie jej zostało poparte przez resztę mówców. Wniosek Rwańskiego został odrzucony; zresztą Rwański nie obstawał przy nim.

Teraz pozostawał tylko ów list, tak niechętnie przyjęty przez przewodniczącego. Była to dymisja Sipajłły.

Rwański natychmiast zaproponował, by dymisję przyjąć bez dyskusji. Kamila inaczej myślała. Odgadła z łatwością, że postępek Sipajłły wywoła oburzenie, skorzystać z tego, by sobie sympatję młodzieży zaskarbić i Leszcza ku sobie pociągnąć, było dla niej wyborną gratką. Szczęśliwa, że sposobność nastręczyła się tak prędko, nadała twarzy wyraz szlachetności, spojrzała czystemi oczyma i przemówiła z wyrazem smutku w głosie:

— Ja się nie zgadzam ze zdaniem kolegi Rwańskiego... sądzę, że Zjednoczenie winno zaznaczyć wyraźnie stanowisko swe wobec faktów podobnego rodzaju...

— Tak mu pilno moje stypendjum uchwycić! — wyrwał się z grubym śmiechem Woszczatyński.

— Proszę nie przerywać! — zauważył mu ostro przewodniczący — Czy koleżanka Rwańska skończyła?

— Nie jeszcze, chciałam tylko dodać, że kolega Sipajłło swym postępkiem wyraził niejako naganę Zjednoczeniu, i że Zjednoczenie ma najzupełniejsze prawo otaksować jego postępek tak, jak na to zasługuje... Skończyłam.

Wówczas odezwał się milczący dotąd młodzieniec czarny, kędzierzawy, o wielkich, wydętych wargach i oczami i nosem przypominający czarną kozę. Głos też miał ostry i nieprzyjemny:

— Proponuję sąd koleżeński nad kolegą Sipajłło!

Przewodniczący, za nim Karol i Rwański sprzeciwiali się temu na bardzo słusznej zasadzie, że nie mają żadnych dowodów, jakoby Sipajłło dla uzyskania stypendjum Zjednoczenie opuszczał. Kamila mówiła długo o przeświadczeniu moralnem, o obowiązku solidarności, uszanowaniu praw towarzystwa, w końcu zreflektowała się sama: sąd koleżeński nie był jej potrzebny. To, czego chciała, dopięła. Leszcz zrozumiał, że jest jego stronniczką; wyraził jej wdzięczność wymownem spojrzeniem, więc da się jej za nos, jak to mówią, wodzić. Mogła oszczędzić Sipajłłę. Przedstawiła, że kolega Sipajłło winien podać dymisję do towarzystwa, którego jest członkiem, gdzie jest bliżej znany, gdzie znajdą się prawdopodobnie na jego korzyść okoliczności łagodzące, gdyż Zjednoczenie „musiałoby go bezwzględnie potępić“.

Rwański pochwycił tą myśl z radością:

— Zjednoczenie nie przyjmuje dymisji... Prosi kolegę Sipajłło, by się udał do towarzystwa w Bernie.

Po długich debatach zgodzono się ze zdaniem Rwańskiego.

— Jakto! — huknął Woszczatyński. — Tak

go puścić mamy bez sądu? To ja w takim razie wystąpię! Podaję się do dymisji!

Przewodniczący zaczął mu perswadować, wykazując niewłaściwość tego kroku; Leszcz, Karol i Rwański starali się nań wpłynąć, ale ich Woszczatyński nie rozumiał.

— Takiego szubrawca... takiego świnię... takiego złodzieja... — grzmiał w najwyższem oburzeniu.

— Zamknijcie posiedzenie! Zamknijcie posiedzenie! — wołała Rwańska na przewodniczącego.

— Posiedzenie zamknięte! — krzyczał tenże, usiłując przekrzyczeć atamana. — Posiedzenie zamknięte!... Zamknięte!...

Poczęto salę opuszczać... Każdy coś mówił, giestykulując, unosząc się, oburzając, perswadując... Na ulicy dopiero uspokoiła się wrzawa. Rozdzielono się na grupy, nawoływano się, umawiano, kto z kim i do kogo uda się na wieczerzę, żegnano się serdecznie: „Dobranoc! Do jutra! Do widzenia!“ Zdala dochodził ich huczący głos Woszczatyńskiego, uprowadzanego przez dwu berneńskich kolegów:

— ...bo to jest podłość!... Wystąpię!... Nie zcierpię...“

Rwańska „pchnęła“ męża, by zaprosił coprędzej Leszcza i Dramowskiego na kolację, sama poszła szukać Bartskiej. Przyszło jej na myśl wyswatać ją z Leszczem. Wynagrodzi jej w ten sposób zawód, o którym one dwie tylko wiedziały,

i Leszcza za pomocą Jadwigi do siebie pociągnie. Wiedziała, że na takich zjazdach małżeństwa kojarzą się bardzo łatwo.

Pięć dni wystarcza do rozpłomienienia najzimniejszych serc: zawiązują się przyjaźnie, korespondencje, wymiany myśli, dalej uczuć, serc, wreszcie pierścionków i sakramentalnych słów: „aż do śmierci“, poczem młoda para, przegruchawszy zakrótki, letni samestr i zbyt długie letnie wakacje, zjawia się jesienią na wykłady, a na następnym zjeździe figurują jako stare już małżeństwo, najczęściej ubogie, liczące się z każdym groszem, odmawiające sobie drugiej szklaneczki piwa, kochające się bez demonstracji i w gruncie niezmiernie szczęśliwe.

Rwańska szczerze pragnęła uszczęśliwić w ten sposób Leszcza i Bartską. Nie zraziła ją nawet ta okoliczność, że ujrzała ją przy boku Zajdlówny, rozmawiającą z wielkiem ożywieniem o obracaniu się chorągiewki wraz z wiatrem. Rozumiała wybornie, że mówiono o niej; przerwała jej śpiesznie, udając, że nie dosłyszała.

— Bartska! wy do mnie na kolacją! Nie prawdaż? I was najserdeczniej proszę. — Zwróciła się do Zajdlówny.

— Dziękuję wam. — Odparła Bartska, podnosząc wysoko jasną główkę w znak obrażonej godności — ja bywam tylko w domach osób szczerze dla mnie usposobionych.

Zajdlówna wymówiła się gośćmi. Chciała Le-

szcza do siebie zaprosić i — z Bartską zaswatać! Spóźniła się, Leszcz rozmawiając z Karolem o przyszłem piśmie podążał do mieszkania Rwańskich.

Na tę wieść biedna Jadwiga omal płaczem nie wybuchnęła.

— Wszędzie staje mi w drodze! Podkopuje mię, jak może! — myślała zupełnie szczerze, nie zastanawiając się nad tem, że ją także zapraszano.

Leszcz, zostawszy redaktorem mającego wykłuć się pisma, uprosił Karola, by z nim do Paryża pojechał i, jako człowiek kompetentny, dopomógł w poszukiwaniach ludzi i rzeczy niezbędnych do wydawania pisma. Karol przystał jaknajchętniej. Zajęty sprawą, która miała dlań wielki zawsze urok, przed samym wyjazdem dopiero zajrzał na chwilę do Kazi i pożegnawszy ją trochę niedbale, popędził ku ulicy Carouge, w obawie, że na tramwaj nie zdąży. Kazia patrzyła za nim, aż znikł na zakręcie tonącej w zieleni uliczki. Odjazd narzeczonego sprawił jej przykrość. Otrząsnąwszy się z uczucia wstrętu, jakiego doznała, nie wiadomo dlaczego, do Karola podczas pierwszego posiedzenia, pomyślała o konieczności wzajemnego przywiązania w małżeństwie. Okazywała Dramowskiemu serdeczność, której nie czuła w sercu: witała go radośnie, pozostawiała nieco dłużej, niż należy rękę w jego dłoni, spo-

glądała nań wśród ogólnej rozmowy i bardzo pragnęła, by jej Karol nawzajem trochę czułości okazywał; ale Karol uśmiechał się tylko z zadowoleniem na objawy jej uczucia, zajmował się jednak daleko więcej kolegami i dziennikiem, niż nią, wreszcie wyjechał prawie bez pożegnania. Nie powiedział jej „ty“, nie nazwał „ukochaną“, nie prosił o pocałunek. „To trzeba znieść“ myślała ze smutkiem.

Narzeczeństwo przyniosło jej spokój, ale nie dało szczęścia. Nie rozumując nad tem, dlaczego, czuła to Kazia wyraźnie i postanowiła zrezygnować się. Chciała przedewszystkiem... małżeństwa; trudno wszystkiego naraz od losu wymagać. Dobrze choć to, że nie czuje doń owego wstrętu, który ją tak przeraził, że omal małżeństwa nie zerwała. Skąd jej się to wzięło? Dlatego, że pomyślała wówczas... Przecież i teraz myśli i nawet wyraźniej, w sposób bardziej określony, niż wówczas, i nie odczuwa żadnej przykrości. Pragnęłaby jednak bardzo wiedzieć... wszystko!.. przed małżenstwem! Żeby tak co przeczytać... fizjologję, czy... Gdzież jeszcze mogłaby znaleźć takie wiadomości?... Ach tak... u tych Rosjanek, z któremi przyjechała, widziała książkę, której sam tytuł wskazywał, że o tem traktuje. Jakże to było? Coś traktującego o fizjologji i o socjologji zarazem. Zapomniała tytułu. Nie! lepiej już dostać anatomję i fizjologję. Ale skąd? Przebiegła myślą

wszystkie koleżanki i zatrzymała się na Heli Kołowicz. Wydało jej się, że ta jedna jej nie wyśmieje, nie wygada, a nawet zrozumie. Nie zwlekając wybrała się do mało znajomej koleżanki. Układała sobie, jak ma do rzeczy przystąpić. Ale jakoś, wbrew oczekiwaniu, nic mądrego wymyślić nie mogła.

Wszedłszy na most nad Arwą zatrzymała się, by się wreszcie na coś zdecydować. Rzeka, wezbrana wskutek topniejących w Chamounix śniegów, szumiała, rwała się dziko, pieniąc, kipiąc, bijąc o brzegi, waląc w arkady mostu, zakręcając się w wiry, przeskakując kamienne progi. Kazia oparta o barjerę patrzała na ten szał zmąconej masy wody i szukała szczęśliwego natchnienia. Powoli gubiła wątek myśli, zaczęło jej się coś majaczyć.

Ta woda — to życie. Arwa żyje, czuje, ona się rwie do czegoś gwałtownie, niepohamowanie, namiętnie. „To tak do Rodanu...“ — strzeliło jej raptem przez głowę, i zawstydziła się tej myśli. Arwa wydała się jej namiętną kochanką, rzucającą się tak nieprzyzwoicie w oczach wszystkich ludzi w objęcia pięknego — Rodanu. Chciała się obejrzeć w stronę, gdzie się rzeki zlewają i płyną czas jakiś obok siebie w jednem korycie, nie mięszając swych wód, odmiennych barwą i biegiem. „Jonction“ pomyślała, podnosząc się od barjery i uczuła silny zawrót głowy. „Co mi się roi?

Rodan, Arwa, namiętność... Co za pomysł! Ja to skądeś wzięłam... Aha! Wilija i Niemen!

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma przejrzyste i błękitne lica.
Młoda Litwinka, co jej czerpie wody,
Czystsze ma serce, piękniejsze jagody.

Jednakże, ja się tego nigdy nie uczyłam; czytałam to bardzo dawno, a pamiętam:

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie przez skały i dzikie bezdroża,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

A litwinka z czystem sercem i jagodami? — Zrobiła to samo, coby i bez owej czystości potrafiła! Cóż to jest, ta czystość serca, myśli, etc.? Oczywiście — głupstwo. Dla czego my, niewiasty, nie mamy wiedzieć, myśleć lub pragnąć? Ja nawet nie pragnę, tylko... chcę wiedzieć, i basta. Czy mię to brudzi, że chcę wiedzieć, lub, że się dowiem? A jednak Arwa jest brudna; wracała uparcie do porównania rzeki z kobietą. Ależ to niema z tem nic wspólnego! To woda, a to ja. Ładniebym wyglądała z czystością myśli wobec małżeństwa z Karolem!

„Tuli kochankę do zimnego łona...“

Przykrość i niesmak odezwały się w niej, jak wówczas, na posiedzeniu, gdy czuła ciepło jego twarzy i słuchała o synach. Wzdrygnęła się lekko i kroku przyśpieszyła, jakby chcąc uciec od własnych myśli. Za nią huczała, szumiała, rwała się

zmącona, bezwstydna Arwa... „Jakże ja jej to powiem?“ Wracała myślą do rozmowy z Helą. To także litwinka, czy ukrainka właściwie... Ale cóż znów? Doktór medycyny! nie może być, żeby nie wiedziała, nie myślała, nie czuła nigdy podobnych rzeczy. Musiała już kochać w życiu; prawdopodobnie przechodziła przez to samo w swoim czasie... Więc tak: spytam ją, czy się kiedy kochała... Nie! Może mi powiedzieć, że mi nic do tego. Więc powiem, że ja się nie kocham... Ale jej nic do tego! Tego nie należy mówić. Zresztą zobaczę, jak z rozmowy wypadnie.

W tej chwili wstępowała na brudne, nie brukowane podwórko wielkiego, bardzo brzydkiego domu, w którego oficynach mieszkała wychudzona koleżanka, wraz z nieodstępną Blinowską.

Kazia raz tylko dotąd była u Kołowiczówny, wkrótce po poznaniu jej u Zajdlówny. Nie zbliżały się do siebie, ani też stroniły jedna od drugiej. Były dla siebie wzajemnie obojętne; jednakże Kazia raczej lubiła Helę, ta zaś przeciwnie, czuła do Kazi pewien brak sympatji. Kazia odgadywała to instynktownie, to też z rodzajem trwogi, czy onieśmielenia pociągnęła rączkę od dzwonka. Otworzyła jej Blinowska. Do niej czuła Kazia antypatję, czy odrazę. Brzydota jej była dla Kazi rażącą, przykrą. Odwracała się na widok podziobanej twarzy i wyłupiastych oczu biednego „polskiego Blina“.

— Słyszałam, że za mąż wychodzicie! — witała ją radośnie brzydalka. — Karol Dramowski! Toż to

primus inter pares! Wszystkie studentki i nie studentki marzyły o nim dniem i nocą swego czasu. Ja wyznaję, zazdroszczę Wam narzeczonego w ogólności, a w szczególności Dramowskiego!

— Mówicie tak, żeby mi zrobić przyjemność. — odrzekła Kazia, czując, że przykrość i wstręt ustępują na słowa „primus inter pares“, których zresztą nie rozumiała.

Przez długi, ciemny i wąski kurytarz, po omacku trafiła do drzwi pokoju Heli i zapukała.

— Entrez — ozwano się z wewnątrz. Dzień dobry! — przywitała ją krótko Kołowiczówna, ściskając mocno dłoń gościa w chudych palcach, nasuwających każdemu myśl o kościotrupie.

Hela była w białym kaftaniku, ciemne długie włosy spadały połyskującemi falami na wąziutkie ramiona.

— Usiądźcie proszę, rzekła, wskazując jej wytartą, krzywą kanapkę. Pozwolicie, że was tak przyjmę. Jestem bardzo zmęczona i włosy ciężą mi na głowie. Boję się newralgii.

— Nie będę Wam przeszkadzała, skoro potrzebujecie wypocząć...

— Przeszkadzajcie, i owszem, tylko nie każcie mi się czesać, bo mię to męczy.

— Ale pończochy włóż, Hela, bo to przecie narzeczona Dramowskiego! Nie jakaś pierwsza lepsza.

— Ależ, broń Boże! Zostańcie boso! Proszę Was! Wyglądacie jak czarownica — zaśmiała się Kazia.

— Wiedźma, chcecie powiedzieć?

— Wiedźmy podobno używają jeszcze mniej skomplikowanego kostiumu.

— Kto wie? Może i do tego dojdzie? — Hela zamyśliła się nagle. Milczała długo, wreszcie sięgnęła po paczkę z tytoniem, skręciła powoli papieros, skleiła papier językiem, przedmuchała cygarniczkę, włożyła doń papieros, zapaliła, zaciągnęła się niezbyt wonnym dymem, wypuściła z ust kłąb niebieskiego koloru, który twarz jej całą przysłonił i z poza tego obłoku spojrzała na Kazię uważnie.

— Teraz jesteście doskonałą cyganką — zauważył gość ze śmiechem.

Hela nie śmiała się. Obserwowała ją uważnie czas jakiś, wkońcu ozwała się swobodnie.

— Cóż narzeczony? Pojechał?

— Jakto, wiecie już?

— Gdyby tu był, nie tracilibyście czasu na wizyty u koleżanki.

— Trafna uwaga. Czy znacie mego narzeczonego?

— Znam z widzenia i z pism. To jest człowiek.

— To jest więcej niż człowiek, wtrąciła Blinowska. To jest narzeczony!

Hela uśmiechnęła się, przyczem twarz jej pofałdowała się koło ust i oczu w drobniutkie zmarszczki.

— A gdybyśmy z tej racji wypiły herbaty,

zaproponowała, poważniejąc nagle, jak nagle się uśmiechnęła przed chwilą.

— Z jakiej racji? Spytała Blinowska. Czy dla tego, że jest człowiek, czy że narzeczony?

— Z tej, że pojechał: inaczej nie przyszłaby przecie.

— Cóż to? macie mię za tak bardzo zakochaną?

Hela spojrzała znów na nią uważnie.

— Ty, Blinku, kup bułeczek, tych gładkich, wiesz — za Arwą i zrób herbaty! — Powiada, że się nie kocha, więc będzie jadła.

Blinowska opuściła pokój, a Hela znów na Kazię spojrzała. Wyczytała wyraźnie zadowolenie w jej oczach.

— Cóż wy teraz robicie? — spytała od niechcenia. — Obmyślacie wyprawę, rozpisujecie listy? — Czy uczycie się najspokojniej i czytacie w najlepsze?

— Czytam rzeczywiście dużo...

Hela znów w obłoku się skryła.

— Chciałabym jednak...

— Coś odpowiedniejszego do czytania?

— Skądżeście zgadli?

— Czy wy myślicie, że jesteście pierwszą narzeczoną, która do mnie przychodzi po anatomję i fizjologję?

— Aż anatomję i fizjologję! próbowała wykłamać się zmięszana Kazia.

— Dlaczego „aż“? To rzecz naturalna. Należy sobie przecie zdać sprawę z tego, do czego się

zobowiązuje, czy w co się lezie, mówiąc prościej.

— Wiecie, z drugiej strony to jednak... uwłacza... tej skromności, niewinności, jakiej mężczyzna w nas szuka i ceni.

— Więc my, na tej zasadzie, że mężczyzna lubi... brutalizować niewinność, powinniśmy kultywować ową „czystość myśli“ ku naszej własnej szkodzie?

— Dlaczego ku szkodzie?

— Widzicie – ja nie tylko z narzeczonemi rozmawiałam w życiu, ale i z mężatkami najróżniejszej kategorji i wieku; mogę was zapewnić, że te, których „czystość myśli“ pielęgnowano, nie były za nią wdzięczne swym wychowawcom. Co więcej, nie mogły, niejednokrotnie pozbyć się żalu do rodziców i do męża nawet, za swe małżeństwo. Wy nie jesteście dosłownie w tym wypadku, ale chcecie wiedzieć jaknajwięcej i macie słuszność. To was utwierdzi, lub zachwieje w wyborze. W każdym razie zdacie sobie dokładnie sprawę z waszych... uczuć.

— Dobrze. Przeczytam, co mi dacie. Ale wyznam wam, że mi wstyd tego, że wy oto wiecie, co ja czytam i w jakim celu.

— Wstyd? To bardzo głupie słowo, zwłaszcza zastosowane do rzeczy tak słusznej i naturalnej. Nie wstydzą się ludzie ogadywać, dołki jeden pod drugim kopać, kłamać i Bóg wie co, a wstydzą się wiedzieć to, co należy! — Wyście się do mnie udali. — Dlaczego?

— Wy robicie na mnie wrażenie osoby dyskretnej.

— To jest, a przynajmniej powinna być pierwsza cnota przywiązana do naszego fachu. Oprócz tego muszę wam to zaznaczyć, skoroście nie zauważyli, a tylko przeczuli, że ja niemam hypokryzji.

— Rzeczywiście — przerwała jej Kazia ze śmiechem. — Prawda: skromność u większości panien jest udana.

— Żebyście wiedzieli, jaką ja widziałam komedję na ten temat tu na uniwersytecie, wśród medyczek, które wszystko wiedzą, a nawet niejedna próbowała, mówiąc nawiasem...

W tej chwili zadzwoniła Blinowska, wracająca z bułeczkami z za Arwy.

— Blinku! Rozpowiedz, jak pogorszyłaś koleżanki słowem: połóg, wypowiedzianem niebacznie w obecności kolegów z Zurychu, również medyków...

— To było paradne! — wołała ze śmiechem Blinowska. — A wiecie, kto pierwszy zażenował się do tego stopnia, że aż dał hasło do opuszczenia demonstracyjnie mieszkania? Ta sama, która dzień przedtem dawała jednemu z kolegów w mojej obecności do zgadywania zagadkę... której wam nie powtórzę, choć jesteście kobietą, a ja się w skromność nie bawię.

— Nie zaprzeczycie jednak — zauważyła Kazia poważnie — że bywają panny i kobiety wogóle skromne z natury.

— Bezwarunkowo, że bywają. Widywałam i takie.

— Nie stare panny, nie dziwaczki...

— Proszę o starych pannach w mojej obecności nie mówić — przerwała Blinowska.

— Ach! à propos starych panien, mnie się przytrafiła rzecz kapitalna z jedną koleżanką, która szczęściem, wyszła potem za mąż...

— I ty, Blinku, za mąż pójdziesz.

— Dlatego, że mię pies zjadł na święty Andrzej?...

— Nie ciebie, ale bałabuszkę twoją. Nie, to jest zabawa. Ja ci powiadam, że wyjdziesz i będziesz szczęśliwa.

— A ty, Helu?

Za całą odpowiedź zaczęła skręcać papierosa i oczy utkwiła w dal wspomnień, czy nadziei.

„Bałabuszka“ myślała Kazia tymczasem. Co za słowo! Blinowska powinnaby się tak nazywać.

— Więc cóż z tą koleżanką i starą panną? — spytała ciekawie.

— Co? Mówiłam sobie w wagonie... (jechałyśmy wszystkie na zjazd do Zurychu). Otóż ja powiedziałam, że stara panna, to potwór. To nawet nie moje zdanie, ale Balzacka. Cytowałam go najsumienniej, nie chcąc sobie przywłaszczać tak genialnego odkrycia. Sąsiadka moja, oczywiście panna, młodsza odemnie, mówiąc nawiasem, tak się tem oburzyła, że za nic nie chciała obok mnie siedzieć. Za jej przykładem i inne nie chciały, jak

owce: byle jedna uparła się nie przeskoczyć przez strumyk, żadna się na to nie zdobędzie — a że miejsca w wagonie nie było, stała przed zamkniętem oknem do samego Zurychu.

— Panny, stare czy nie stare, są głupie — zawyrokowała Hela.

— A to czemu? — zapytały dwie słuchaczki.

— Bo panna to nie człowiek. A należy być człowiekiem.

— Więc uważasz, jak ksiądz wikary z Derebczyna, że świętą jest rzeczą, być mężatką i mieć syna, ale stokroć świętszą, być panną.

— Świętą jest rzeczą być człowiekiem. Iść za swojem sercem, wszystko znać, wszystko przeżyć, aby nic nam obce nie było, aby schodząc z tego świata, nie powiedziało się: „Ich weiss nichts von der Seligkeit!“ Życie i bez tego takie smutne! Odmawiać sobie chwili szczęścia dla jakiegoś tam honoru, czy cnoty, która za parę lat nie będzie miała najmniejszej wartości w niczyich oczach, która stanie się waszą śmiesznością, nie zasługą... Życie jest głęboko smutne, tragiczne...

— O Helu! Dajże spokój! Już zaczynasz „serce swoje zjadać“, jak mówią w Derebczynie.

— Co to jest Derebczyn? — spytała Kazia, by zmienić temat rozmowy.

— Derebczyn? Miejsce urodzenia Heli. Jaka to jeszcze wieś, w której byłyśmy, u tych państwa? Pamiętasz? Bez — Bezmajtki? — starała się żartować Blinowska.

— Basztańków — szepnęła cyganka i pogrążyła się w czarną zadumę.

Ani rozmowa Kazi, ani żarty Blinowskiej nie zdołały jej wyrwać z tego stanu. To też Kazia pożegnała je i wziąwszy żądane książki, wróciła spiesznie do domu.

KONIEC TOMU I.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 19246

1000173263